49 listów z powodu braci czeskich



Edward Martuszewski

49 listów z powodu braci czeskich

EDWARD MARTUSZEWSKI

49 LISTÓW Z POWODU BRACI CZESKICH



WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Okładkę projektował
JERZY DERKOWSKI

W książce zamieszczono zdjęcia archiwalne oraz zdjęcia które wykonali
EDWARD MARTUSZEWSKI, JERZY RUDKE
ANDRZEJ MIELCZAREK, JERZY OBŁAMSKI



List pierwszy

Drogi Tadku,

wróciłem właśnie z tego Twojego Zelowa. Prawdę mówiąc — widziałem już wsie prezentujące się bardziej „z miejska"... Przede wszystkim: cóż to za dziwna mieszanina stylów architektonicznych! Obok typowo wiejskich chałup (wśród nich kilkanaście przykładów czeskiej architektury ludowej), kamieniczki i rudery jakich tysiące w tzw. Kongresówce, a ponad tą niezbyt ciekawą mieszankę wyrastają nowoczesne, kilkupiętrowe bloki mieszkalne. Z hydroforami. Bo Zelów, choć ma prawa miejskie, to jednak nie ma wodociągów i kanalizacji. A także nie ma hotelu i połączeń kolejowych. Za jego „miejskością" świadczy właściwie tylko kilka tysięcy mieszkańców, większa niż po wsiach liczba (niezbyt jednak dobrze zaopatrzonych) sklepów, no i modernizujące się z roku na rok, dość duże jak na taką mieścinę, Zelowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego.

Już słyszę Twoją replikę: „Nie namawiałem na miasto, ale na Zelów". Racja, lecz ten Zelów, który mi tak zachwalałeś, właściwie już nie istnieje. Narodowościowa i wyznaniowa „wieża Babel" należy do przeszłości. Czesi przestali stanowić większość mieszkańców, z paru tysięcy Żydów zostały tylko dwie osoby, koloniści niemieccy (a właściwie ich potomkowie) wyróżniają się dziś tylko wyznaniem ewangelicko-augsburskim.

Niewiele też zostało z dawnej specyfiki profesjonalnej. Tkactwo chałupnicze objęto formami spółdzielczymi. Po

połączeniu przedwojennych fabryczek prywatnych w Zelowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego tkactwo chałupnicze zdecydowanie ustępuje miejsca produkcji przemysłowej.

Byłem też — jak mi radziłeś — u Vilema Tomeša. Nie udało mi się jednak wydostać z tego dziwnego człowieka jakichś bardziej konkretnych danych na temat pracy zelowskiego oddziału Czechosłowackiego Stowarzyszenia Kulturalnego w Polsce. Coś jednak musi robić, skoro Tomeš (radny zelowskiej MRN a zarazem członek komitetu redakcyjnego miesięcznika „Život") otrzymał ostatnio odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.

Zelów, o którym mi opowiadałeś, odnalazłem właściwie tylko w aktach archiwum zboru ewangelicko-reformowanego. Pastor Tranda udostępnił mi je i udzielił cennych wyjaśnień. Dał mi też do przeczytania swój artykuł w „Strażnicy Ewangelicznej" z 1954 roku: *Zarys dziejów zboru ewangelicko-reformowanego w Zelowie*. Parafianie ks. Trandy istotnie nadal pielęgnują tradycje husyckie, tradycje Braci Czeskich.

Tak, archiwum zboru zelowskiego — choć nieuporządkowane — jest na pewno niezwykle ciekawą, jak to się mówi, kopalnią wiadomości na temat „czeskiego Zelowa". Ono to zdecydowało, że już po paru dniach wertowania dokumentów postanowiłem pisać ksiażkę o Zelowie. W związku z tym dziękuję Ci serdecznie za inspirację.

Wyobraź sobie — w wydanym niedawno temu przez Sport i Turystykę *Przewodniku po Polsce* nie ma o Zelowie ani słówka. Niewiele lepiej jest w słownikach geograficznych, które dotychczas przejrzałem. Zanim na dłuższy okres czasu pojadę do Zelowa, aby poszperać w archiwum i porozmawiać z ludźmi, zamówiłem w warszawskich bibliotekach naukowych książkę prof. Jerzego Ślizińskiego *Z działalności literackiej Braci Czeskich w Polsce (XVI—XVII w.)*. Podobno jest w niej również rozdział o Zelowie i bogate informacje bibliograficzne.

Wymyśliłem już tytuł mojej przyszłej książce: *V Zelově pod Łodzią*. Ściślej byłoby właściwie *V Zelově pod Łaskiem*, jako że Zelów leży w powiecie łaskim (wprawdzie na granicy z powiatem bełchatowskim, ale jeszcze w powiecie łaskim). Taka precyzja administracyjna w tytule książki byłaby chyba jednak niestosowna. Powiatowy, historyczny Łask ma dziś bowiem przed sobą mniejsze perspektywy rozwojowe, niż Zelów. Poza tym Łódź to symbol polskiego przemysłu włókienniczego, Zelów zaś znalazł się ze swym tkactwem chałupniczym właśnie w orbicie łódzkiego przemysłu fabrycznego. Tytułowe określenie „pod" też jest chyba do przyjęcia, ponieważ odległość pięćdziesięciu kilometrów — czyli półtorej godziny jazdy autobusem PKS — w naszych czasach nie należy do wielkich.

Wreszcie dwujęzyczność tytułu. Postawienie słów czeskich na pierwszym miejscu podkreśla specyfikę miasta.

A jak Tobie podoba się ten tytuł?

Jeszcze raz dziękuję Ci za temat *V Zelově pod Łodzią*, wyrażam niepłonną nadzieję, że potomność przebaczy Ci oderwanie mnie na kilka miesięcy od spraw Mazur i Warmii.

Serdecznie Ciebie i Twoich pozdrawiam...

List drugi

Kochana Mamo,

proszę wybaczyć mi długie milczenie, a co gorsze nieodpisanie na dwa ostatnie Mamy listy. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że pochłonięty jestem zbieraniem materiałów do nowej książki. Albo robię notatki, albo z kimś rozmawiam, albo wreszcie staram się powiązać z sobą coraz to nowe, często zaskakujące mnie szczegóły, próbuję wyjaśnić sobie takie a nie inne powody, które kimś kiedyś kierowały...

Ponieważ Zelów jest dla Mamy nazwą na pewno obcą

i nieznaną, ponieważ do jego spraw wielokrotnie będę musiał w swoich listach wracać, więc najlepiej z miejsca przedstawić w czym rzecz.

Zelów jest kilkutysięcznym miasteczkiem na trasie wiodącej z Łasku do Piotrkowa Trybunalskiego. Prawa miejskie otrzymał dopiero w 1957 roku. Przedtem był dużą osadą, a formalnie rzecz biorąc wsią — z wójtem przed wojną i Gromadzką Radą Narodową po wojnie. Kiedy wieś Zelów została założona i skąd wzięła swą nazwę — nie wiadomo. Jeden z dokumentów archiwalnych (nie przeze mnie zresztą znaleziony) mówi, że „na początku XVI wieku były tu same łany kmiece, dające dziesięcinę snopową kościołowi w Buczku, a za konopne po 2 grosze od łanu".

W 1552 roku Zelów miał dziewiętnaście osad, potem przez całe wieki było o nim głucho. Właściwie jego historia zaczęła się dopiero pod panowaniem pruskim, w 1802 roku, gdy w trzecim rozbiorze Polski Fryderyk II zagarnął ziemie aż po Pilicę.

Zelów należał wówczas wraz z kilkoma pobliskimi wsiami do niejakiego Józefa Świdzińskiego, który z jakichś nie znanych bliżej powodów, postanowił sprzedać część swoich włości. Może władze pruskie cisnęły go podatkami lub synowie należeli do młodzieży bawiącej się z księciem Pepi w pałacu Pod Blachą w Warszawie... Możliwe są oczywiście jeszcze zupełnie inne powody tej decyzji. Faktem jest, że doszło do sprzedaży i że do naszych czasów zachował się dokument dotyczący jej. Znając Mamy zainteresowanie staropolszczyzną przepisuję najważniejsze jego punkty:

1. Ur. Świdziński dobra swe wieś Zelów w Powiecie Szadkowskim Województwie Sieradzkim sytuowane ze wszystkimi przynależnościami gruntami Lasami Łąkami Budynkami tak dworskimi iak i Wieyskimi Przywileyami y Prawami, iakie tylko do tey Wsi były i Są Prawem Dziedzictwa Sprzedaie Ur. Petrozelinowi i iego kompanii pod No 1, 2, 3, 4 wyszczególnionymi i tym, których Imieniem czynią, a to za Summę dobrowolnie umówioną Talarów

Pruskich a f. 6 trzymaiących 25666 2/3 czyli złotych Polskich sto pięćdziesiąt cztery tysiące, dico 154 000 złp.

2. Suma ta całkowicie wzięta wypłacona bydź powinna w połowie złotem ważnym obrączkowym, po a f. 18 rachowanym holenderskim, a w drugiej polowie monetą kurant pruską, to iest Talarami, a w czwartey części dwuzłotówkami, drobnieysza zaś Moneta Curantów w tym wypłaceniu Mieysca nie ma.

3. Ponieważ kupuiący chcą odebrać wszystkie grunta tak chłopskie iak i Dworskie przeto IMPan Świdziński Ludzi w Zelowie mieszkaiących w inszych Dobrach swoich dziedzicznych pomieści y rolami stosownemi do ważności gruntu na tamtym mieyscu opatrzy.

4. Cokolwiek Poddani Zelowscy na Zimę zasiali to wszystko Zboże bez naymnieyszey przeszkody sprzątnąć wolno im iest y za to żadney bonifikacyi kupuiący pretendować od nie będą.

Z tego samego dokumentu, znajdującego się dziś w archiwum parafialnym w Zelowie wynika, że o zamiarze IMPana Świdzińskiego herbu Półkozic, syna dobrze urodzonego Stefana i Marianny z Bąkowskich primo voto Kobielskiej, poinformowany był — Bóg raczy wiedzieć w jaki to się stało sposób — dobrze urodzony Aleksander de Korwin Petrozelin, syn „Aleksandra y Zofii z Bielskich Petrozelinów, niegdy zaś Jana Petrozelina y Zuzanny z Siedleckich wnuk". Sprawdziłem już w herbarzu Niesieckiego: wśród rodzin pieczętujących się Korwinem nie masz Petrozelinów!

Rozmawiałem na ten temat z pastorem Trandą (z Zelowa), który twierdzi, że Petrozelinowie wywodzili się z Francji, Aleksander natomiast pochodząc z Małopolski jakiś czas studiował teologię, lecz jej nie ukończył i nie został kalwińskim pastorem. Mnie się natomiast wydaje, że nazwa rodowa Petrozelin pochodzi po prostu od łacińskiej pietruszki, a właściwie od polskiej Pietruszki lub też zachodzi tu powinowactwo ze znaną rodziną Korwin-Piotrowskich. W okresie Reformacji lubiano latynizować nazwiska a wśród głosicieli nowych wyznań było wielu ludzi bez klejnotu szlacheckiego. W ten sposób na Mazurach protestanccy pastorzy z Mrągów stawali się w Mrongoviusami.

Oprócz tej latynizacji powierzchownej zdarzała się również latynizacja całkowita, czyli że jakiś małopolski Pietruszka mógł zostać Petrozelinem.

Jakkolwiek by nie było, faktem jest, że dobrze urodzony, choć nie notowany w herbarzach, prawdopodobnie nie siedzący na Dobrach swoich Aleksander Petrozelin podróżując po świecie dowiedział się o zamiarze właściciela Zelowa, Sromótki (tu bodajże znajdował się jego dwór), Grębocin, Łobudzic i Pukawicy. Na pewno zaś wiemy jak sprawa potoczyła się dalej, gdyż w najstarszej księdze zelowskiego zboru znajduje się własnoręczny zapis Aleksandra Petrozelina:

Dnia 15go 9ber (naturalnie chodzi o November, a więc w listopadzie — przyp. mój) 1802. Przechodząc przez Czermin byłem przez Wacława Pytliczka do Sołtysa proszony gdzie różnych Czerminianów y Taborianów zastałem, co mi mówili, że są w chęci kupienia sobie Dobra w Polszcze y prosili, abym im był pomocnym, potem Miller szedł do Bachowic z drugiemi się rozmówić a gdy się ztamtąd wrócił, zrobił ze mną następujący kontrakt, przez którą tą umowę zostałem Plenipotentem specialnym czyli umownym, do wszystkich czynów w tey sprawie ut intus.

Ut intus — a więc na pierwszej stronie. Istotnie, na pierwszej stronie foliału znajduje się czeski tekst „plenipotencji czyli umowy". Czeski dlatego, że czerminianie i taborianie byli Czechami i to oni właściwie kupili Zelów od Świdzińskiego, ponieważ jednak nie byli „dobrze urodzeni" musiał w ich imieniu „zadziałać" dobrze urodzony, choć nie majętny imć pan Aleksander...

No, ale dosyć na dziś o Zelowie, trzeba też de familiaris poruszanych w obu ostatnich Mamy listach. (...)

List trzeci

Kochana Mamo,

słusznie domaga się Mama ode mnie samokrytyki w związku z ostatnim moim listem. Istotnie, dałem się uwieść smaczkom językowym w starych dokumentach i zapomniałem napisać skąd się w tej całej historii wzięli czescy czerminianie i taborianie. Czermin i Tabor to dwie wsie między Kępnem (w Wielkopolsce) i Sycowem (na Śląsku). To jednak niewiele wyjaśnia i trzeba by zacząć od początku. W ten sposób mój list do Mamy przekształci się wprawdzie w traktat naukowy, ale skoro to Mamę interesuje, nie widzę innego wyjścia. Piszę zresztą ten list przez kalkę, odbitkę zostawię sobie, traktując ją jako tekst, który po ewentualnych uzupełnieniach czy poprawkach włączę do przygotowywanej książki o Zelowie, jako że i jej czytelnikom trzeba będzie wyjaśnić, dlaczego w aktach hipotecznych w Sądzie Powiatowym w Łasku właścicielem Zelowa jest nie osoba prywatna, ale Gmina Braci Czeskich!

Jednota Braci Czeskich — jako odrębny kościół chrześcijański — powstała już w 1457 roku, a więc na długo przed wystąpieniami Lutra i Kalwina. Składała się ona z resztek taborytów i waldensów, później również z utrakwistów; była więc kontynuatorką radykalnego nurtu społeczno-religijnego w hysytyzmie. Wyrażało się to w odrzucaniu większości sakramentów i ceremonii kościelnych, w kulcie pracy fizycznej, zakazie posiadania dóbr i piastowania urzędów państwowych, wreszcie w sprzeciwianiu się wszelkim wojnom, zwłaszcza religijnym.

W długiej historii Jednoty Braci Czeskich trzykrotnie dochodziło do masowego wychodźstwa z ojczyzny, spowodowanego prześladowaniami stojących u władzy utrakwistów i katolików. Pierwsza emigracja Braci Czeskich miała miejsce w 1548 r., druga — po bitwie pod Białą Górą, w 1628 roku (w emigracji tej uczestniczył również między innymi Jan Amos Komenský, słynny pedagog, który znalazł schronienie w Polsce, w Lesznie Wielkopolskim, silnym wówczas ośrodku protestantyzmu). Trzeci i ostatni exodus, wynikiem którego było między innymi również powstanie „czeskiego Zelowa", miał miejsce w połowie XVIII wieku.

Już w drugiej połowie XVII i na początku XVIII wieku

rekatolizacja Czech zaczynała osiągać swój szczyt. Symbolem pod tym względem mogą być trzy wydarzenia z 1729 roku: kanonizacja Jana Napomucena, — spalenie na stosie oskarżonego o herezję Tomasza Svobody — oraz wydanie książki *Klič kacírské bludy k rozeznavam otvírajicí k vykořěni zamýkajíci.* Jezuita Konias uznał wówczas za słuszne chwalić się tym, iż sam zniszczył trzydzieści tysięcy kacerskich książek!

Katolicki terror nie był jednak w stanie zniszczyć całkowicie husyckich i protestanckich tradycji w Czechach. W latach 1720—1722 część prześladowanych uciekła do Saksonii, a następnie osiedliła się pod Berlinem, we wsiach Rixdorf i Nowawes. W Czechach w 1732 roku doszło do rozruchów na tle religijnym w siedmiu wsiach koło Hradec Kralove, w sześć lat potem w okolicach Litomyśla.

W 1740 roku, w toku działań wojennych pierwszej wojny śląskiej, armia pruska wkroczyła do północnych Czech. Okupacja stworzyła realne możliwości dla trzeciej emigracji Braci Czeskich.

Jeden z mieszkańców miasta Hradec Kralove, Václav Tichý, miał wyznać kwaterującemu tam pruskiemu generałowi Kalksteinowi, że jako protestant chętnie wyemigrowałby z katolickich Czech do Prus. Generał złożył odpowiedni meldunek królowi Fryderykowi II, który uznał ten pomysł za słuszny i to do zrealizowania na wielką skalę. Licząc na to, że w traktacie pokojowym zagarnie Śląsk, postanowił zagospodarować zniszczony przez jego wojska nadodrzański kraj przy pomocy 30 tysięcy Czechów-protestantów. Wysłał więc do okupowanych rejonów Czech pochodzącego z Cieszyna Jana Liberdę, właśnie tego Liberdę, który głosząc w 1732 roku potajemne kazania w okolicach Hradec Kralove spowodował wspomniane przed chwilą zamieszki. Jako kaznodzieja w czeskich wsiach pod Berlinem (dziś już od dawna całkowicie zgermanizowanych) zasłynął krasnomówstwem i pietystyczną żarliwością.

Jan Liberda przybył do Tichego w Hradec Kralove 26 grudnia 1741 roku i korzystając z opieki i poparcia ze strony pruskiego pułkownika Leopolda von Anhalt-Dessau rozpoczął wśród Czechów skłaniających się ku protestantyzmowi, względnie jawnie go wyznających agitację za osiedleniem się ich na Śląsku, obiecując ewentualnym emigrantom w imieniu króla pruskiego swobodę wyznania religijnego, ziemię za darmo, własne kościoły i szkoły oraz po egzemplarzu biblii i kancjonału.

10 lutego 1742 roku zgłasza się pierwszych trzydziestu ochotników. W miesiąc potem przybywa do Ziębic na Śląsku — przez Nachod i Kudowę — druga, większa już grupa, licząca 231 osób, a na początku maja 1742 roku jest już w Ziębicach 1100 Czechów. Dużo, ale znacznie mniej, niż to sobie wykombinował Fryderyk II.

Warto podkreślić, że emigranci nie skorzystali z propozycji gen. Kalksteina i nie wyszli demonstracyjnie z ojczyzny razem z armią pruską. Przed opuszczeniem kraju chłopi czynszowi uregulowali swoje powinności wobec miejscowych feudałów.

Do tych, którzy opuścili Czechy przed zawarciem pokoju i wycofaniem okupacyjnych wojsk pruskich, dołączali potajemnie inni, pokonując rozliczne trudności przy przekraczaniu nowej granicy państwowej w Sudetach. Powstające osady czeskie na Śląsku zasilali w owym okresie nie tylko emigranci religijni, lecz także dezerterzy z wojska austriackiego, traktowani przez „prawdziwych Braci Czeskich" nieco z góry, jako „hadrabově". Prawdopodobnie ostatni tego rodzaju wielki dopływ nowych osadników, uchodzących przez „zieloną granicę", miał miejsce już w okresie wojen napoleońskich i wzmożonego poboru do wojska. Patent tolerancyjny cesarza Józefa (z 1781 roku) miał na celu — między innymi — właśnie powstrzymanie dalszego odpływu niekatolików z Czech.

Stabilizacja życiowa emigrantów zaagitowanych przez Jana Liberdę nie nastąpiła szybko i gładko. Niechęć do ka-

tolicyzmu i ucisku feudalnego wystarczyła do podjęcia decyzji w sprawie wyjazdu, w Ziębicach natomiast szybko zarysowały się rozbieżności wyznaniowe i kłopoty bytowe.

Rozbieżności teologiczne łagodził wspomniany już Jan Liberda, lecz po jego rychłej śmierci (9 sierpnia 1742 roku w Berlinie) ujawniły się one z jeszcze większą siłą. Pastorowie Andrzej Macher a następnie Paweł Pinzger starali się pozyskać Czechów dla wyznania ewangelicko-augsburskiego. Olbrzymia większość przybyłych opowiedziała się jednak po stronie Wacława Blanickiego. Był to ex-paulin z klasztoru w Częstochowie, z pochodzenia Czech, przysłany w 1744 roku do Ziębic przez zbór ewangelicko-reformowany z Leszna Wielkopolskiego, w którym żyły jeszcze tradycje drugiej emigracji Braci Czeskich z Janem Amosem Komenskim na czele.

Problemy wyznaniowe zazębiły się ze sprawami bytowymi. Niemieckie i luterańskie władze miejskie Ziębic traktowały przybyszów niechętnie i gotowe były przyjąć na stałe jedynie rzemieślników oraz tych, których stać było na kupno domu.

Urzędnicy królewscy nie dysponując ziemią, którą obiecywał za darmo nie żyjący już Jan Liberda, wysłali 614 osób (190 rodzin) do 30 wsi w powiecie ziębickim i do sześciu wsi w powiecie strzelińskim. Mimo to w Ziębicach nadal głodowało 550 osób. Ponad dwustu ludzi posłano więc do Małogoszowic w powiecie sycowskim, należących do hr. Reichenbacha, 129 osób natomiast (29 rodzin) do górnośląskiego Świerklańca i Tarnowskich Gór, do dóbr hrabiego Henckla von Donnersmarck.

Czesi nie chcieli jednak zgodzić się na rozproszenie ich po całym Śląsku, słusznie widząc w tym próbę pozbawienia ich obiecanych praw i swobód. Na szczęście Wacławowi Blanickiemu powiodła się zbiórka wśród kalwinów Holandii, Szwajcarii i Prus. Po kilku latach nędzy i kłopotów mogli więc Bracia Czescy za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić sobie ziemię. Bezpieczniej było nie przypominać królowi pruskiemu niespełnionych obietnic...

Miasto Strzelin posiadało wówczas dwa majątki ziemskie położone tuż za południową rogatką a całkowicie zapuszczone. Za zgodą władz rejencyjnych we Wrocławiu doszło po kilkumiesięcznych pertraktacjach do podpisania aktu kupna-sprzedaży. Czesi wpłacili gotówką 2000 talarów, zobowiązali się w ratach uiścić kwotę 5000 talarów, a resztą — 3500 talarów — obciążono ich hipotekę (obciążenie to trwało do pierwszej wojny światowej).

Korzystając z pobytu Fryderyka II we Wrocławiu Czesi w tymże 1749 roku uzyskali od niego potwierdzenie zawartej ze Strzelinem umowy oraz pisemne zapewnienie pełnej swobody religijnej, wolności od wszelkich świadczeń (łącznie ze służbą wojskową), wreszcie prawa do własnego języka w szkole i w kościele; miasto Strzelin natomiast przekazało Czechom nieużywany wówczas stary kościół, zbudowany jeszcze przez Piotra Własta. Przy kościele powstał czeski cmentarz.

Bracia Czescy na Dolnym Śląsku pozostali chłopami, należeli jednak w tej klasie społecznej do najwyższej warstwy, uznając nad sobą jedynie króla w Berlinie i Pana Boga w niebie.

Utworzoną w 1749 roku wieś pod Strzelinem nazwało 145 osiedlonych tam rodzin czeskich na cześć Jana Husa Husyńcem (po czesku Husinec, po niemiecku Hussinetz, po 1945 roku przemianowaliśmy ją, nie znając spraw osiemnastowiecznych, na... Gęsiniec!). Zgodnie też z tradycjami Braci Czeskich pagórek na południe od Husyńca nazwano górą Žižki, tego samego, który walczył pod Grunwaldem w oddziale Jana Sokoła.

Do tradycji husyckich nawiązała również druga grupa emigrantów. W tymże 1749 roku, po zakupieniu od księcia kurlandzkiego ziemi pod Sycowem, nowej wsi dano nazwę Velký Tabor. W jej sąsiedztwie już w 1752 roku powstał Malý Tabor. Jednota ewangelicko-reformowana z Leszna

Wielkopolskiego przysłała do Taboru na duszpasterza Pawła Bogusława Kałuskiego, Polaka pochodzącego ze Skoków pod Poznaniem. W 1756 roku (a wg innych źródeł w 1763 roku) zakupili Czesi z obu Taborów pobliski Czermin.

Teraz już Mama wie, kto to byli taboryci i czerminianie, z którymi z 1802 roku — prawdopodobnie w miejscowej karczmie, ale może też i w taborskim domu modlitwy — zetknął się ich polski współwyznawca, kalwin „dobrze urodzony" choć bez majętności Aleksander de Corvin Petrozelin. Ponieważ jednak to brzmienne w skutki spotkanie miało miejsce znacznie później, trzeba jeszcze powiedzieć parę słów o innych skupiskach Braci Czeskich na Dolnym Śląsku, gdyż i one odegrały potem poważną rolę w powstaniu i rozwoju Zelowa.

Już w 1752 roku do ośrodka strzelińskiego i sycowskiego doszedł opolski. „Stolicą" tego ostatniego stała się wieś Grecz (obecnie Grodziec), którą na cześć Fryderyka II nazwano po czesku Beřichův Hradec, po niemiecku Friedrichsgraetz). Inicjatorem założenia Grecza był dotychczasowy pastor w Husyńcu, Wacław Blanicki, który jednak nie osiadł na stałe w nowej wsi, lecz przeniósł się do kurlandzkiej Libawy, a w 1762 roku zamieszkał w Królewcu, gdzie też w 1774 roku zmarł.

Ośrodek strzeliński powiększył się znacznie w 1764 roku o sąsiadujący od wschodu z Husyńcem majątek Melta. Utworzono z niego najpierw Nowe Podiebrady (na cześć króla-husyty Jerzego z Podiebradu), następnie podzielono tę osadę na trzy wsie: Dolne, Średnie i Górne Podiebrady (po czesku: Dolni, Prostředni i Horni Poděbrady — dziś: Gościęcice!).

Jakiś czas istniał jeszcze ośrodek ziębicki utworzony z tych Braci Czeskich, którzy przyłączyli się ostatecznie do miejscowych luteran, co doprowadziło szybko do ich germanizacji. Natomiast wierne kalwinizmowi ośrodki strzeliński, sycowski i opolski zachowały swą czeską odrębność choć otoczone były wsiami polskimi i katolickimi, względnie — jak w rejonie Strzelina — niedawno zgermanizowanymi (rzecz ciekawa: jedna z dziewięciu części Husyńca nosiła czeską nazwę: „Na polske straňe", względnie „Na polsku"!).

Już w 1787 roku władze niemieckie zmierzają do germanizacji Braci Czeskich w ośrodku sycowskim. Skończyło się to jednak całkowitym fiaskiem.

Uprzywilejowane stanowisko społeczne w połączeniu z gospodarnością i... dużym przyrostem naturalnym spowodowały wkrótce przeludnienie. Bracia Czescy zaczęli osiedlać się pojedynczo w pobliskich wioskach, a w 1801 roku kupili w rejonie Opola całą wieś — Lubin. Wśród pierwszych czterdziestu osadników Lubina znaleźli się jednak nie tylko Czesi z ośrodka strzelińskiego, byli wśród nich także i ludzie urodzeni w Czechach, w okolicach Hradec Kralove, Časlavia, Nachodu i Litomyśla. Kto wie, czy większość tych ostatnich nie stanowili dezerterzy z wojska austriackiego, które krwawiło już przecież od ładnych kilku lat w wojnie z rewolucją francuską na polach Lombardii. Szperając w archiwum zelowskim staram się znaleźć dokumenty, które potwierdziłyby moją hipotezę, że zarówno w 1801 roku kupno Lubina jak i w rok potem Zelowa spowodowane było powiększeniem się społeczności Braci Czeskich przez owych „hadrabovych", którym nie chciało się walczyć za austriackiego cesarza.

Myślę, że po tym referacie stanie się dla Mamy jasne dla kogo to imć Petrozelin kupił w 1802 roku wieś Zelów, dla mnie jednak zagadka dopiero się zaczyna, znalazłem bowiem nieco polskich i czeskich prac na temat Zelowa. Są to artykuły i broszurki pisane na ogół z pozycji konfesyjnych, nie wolne od tendencyjnych przemilczeń i wyolbrzymień. Nie zawsze można to zauważyć, ale gdy się ma dostęp do dawnych dokumentów archiwalnych, przez nikogo nie wykorzystanych, wtedy dopiero trzeba stawiać sobie przeróżne znaki zapytania. Zwłaszcza, że do spraw porusza-



nych we wspomnianych artykułach i broszurkach dochodzą nowe, wprost fascynujące. Mamę jako nauczycielkę na pewno zainteresują sprawy szkolne w Zelowie, np. kariera Jana Duszka, ale o tym kiedy indziej, gdy będę miał pewniejszy pogląd na całość zagadnienia.

Mam nadzieję, że po takiej epistole jak dzisiejsza przestaniecie dopominać się częstszych listów ode mnie. Zapowiadam korespondencyjną wstrzemięźliwość z bardzo prostego powodu — po 10, 12 godzin dziennie siedzę w zelowskim archiwum, ręka mi już puchnie od robienia notatek, a wieczorem zasypiam „bez rozbiegu", co — jak wiecie — rzadko mi się zdarza.

Serdecznie Wszystkich w obu domach całuję.

List czwarty

Szanowny Panie Profesorze,

uprzejmie dziękuję za teksty czeskich pieśni ludowych, które kilka lat temu zanotował Pan w Zelowie. Dziś ludzie, którzy je Panu podali albo nie żyją, albo są tak starzy i zniedołężniali, że trudno z nich coś wydobyć. Dowiedziałem się wczoraj, że trzy lub cztery lata temu była w Zelowie i w Kucowie ekipa naukowa Czeskiej Akademii Nauk z Pragi, która zbierała materiały etnograficzne. Niestety, nikt nie umie podać mi nazwisk czy też jakiegoś konkretnego adresu. Wygląda na to, że najprostszym wyjściem będzie po prostu pojechać do Pragi...

W swojej książce pisze Pan profesor, że zaginęła pod koniec okupacji hitlerowskiej kronika zelowska zapoczątkowana przez ks. Mozesa. Po prowizorycznym uporządkowaniu archiwum zboru zelowskiego dochodzę do wniosku, że strata jest prawdopodobnie mniejsza niż można by przypuszczać. Najlepiej prowadzone są właśnie teczki założone przez ks. Mozesa, więc chyba będzie można na ich podstawie zrekonstruować, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w głównych zarysach dzieje Zelowa po zbudowaniu kościoła, czyli po 1825 roku.

Jeśli natomiast ks. Mozes w swojej kronice wykorzystywał nie tylko posiadane dokumenty, ale też i relacje ustne, wówczas zaginięcie jej staje się niepowetowaną stratą.

Wydaje mi się, że wczytując się w najstarszy dokument, a właściwie zbiór dokumentów, jakim jest księga z odpisami akt oraz z zapisami urodzeń, małżeństw i zgonów od roku 1803 do 1821, udało mi się wydobyć sporo szczegółów rzucających wiele nowego światła na ten pierwszy „pionierski" okres „czeskiego Zelowa".

A więc 15 listopada 1802 roku Wacław Pytliczek spotyka się z Aleksandrem Petrozelinem. W pięć dni potem, po koniecznych uzgodnieniach, wypisana zostaje w Cerminie plenipotencja dla Petrozelina — za podjęcie się „misji dobrych usług", jakbyśmy to dziś powiedzieli, ponieważ Petrozelin:

> ...również życzy sobie mieć udział w tej wsi, tedy przyrzekają w nagrodę za jego fatygę, że jego miejsce od wszystkiego, co się onus nazywa, oprócz królewskich podatków wolne będzie, a cała gromada ciężary te za niego na siebie przyjmuje, jednak zastrzegają sobie, że to miejsce nie może być droższe jak siedemdziesiąt pięć talarów. Gdyby zaś wziął więcej gruntu, tedy obowiązany będzie z tego drugiego tak jak inni sąsiedzi ciężary ponosić. On zaś zastrzega sobie, żeby to, co przyszło gotowemi pieniędzmi płacić, jako to potwierdzenie kontraktu, drogi, poczty do nich należało.

Zanosiło się więc na to, że Petrozelin stanie się w „czeskim Zelowie" primus inter pares, co oznaczało dla niego całkowite schłopienie. Nie doszło do tego, chociaż Petrozelin w kilkanaście lat potem staje się współnabywcą również i Kucowa (Pan Profesor pozwoli, że zwrócę w tym miejscu uwagę na błąd, jaki się wkradł do Pana książki — Kuców nie przeszedł w ręce czeskie dopiero około 1850 roku, nie założyli oni również tej wsi: jeśli Pana te sprawy interesują — chętnie służę szczegółami).

Wracając do Petrozelina i Zelowa: Braciom Czeskim

bardzo potrzebny był pośrednik ze stanu szlacheckiego, ale nawet kalwinowi nie dowierzali i w końcu „wykołowali" go, mimo cytowanej przed chwilą formalnej obietnicy.

Wróćmy jednak do chronologii wydarzeń. Umowę z 20 listopada 1802 roku podpisali czerminianie: Jan Matys, dwu Maciejów Matysów, Marcin Korzynek, Wacław Pytliczek, dwu Janów Jelinków, Jan Polaczek, Jerzy Nauman, Jan Słama, Fryderyk Prowaznik, a jako świadkowie Marcin Buresz i Karol Nemeczek. Następnego dnia uzyskano podpisy kolonistów czeskich z Nowej Wsi i Zofijówki, natomiast dopiero 21 grudnia przyłączyli się do tego przedsięwzięcia in gremio mieszkańcy Husyńca i Średnich Podiebrad pod Strzelinem, w imieniu ich pod stosownym dokumentem podpisali się Wacław Srebrny i Wacław Benesz.

Myślę, że Pan Profesor zgodzi się ze mną, iż akces strzelinian był raczej czymś w rodzaju żyra wekslowego a nie faktycznym współuczestnictwem w kupnie, ponieważ w tym samym dniu, 21 grudnia 1802 roku, w dalekim Zelowie znaną Panu umowę parafowało w imieniu Czechów czterech Janów: Pospiszył, Polaczek, Jersak i Matejka. Bodajże z miejsca wpłacili oni pierwszą ratę należności w wysokości prawie dziesięciu tysięcy talarów. W dwa dni potem sąd w Łasku zatwierdza akt kupna-sprzedaży. Święta Bożego Narodzenia spędził zapewne pan Petrozelin u państwa Świdzińskich, ale Czesi mogli nie zdążyć na wieczerzę wigilijną wśród swoich.

Z różnych wzmianek w dokumentach odnoszę wrażenie, że Petrozelin musiał jeździć w sprawie Zelowa do Kalisza a nawet do samego Berlina i starać się o poparcie współwyznawcy (późniejszego senatora Królestwa Kongresowego) wielmożnego pana Bronikowskiego.

Już po wpłaceniu drugiej raty (5 tysięcy talarów — w dniu 1 lutego 1803 roku) osadnicy czescy przyjeżdżają na nową ziemię, a 23 marca przychodzi na świat pierwszy zelowski Czech: Jan Nemec, syn Jana i Marii z Kumpoldów...

3 maja 1803 roku wpłacona zostaje trzecia rata należności (8227 talarów) a Petrozelin otrzymuje zapewnienie, że za swoją „fatygę czyli mitręgę" będzie miał prawo do arendy „bez pieniędzy czyli darmo" na okres jednego roku.

W kilka dni potem z berlińskiego Gabinetu Królewskiego Jan Pospiszył otrzymuje reskrypt — najwyższą gwarancję niezawisłości i posiadania.

Wreszcie w ostatnich dniach czerwca 1803 roku całe przedsięwzięcie zostaje pomyślnie zakończone — Świdziński otrzymuje czwartą i ostatnią ratę należności (3532 talary), natomiast Petrozelin musi się zgodzić na to, że w zamian za obiecaną arendę jego „summa za Zelów" zostanie zmniejszona o 200 talarów. Odnoszę wrażenie, że Wny Petrozelin w ogóle nie został „sąsiadem tutejszym", używając określenia bardzo często występującego w najstarszych dokumentach zelowskich.

Współwłaściciele Zelowa, członkowie Gminy Braci Czeskich zbierają się następnie 20 czerwca 1803 roku w „piwowarze" (wiadomo — Czesi!), tworzą to, co nazwałbym pierwszym zelowskim triumwiratem. W jego skład wchodzą Maciej Łukaszek, Fryderyk Prowaznik i Jan Wesołowski. Zebrani uroczyście przyrzekają im posłuszeństwo. Najciekawszą postacią tego osadniczego triumwiratu jest moim zdaniem Maciej Łukaszek z podopolskiego Lubina, ale ponieważ Lubin kupiony został na kilkanaście miesięcy przez Zelowem, więc rodzi się pytanie skąd właściwie pochodził Łukaszek — z ośrodka strzelińskiego czy bezpośrednio z Czech?

Mam nadzieję, że Pana Profesora jako interesującego się i historią Braci Czeskich i ich działalnością literacką (a właściwie ich piśmiennictwem) zainteresuje moje „znalezisko" zelowskie. Jeden z miejscowych Czechów posiada książkę, która była własnością Łukaszka. Więcej — była poniekąd dziełem jego rąk, składa się bowiem z *Agnus Dei to iest kratke vysvětlenj slov svateho Jana Křtitiela* (autorem tej pracy był ks. Cyprian Zatecky), z dwu kazań

Jana Amosa Komenskiego oraz z kilku dalszych kazań bez podania autora — a po *Agnus Dei* znajduje się adnotacja: „Nynj zase znowu přepsane dne 6 Listopadu od Matěye Lukašeka”.

Wybrano więc do „czerwcowego triumwiratu” człowieka na pewno wyróżniającego się — chociażby tym, że umiał (i chciał!) kaligraficznie, naśladując starannie drukowane litery (warto na to popatrzeć!), przepisywać całe książki...

Nie wątpię, że gdy Pan Profesor weźmie tę jedyną w swoim rodzaju książkę do ręki zauważy w niej — jako specjalista — dalsze ciekawe szczegóły, dla mnie „niewidoczne”.

Jeszcze raz dziękując za zelowskie pieśni ludowe, łączę wyrazy głębokiego szacunku.

List piąty

Drogi Władku,

piszę do Ciebie jako do prawnika z prośbą o poradę. A pozwalam sobie zawracać Ci głowę, ponieważ mam nadzieję, że jako autorowi wielu cennych powieści historycznych i obyczajowych może Ci się przydać ta „sprawa babci i wnuczka”.

Całą kwestię można by zawrzeć w dość prostym — pozornie — pytaniu: czy istotnie prawo kanoniczne, obowiązujące w kościele ewangelicko-reformowanym, zabrania zawarcia małżeństwa między babcią a wnuczkiem? Naturalnie nie chodzi o rodzoną babcię i rodzonego wnuczka. Pomyślisz zapewne w tym miejscu, że stroję sobie żarty z Ciebie. Słowo daję, że nie. Sam się zresztą przekonasz, jeśli uważnie przeczytasz mój list. I chyba przyznasz mi też rację, że jest to świetny temat literacki. W zamian za poradę — ofiarowuję Ci temat.

Jako łodzianin słyszałeś pewnie o Zelowie, więc nie potrzebuję przedstawiać Ci tej miejscowości. W 1840 roku pastor Jan Mozes otrzymał od superintendenta polecenie sporządzenia wykazu „osób w konkubinacie żyjących”. W tym celu zaprosił na plebanię wszystkich „zainteresowanych”. W ich obecności sporządził notatki, które jednak przeredagował przed wysłaniem do Kalisza. Obie wersje zachowały się w zelowskim archiwum. Szkoda, że nie możemy porównać ich z rzeczywistym przebiegiem rozmów (o zapisie magnetofonowym przecież w owych czasach jeszcze się nikomu nie śniło). Jeszcze ciekawszym byłoby poznanie myśli indagowanych. Nie wiemy tego i nie będziemy wiedzieć, ale konfrontowanie obu zapisów umożliwia przeprowadzenie dedukcji albo... rozpoczęcie fantazjowania.

Ks. Mozes zarejestrował trzynaście par, najważniejsza jest jednak jedna: babcia i wnuczek. Na wypadek jednak, gdyby Cię ten temat chwycił, przedstawię Ci pokrótce i pozostałe, gdyż każda rzuca odmienne światło na sprawę „zelowskich konkubinatów anno 1840”.

Pierwsza sprawa:

Antoni Eiselt płóciennik w Zelowie z Marią z Nowaków w Zelowie zamieszkali. Eiselt jest rodem z Greibitz w Czechach, a Maria z Nowaków z Taboru w Szląsku. Żyją z sobą w konkubinacie od lat 3, dwoje dzieci — Antoni i August. Przyczyny podał, iż nie był w stanie wyprawić wesela, iż jako czeladnik w Pabianicach za warsztatem robił i tam poznał tę, z którą żyje, że chorował jako czeladnik i na chorobę poszło co zarobił, oświadczył przytem wraz ze swoją konkubiną, iż jest ich oboj-ga myślą połączyć się religijnie ślubem małżeńskim skoro sobie na wyprawę zarobią. Na co się własnoręcznie podpisali.

Istotnie, podpisali się. Nie wiedzieli jednak, że pastor dał im do podpisania tak zwany czystopis. A na tak zwanym brudnopisie pozostawił:

...Robiąc za czeladnika w Pabianicach nie był w stanie ponieść kosztów ze ślubem i wyprawieniem wesela połączonych, zwłaszcza gdy z przelęknienia wielkiej choroby dostał i na kurację wynakładać musiał. Oświadczył, iż skoro sobie zarobi, gdy jest ich myślą żyć z sobą, a konkubina jego mając wkrótce udać się na

Śląsk do krewnych, odbierze swoją część, nie omieszka połączyć się z nią ślubem małżeńskim religijnie. Takowe tłumaczenie złożyli oboje w konkubinacie z sobą żyjący.

Na marginesie ks. Mozes dopisał jeszcze:

Oboje stawający byli bardzo zaambarasowani, co mieli powiedzieć, za przyczyną, iż ślubu nie biorą. Ich tłumaczenie zdaje się być tylko wybiegiem, aby uniknąć dalszych badań.

Bardzo możliwe. Na bardziej otwarte postawienie sprawy pozwoliła sobie natomiast matka następnej konkubiny:

Paweł Polaczek Płóciennik i Maria Szebestówna, w Zelowie zrodzeni i zamieszkali, ona przy nadziei. W miejsce osób w konkubinacie żyjących stanęła matka z Matysów Szebestowa i oświadczyła, że z jej wiedzą i zezwoleniem chodził Paweł Polaczek do jej córki Marii w myśli ożenienia się z nią i zawarcia ślubów małżeńskich. W te śluby jednak nie wszedł z powodu, że jest kotonistą i po świecie biega, czasem swą konkubinę odwiedzając. Że zaś ma być do wojska wzięty, przeto matka na połączenie się ich nie zezwala.

Nie umiejąc pisać kładzie trzy znaki krzyża.

Pastor w obu zapisach jest jednomyślny, tylko na marginesie brulionu pozwala sobie na ironię:

Osobliwa rzecz, że Paweł Polaczek we wsi jest i u konkubiny bywa, a wójt gminy mający go odstawić do wojska nie wie o tym. Że się ukrywa, to jest rzeczą naturalną u takich ludzi.

Chyba nie tylko „u takich ludzi" skoro w owych czasach szło się „w sołdaty" bodajże na dwadzieścia lat. Trudno się też dziwić matce, że nie chciała dla córki męża, który wróci z wojska jako „stary dziad"...

Zupełnie inny „krajobraz społeczny" widzimy w trzecim przypadku:

Jan Jersak, wdowiec, półhubny gospodarz z Elżbietą z Wacków Łacisławową wdową. Konkubina jest przy nadziei. Żyją z sobą od Wielkanocy roku bieżącego. Innego powodu nie podali oprócz, iż dla zatrudnień polowych dzień za dniem schodził aż do tych czas, jednak są w zamiarze połączyć się ślubem małżeńskim religijnie. Na co się podpisuje własnoręcznie — Jan Jersak.

Gdybyż to czwarta sprawa była tak samo jasna, pastor zelowski miałby spokojniesze życie. Niestety — oto ona:

Jan Kontecki, płóciennik i Maria z Stejskałów. W konkubinacie od lat sześciu żyją z sobą. Konkubina jest przy nadziei. Mają dziecko Marię. Za przyczynę podał, iż wprzód nie pozwalali na to małżeństwo rodzice jego, a teraz radby z nią wziął ślub, gdyby tylko z Policji poprawczej w Szadku, gdzie za karę względem innej winy trzy niedziele zostawała, uzyskała świadectwo, iż Sąd już nic nie ma do niej. Na co się własnoręcznie podpisuje — Jan Kontecki.

Pastor w tym wypadku wie swoje:

...Rodzice nie pozwalali, bo Maria Stejskałowna była płocha i złych obyczajów. Sądowi oddana była przez Wójta Gminy Zelowa w skutek idącego po wsi głosu, iż dziecko swoje zaraz po urodzeniu udusiła, a matka jej w ziemię schowała. Zapirały się tego obiedwie, szukano trupa, ale nie znaleziono. (To zdanie wolał jednak potem ks. Mozes w swym brulionie skreślić — przyp. mój). Gdy wójt nie czynił w tej mierze śpiesznie i skrycie śledczych kroków, nic się nie wykryło i nie wiadomo czy trup nie był wykopany i gdzieindziej pochowany.

Zwróć uwagę na to, że ks. Mozes miał w tej sprawie więcej do zarzucenia wójtowi niż konkubinie. Jeślibyś zdecydował się na pisanie powieści o babci i wnuczku, musi się w niej znaleźć postać ks. Mozesa, człowieka niezwykle ciekawego. No, ale wróćmy do konkubinatów:

Wacław Matejka, wdowiec, wyrobnik, żyjący z Anną z Łukaszków Anderszową, wdową, w konkubinacie od lat trzech. Innej przyczyny nie podał prócz tej, że jest już stary, a z wyrobku ledwie wyżywić się może. Na oświadczenie, iż dla jego ubóstwa bezpłatnie ślub uzyska, odpowiedział, że mu się to na nic nie przyda, ponieważ może ją odpędzi od siebie, bo ona nie ma ani pierzyny. Nie umiejąc pisać kładzie na miejsce podpisu trzy znaki krzyża.

Ks. Mozes w brulionie wyjaśnia: „Ma on już siedemdziesiąt lat. Jest to dziwaczny człowiek i pijak, dlatego nic nie ma i o nic się nie pyta". I — zapewne wzruszywszy ramionami — ks. Mozes poprosił następną parę:

Stefan Osiecki, wdowiec, stolarz, z Elżbietą z Millerów Hetmankową, wdową. Żyją z sobą w konkubinacie od lat trzech. Miejsce zamieszkania Ignaców. Za przyczynę kładł niemożność swoją, oświadczył jednak, że ma zamiar postarać się, aby był religijnie z obraną swoją dotychczasową konkubiną małżeństwem połączony jeszcze w tym roku. Zamiast podpisu kładzie trzy znaki krzyża.

Z brulionu wynika nie tylko to, że Osiecki był katolikiem (a więc Polakiem), ale też, że:

...niewiadomo dlaczego nie starał się o akt zejścia (swojej żony — przyp. mój). Upominany będąc przed dwoma laty, aby tak nie żył, domagał się ślubu, ale sepultury nie chciał złożyć, chociaż twierdzi, że akt zejścia zmarłej jego małżonki jest w księgach cywilno-kościelnych w Tuszynie.

Podobny jest również przypadek Jana Wrany i Anny Reifówny z tą tylko różnicą, że Wrana otrzymał polecenie sprowadzenia sepultury aż ze Śląska, a pastor miał o nim jeszcze gorsze zdanie niż o Osieckim.

Człowiekiem bardziej złej konduity — zdaniem ks. Mozesa — był również Karol Bleuzer, rozwodnik żyjący z Anną z Jersaków wdową Jelonkową. Sympatyczniej natomiast przedstawia się w jego relacji Jan Korzonek, który dał się usidlić Marii z Millerów Braszce, „bardzo nierządnej osobie". Korzonek stawiwszy się przed pastorem wolał milczeć cały czas, twierdząc, że bardzo boli go brzuch...

Pomijam dwie dalsze sprawy, bardzo skomplikowane, a nie wnoszące niczego nowego do obrazu obyczajowości zelowskiej w 1840 roku, i na koniec — „sprawa babci i wnuczka":

Maciej Miller, wdowiec, wyrobnik, z Marią z Karliczków, pierwszego ślubu Hoffmanową drugiego ślubu Millerową, wdową. Żyją z sobą w konkubinacie od lat trzech. Imiona ich dzieci: Maria żyje, Karol, Karolina pomarły. Przyczyny są, iż Maciej Miller jest wnukiem swojej konkubiny. Ta okoliczność była już przed laty piętnastu w Warszawie przez konsystorz Ewang. Reformowany rozbierana i niedopuszczona. O czem wiedzą oboje w konkubinacie żyjący. Na co się też znakiem trzech krzyżów stawiająca podpisuje.

Ks. Mozes miał widocznie tej sprawy powyżej uszu, bo nie zadbał nawet o precyzję oficjalnej relacji. Już bowiem na pierwszy rzut oka widać jakąś nieścisłość: jeśli żyją z sobą tylko od trzech lat, dlaczego sprawa rozpatrywana była piętnaście lat temu?

Jeśli oddaję Ci ten temat w rewanż za poradę prawną,

to jednak za dalsze szczegóły, mozolnie wyszperane w zelowskich aktach stanu cywilnego należy mi się od Ciebie co najmniej butelka koniaku.

Roku Pańskiego 1784 Anna z Dostałów powiła w Lubinie na Śląsku swemu ślubnemu małżonkowi Franciszkowi Karliczkowi dziecię płci żeńskiej, któremu na chrzcie dano imię Maria. Maria miała już dwadzieścia cztery lata, a więc późno jak na owe czasy, gdy 7 czerwca 1808 roku w skromnym zelowskim domu modlitwy, dawnym dworku pana Świdzińskiego, poślubił ją wdowiec Jerzy Hoffman. Nie minął nawet rok, a już 26 marca 1809 roku urodził się im pierwszy syn. Drugi przyszedł na świat 4 sierpnia 1810 roku. Pierwsza córka w cztery lata potem, druga — w 1820 roku...

Jerzy Hoffman miał z pierwszego małżeństwa, zawartego jeszcze na Śląsku, córkę Annę, która wyszedłszy za mąż za Jerzego Millera obdarzyła go synem. Z chwilą ślubu dziadka Jerzego Hoffmana sześcioletni Maciek Miller został automatycznie wnuczkiem młodej, chyba trzeciej z kolei żony dziadka — tylko osiemnaście lat od niego starszej. Gdy zmarł dziadek Hoffman jego wnuczek Maciek miał dwadzieścia parę lat, podczas gdy babka-wdowa nie przekroczyła jeszcze czterdziestu.

Dla ludzi byli babką i wnuczkiem, a czym byli naprawdę dla siebie?...

Jak widzisz, była to dziwna miłość, ale chyba autentyczna. Szczegóły jej pozostaną dla nas już na zawsze tajemnicą — chyba, że ten temat Cię porwie i czytając Twoją nową powieść uwierzymy w prawdopodobieństwo stworzonych przez Ciebie sytuacji.

Jeśli Ci się to na coś przyda, zapamiętaj: w zelowskiej *Księdze pogrzebionych* pod numerem kolejnym 509 zanotowano:

28 września 1826 roku zmarł Karol t. zw. Miller, syn Maryi z Karliczków Hoffmanowej, wdowy, w kazirodztwie z Maciejem Millerem, wnuczkiem jej spłodzony, żył 24 niedziele.

Pomyśl — czym była dla Marii i Macieja śmierć półrocznego Karola? Czym była dla nich śmierć ich córki Marii, a potem Karoliny?

Może pod wpływem tego tragicznego odchodzenia małych dzieci, może opinii publicznej (babcia i wnuczek!), może — z powodu różnicy wieku, która mimo wszystko między nimi istniała i z biegiem czasu raczej ich dzieliła niż łączyła, a może wreszcie z jakichś innych przyczyn Maciej i Maria po kilku latach rozeszli się. Powtórnie zamężna Maria z Karliczków Hoffmanowa została wprawdzie Millerową... ale — nie Maciejową!

Oba małżeństwa — i drugie jej i pierwsze jego — nie trwają długo. Śmierć powoduje, że po kilku latach oboje są stanu wdowiego i — stara miłość widocznie nie rdzewieje — znów się schodzą. Tym razem nie mają dzieci — ona liczy sobie ponad pięćdziesiąt lat i dzieci już mieć nie może. Ale gdy ks. Mozes wezwał ją do siebie, odpowiedziała pastorowi na jego gorzkie wymówki: „Ej, co ja tam za babka! Ja go od siebie wypędzić nie mogę, kiedy on sam odejść nie chce, a przeto rada bym z nim wzięła ślub, gdyby był mi dany".

To chyba jednak nie była rozpustnica.

Konsystorz nie zgodził się na ich małżeńswo, więc żyli bez kościelnego błogosławieństwa, ja jednak chciałbym wiedzieć czy istotnie prawo kanoniczne jest w takich wypadkach tak bezwzględne? To pytanie do Ciebie jako do prawnika, dla powieściopisarza dorzucam jeszcze parę szczegółów z życia babci i wnuczka:

Maciej Miller zmarł w 1848 roku, w wieku zaledwie czterdziestu sześciu lat. Maria wkrótce potem wyszła po raz trzeci za mąż za Macieja Szwejdara. A potem w aktach stanu cywilnego jest już tylko jedna notatka, ostatnia:

Działo się we wsi i gminie Zelowie, Powiecie Sieradzkim, Gubernii Warszawskiej dnia 25 stycznia (6 lutego) 1860 roku o godzinie jedenastej przed południem. Stawili się Maciej Szwejdar, gospodarz lat 71 i Fryderyk Miller, żołnierz lat 24 liczący, w Zelowie zamieszkali i oświadczyli, że w dniu 25 stycznia (6 lutego) roku bieżącego o godzinie szóstej z rana zmarła w Zelowie Maria z Karliczków trzeciego ślubu Szwejdarowa, rolniczka w Zelowie zamieszkała, lat 76 licząca, urodzona we wsi Lubinie w Szląsku, z zmarłych już Franciszka i Anny z Dostałów małżonków Karliczków, gospodarzy we wsi Lubin w Szląsku niegdyś zamieszkałych, zostawiwszy po sobie dwóch synów, z pierwszego małżeństwa Pawła Hoffmana, z drugiego małżeństwa Fryderyka Millera, tudzież owdowiałego męża trzeciego ślubu Macieja Szwejdara.

Aha, jest jeszcze jeden dokument w archiwum zelowskim, z którego dowiadujemy się, że Maria 3° voto Szwejdarowa zmarła na astmę, a zostawiła w spadku pierzynę.

Czekając na odpowiedź serdecznie ściskam Twą dłoń.

List szósty

Drogi Tadku,

wprawdzie odjazd pociągu przerwał naszą dyskusję na tematy zelowskie, ale jest jeszcze Poczta Polska i stwarzana przez nią możliwość listownego wykazania Twoich „błędów i wypaczeń".

Sprawa jest niewątpliwie skomplikowana. Blisko sto pięćdziesięcioletnia historia „czeskiego Zelowa" posiada swoje okresy i podokresy, a w każdym pokoleniu stosunki między poszczególnymi grupami etnicznymi układały się różnie.

Zacznijmy od początku, a więc od pierwszego okresu trwającego od 1802 do 1871 roku (tzn. do śmierci pastora Mozesa). W tym okresie wyróżniłbym kilka podokresów: „pionierski", budowy kościoła, „wojny żydowskiej", dobrobytu, wreszcie „eksplozji demograficznej" łącznie... z rozchodzeniem się po szerokim świecie.

Wszystkie te podokresy łączy jednak to, co nazwałbym „hermetycznością czesko-religijną". Gmina Braci Czeskich otoczona była mniej więcej do 1871 roku swoistym „chińskim murem", za którego odpierała różnorodne próby infiltracji polskiej, żydowskiej, niemieckiej. Przyznasz mi

chyba rację, że to zamykanie się w dobrowolnym getcie miało swoje złe, ale i dobre strony. Co jest jednak w tego rodzaju przypadku „dobre" a co „złe"?

Generalnie — dobre to, co służy sprawie postępu, sprawie rozwoju gospodarczego, społecznego, kulturalnego. W tym miejscu zgadzamy się, ale sprawa zaczyna się komplikować, gdy wpatrzymy się bliżej w ówczesne życie tej wysepki wolnych chłopów w „feudalnym morzu" Królestwa Polskiego, a następnie „priwislanskiego kraju". Jeszcze inaczej rysuje się ten obraz, jeśli weźmiemy pod uwagę ówczesny rozwój przemysłu włókienniczego w Łodzi i okolicy.

Z racji swoich zainteresowań historią Mazur i Warmii jestem dosyć „obyty" z dawniejszymi pruskimi opracowaniami topograficzno-statystycznymi i po nie też sięgnę jako po mniej znane, a bardzo ciekawe.

Otóż w rok po trzecim rozbiorze Polski, w którym Prusy zagarnęły ziemie po Narew, Bug i Pilicę, opublikowano w Halle *Topographisch-Statistisch-Geographisches Wörterbuch* z którego wynika, że powiatowe dziś miasto Bełchatów było wówczas wsią szlechecką, liczącą 24 dymy. Między Bełchatowem a Zelowem, również wsią szlachecką (nie podano jednak liczby dymów), znajdowały się Bujny Szlacheckie z 27 dymami, Bujny Mniejsze (7 dymów) i Bujny Większe (9 dymów). Lecz i od Bełchatowa i od Bujnów znacznie większą miejscowością była wówczas położona po drugiej stronie Zelowa wieś kościelna Buczek, w której naliczono aż 51 dymów.

Druga z kolei tego typu publikacja pruska (A. C. von Holsche *Geographie und Statistik von West- Süd- und Neu-Ostpreussen)*, wydana w 1804 roku, a oparta na wynikach spisu z 1800 roku, a więc nadal jeszcze sprzed przybycia Braci Czeskich, uwzględnia już wyłącznie miasta. Ba! Ale cóż to były za miasta! Sam się o tym przekonaj:

Lodz, im Brzezinischen Kreise, ist ein kleiner offener Ort mit 72 Häusern und 361 Einwohnern... co znaczy — Łódź, w powiecie

brzezińskim, mała, nie otoczona murami miejscowość z 72 domami i 361 mieszkańcami...

Taka to była Łódź na dwa lata przed przybyciem Czechów do Zelowa!

A Bełchatów? Bełchatów — choć miał nadal tylko 115 mieszkańców — nazwany został „szlacheckim miasteczkiem w piaszczystej okolicy w powiecie piotrkowskim, odległym 14 mil od Kalisza; z zaznaczeniem — „całkiem nieważna miejscowość". Ten sam pogardliwy epitet przypadł również w udziale Tuszynowi — „małemu miasteczku królewskiemu w powiecie piotrkowskim, będącemu także osadą rolniczą" (935 mieszkańców).

Lepiej prezentowały się wówczas Pabianice — należące tak jak Tuszyn do królewszczyzn — położone:

...w lesistej i mokrej okolicy, w odległości 12 mil od Szadku, (które) ...wraz z 70 okolicznymi wsiami należały niegdyś do kapituły arcybiskupskiej w Krakowie... Po 1796 roku osiedlili się tu różni rzemieślnicy. Mieszkańcy (694 osoby) utrzymują się po większej części z rolnictwa i miejskich rzemiosł.

No i wreszcie masz Szczerców:

...źle zabudowane miasto królewskie w powiecie sieradzkim, nad rzeczką Widawką, w mało urodzajnej i bagnistej okolicy, dziesięć mil od Kalisza oddalone. Mieszkańcy z trudem utrzymują się z rolnictwa, a ponieważ Żydom nie wolno tu mieszkać, więc brak też obrotów handlowych.

W sto lat potem Leonard de Verdmon Jacques w swej *Krótkiej monografii wszystkich miast, miasteczek i osad w Królestwie Polskim* napisze o Szczercowie:

...niegdyś było to ludne i zamożne miasto. W skutek wojen szwedzkich podupadło zupełnie i obecnie — (pamiętaj: w 1900 roku!) — jest ubogą osadą, posiadającą trzy ulice brukowane i rynek pełen błota w jesieni; Żydzi zajmują się handlem, rzemieślników dobrych nie ma wcale.

Holsche twierdził, że upadek Szczercowa związany był z brakiem Żydów. W sto lat potem okazało się, że i Żydzi z pustego nie naleją...

W dotychczasowych opracowaniach dotyczących Zelowa przeczytać można, że Żydzi pojawili się w nim dopie-

ro po 1870 roku. Rzeczywistość, mój Drogi, była jednak zupełnie, ale to zupełnie inna. Aż dziw bierze, jak bardzo tak zwana „tradycyjna ustna" może odejść od faktów! Bo posłuchaj tylko:

Już w najstarszej księdze archiwalnej zboru zelowskiego znajduje się zapis:

1817 Roku dne 13 Maye umrel Dawid syn Abrahama Magera Żjda i Arendarza Zelowskeho na suchotiny a weli priwedl prawe na geden rok.

Mamy więc „czarno na białym", że w 1817 roku karczmarzem w Zelowie był Abraham Meyer (bo taka chyba była poprawna pisownia jego nazwiska). Nie wiemy tylko od kiedy do kiedy w nim mieszkał i na jakich warunkach. Prawdopodobnie był dzierżawcą siedzącym na komornem. No i na pewno nie mieszkał sam.

Ks. Głowacki tolerował Żydów w Zelowie tak długo, jak długo najważniejszą i najpilniejszą sprawą była budowa kościoła, natychmiast jednak po poświęceniu nowego domu modlitwy wystąpił przeciwko Żydom. Nie dowiemy się już czym zraził sobie parafian, w każdym razie po pięciu latach na ich żądanie usunięty został z Zelowa przez władze kościelne, a Żydzi? Żydzi w Zelowie pozostali nadal...

W Zelowie panuje powszechne przekonanie, że powodem radykalnej decyzji władz kościelnych było pijaństwo ks. Głowackiego, ja jednak myślę, że parafianom nie podobało się zbyt częste przebywanie pastora u pobliskich dziedziców, przede wszystkim w Kąciku u Nieszkowskich. Może zresztą kwasy spowodowane zostały sprowadzeniem przez Głowackiego do Zelowa dość licznej zdaje się rodziny trudniącej się sukiennictwem, co mogło być „solą w oku" miejscowym tkaczom.

Konfrontując informacje dotyczące Żydów w Zelowie a znajdujące się w różnych broszurkach, artykułach i w relacjach osób interesujących się przeszłością osady z tym, co mówią dokumenty archiwalne dotychczas przeze mnie

przebadane widzę, że „coś tu nie gra". Nie chciałbym jednak wnioskować zbyt pochopnie i zawierzać swojej „genialnej intuicji", jako ten, co to uważa się za uprawnionego do robienia rewelacyjnych odkryć historycznych. Twoje rozumowanie w tej sprawie nie idzie wprawdzie wytartymi przez innych koleinami, ale też nie zgadza się z tym, co mówią dokumenty.

Zapewniając Cię o tym, że nie masz racji, muszę jednak poprosić Cię o nieco cierpliwości. Gdy jaka taka jasność zapanuje w mojej głowie, powiadomię Cię o prawdzie niezwłocznie.

Tymczasem przyjmij serdeczny uścisk dłoni.

List siódmy

Drogi Władku,

dzięki za natychmiastową i wyczerpującą informację w sprawie prawa kanonicznego. Ciekawe, co lekarze i biologowie sądzą o tych niuansach...

Może masz rację nie podejmując się napisania powieści o babci i wnuczku na podstawie mojego listu. Jeśli nie masz ochoty zagrzebać się na kilka tygodni w archiwum zelowskim, no to nie zostaje Ci nic innego, jak tylko poczekać na ukazanie się mojej książki *V Zelově pod Łodzią,* w której znajdziesz sporo dodatkowego materiału do tak zwanego tła historyczno-społecznego. Już teraz jednak chciałbym sprostować mylny wniosek, jaki chcesz wyciągnąć z „wykazu osób w konkubinacie żyjących" na temat zepsucia moralnego w 1840 roku w Zelowie. Przede wszystkim nie bierzesz pod uwagę ogólnej liczby ludności tej osady — a wynosiła ona wówczas ponad tysiąc osób i z roku na rok silnie rosła.

Nawiasem mówiąc, wydaje mi się sprawą ważną dla mojej przyszłej książki ustalenie dynamiki demograficznej Zelowa w jego „czeskich początkach". Wyobraź sobie, że

dopiero w kilka lat od momentu kupienia wsi przez Gminę Braci Czeskich nastąpił hipoteczny zapis własności. Wynika z niego, że w 1811 roku było 149 „współwłaścicieli Zelowa". Ponieważ jednak trzech osadników (Bogumił Matejka, Wilhelm Andersz i Krystian Szpringel) posiadało podwójne nadziały, więc liczba posiadaczy ziemi skurczyła się do 146.

Inne źródło archiwalne, sygnowana przez prefekta Garczyńskiego *Tabella Statystyczna Departamentu Kaliskiego* z dnia 13 lutego 1811 roku podaje liczbę 642 ewangelików reformowanych dla całego powiatu szadkowskiego. Jeśli odliczyć kilkunastu lub najwyżej kilkudziesięciu wśród nich Polaków i Niemców, co najmniej sześciuset to właśnie zelowscy Bracia Czescy.

Konfrontując nazwiska i imiona 146 współwłaścicieli Zelowa z zapisu hipotecznego z 1811 roku ze współczesnymi mu spisami urodzeń, zgonów i zawartych małżeństw stwierdziłem, że już w tym czasie mieszkało w Zelowie co najmniej kilkadziesiąt osób nie będących jego współwłaścicielami. To znaczy nie posiadali oni ziemi na własność. Tak więc uzyskałem dowód, że w sześćsetosobowym gronie mieszkańców Zelowa już w pierwszym podokresie nastąpiło szybkie rozwarstwienie społeczne.

Instruktaż jeometryczny osiadłości kolonistów Zelowa z 1813 roku podaje, że było wówczas w Zelowie 600 morgów ziemi uprawnej i 1200 morgów lasów (zapewne łącznie z pastwiskami i nieużytkami). Osada składała się z 54 łanów. Ponieważ trzydziestomorgowy łan nazywano również hubą, więc gospodarz posiadający taki obszar ziemi uprawnej był tak zwanym hubnikiem. Skoro więc na 54 huby przypadało 146 właścicieli więc obliczysz sobie łatwo, iż współwłaścicielami Zelowa w latach 1811—1813 musieli być nie tylko hubnicy, ale i półhubnicy oraz ćwierćhubnicy. A przecież prócz nich byli także komornicy mieszkający na cudzym i trudniący się jakimś rzemiosłem, zwłaszcza tkactwem, które to zajęcie było bardzo rozpowszechnione na Śląsku, zwłaszcza w ośrodku opolskim i na pewno zostało już w pierwszym, pionierskim okresie przeniesione do Zelowa.

Po tych informacjach z lat 1811—1813 mamy nową garść danych dopiero dla lat 1822—1823. Otóż *Tabella Miast, Wsi i Osad Królestwa Polskiego z wyrażeniem ich położenia i ludności alfabetycznie ułożona w Biórze Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych*, wydana w 1827 roku podaje dla Zelowa liczbę 142 domów i 847 mieszkańców. Komisja Województwa Kaliskiego natomiast na rok 1823 — 735 mieszkańców. Może różnica między tymi informacjami wynika z tego, że 735 mieszkańców wg ankiety to tylko „zameldowani na stałe", natomiast 847 osób wymienionych w niemniej urzędowej *Tabelli* obejmuje również i „tymczasowo zameldowanych"?

Tak czy owak chciałbym zwrócić Twoją uwagę na fakt, że ta sama *Tabella* podaje dla miasta Rzgowa 997 mieszkańców, dla Pabianic — 936, Szczercowa — 1195, Tuszyna — 1230. Czyli, że wieś Braci Czeskich niewiele ustępowała ówczesnym pobliskim miastom.

Przyjmując, że w dwadzieścia lat od momentu kupna Zelowa liczba jego mieszkańców wynosiła około 800 osób, warto by określić ilu z nich utrzymywało się z owych 600 mórg ziemi uprawnej (lasy były wówczas własnością wspólną!), ilu zaś z tkactwa. Pewne wnioski na ten temat podsuwają akta stanu cywilnego, w których określenia zajęć tkackich pojawiają się dość nagle i niespodziewanie w 1826 roku (co nie znaczy, że przedtem byli tu tylko sami rolnicy).

W tym miejscu muszę pochwalić się, że w archiwum zelowskim znalazłem króciutką lecz bardzo wymowną i ważną wiadomość. Jak wiesz, w 1825 roku tereny przyszłego okręgu włókienniczego w rejonie Łodzi zwiedzał Stanisław Staszic. Zelów jako obiekt godny uwagi nie istniał dla niego, a jednak — był nim! Oto w archiwum zelowskim znalazłem notatkę, że w 1823 roku przejeżdżał tędy

Prezes Komisji Województwa Kaliskiego JW Radoszowski i „zwiedził wielu fabrykantów".

Słowa „fabrykanci" nie traktuj opacznie — w owych czasach nie byli to kapitaliści, ale po prostu tkacze-chałupnicy. Było ich w Zelowie „wielu". Na pewno. Jeśli nie wierzysz, zastanów się nad wyciągiem z akt stanu cywilnego, jaki zrobiłem dla wspomnianego już 1826 roku.

Obrusiarzami — zauważ, że od razu występuje specjalizacja zawodowa! — byli wówczas Jan Walta (lat 23), Fryderyk Jelonek i Józef Wewerka (obaj po 44 lata) i Bogumił Fibich (późniejszy wójt). Majstrami płóciennymi nazwano Jana Kratochwila, Jerzego Dostała i Karola Horaka, czeladnikiem obrusiarskim komornika Józefa Wencla, majstrem obrusiarskim Fryderyka Prowaznika. Natomiast Paweł Pytliczek i Marcin Latysław byli jednocześnie i gospodarzami i płóciennikami. Jako jedynie płócienników określono Macieja Kratochwila, Pawła Hejtmanka, Jerzego Rajcherta, Józefa Gąsiorowskiego. Jeszcze niżej w hierarchii ekonomiczno-społecznej stali na pewno czeladnicy tkaccy Jan Kulhawy czy Gottlieb Feltsmann. Dzięki imiennym notatkom dowiadujemy się też, że Józef Twardy, który w w 1820 roku był zwykłym „wyrobnikiem w boru", w styczniu 1828 roku zapisany został już jako płóciennik.

Wróćmy jednak do spraw obyczajowych, a konkretnie do sprawy babci i wnuczka. Przyznasz chyba, że co innego jest, gdy w nieślubnym związku żyje wdowiec i wdowa w podeszłym wieku, a co innego gdy oboje nie mają jeszcze trzydziestu lat. No i jeszcze co innego, gdy jedna ze stron jest zamężna (względnie żonata). Można by ułożyć jeszcze z parę schematów świadczących wymownie o tym, że konkubinat konkubinatowi nie równy!

Ks. Mozes przejmował się chyba nie tyle tymi trzynastoma parami, które musiał zarejestrować w 1840 roku, co nieślubnymi dziećmi, jakie mu co roku przynoszono do chrztu, a które skupulatnie odnotowywał w swoich sprawozdaniach. Dzięki temu mogę Cię poczęstować tym, co —

naturalnie żartobliwie — nazywam „wskaźnikiem zepsucia moralnego". Jest to wskaźnik z naukowo-statystycznego punktu widzenia dość wątpliwej wartości, choćby dlatego, że roczne sprawozdania nie wprowadzają dziewięciomiesięcznej poprawki. Stąd wniosek: jeśli w 1847 roku odsetek dzieci nieślubnych był najwyższy, kto wie, może było to następstwem większej swobody obyczajowej właśnie w 1846 roku, wykazującym bardzo niski „wskaźnik".

W Zelowie liczba dzieci nieślubnych wynosiła kilka procent — a jak było wówczas w innych wsiach i pobliskich miasteczkach?

Skoro już jestem przy temacie nieślubnych dzieci przychodzi mi na myśl, że — jako autor powieści historycznych — wiesz może coś o intrygującej mnie postaci Aleksandra Petrozelina. Człowiek ten ułatwił Czechom nabycie Zelowa i chciał jak się zdaje zamienić go potem w swój folwark. W 1803 roku na pewno mu się to nie powiodło, a jego nazwisko pojawia się w dokumentach archiwalnych dopiero w 1817 roku. Co robił, gdzie się podziewał przez przeszło dziesięć lat? Może uczestniczył w kampaniach napoleońskich, które sprawiły, że Zelów znalazł się najpierw pod panowaniem Księstwa Warszawskiego, a potem pod berłem cara rosyjskiego?

Aleksander Petrozelin musiał być w Zelowie już w 1816 roku, gdyż pastor Fabry zanotował w sierpniu następnego roku w rejestrze nowonarodzonych.

„Illigitimo thero natus infans. Matka: Maryanna rozena Feldsmanna. Djte: Alexander — narozen dna 20 Srpna 1817."

Ów z nieprawego łoża (illigitimo thero) zrodzony chłopiec Aleksander jest jedynym, którym w owym roku otrzymał w Zelowie to piękne imię. W innych księgach parafialnych znalazłem Aleksandra Petrozelina, syna Aleksandra, urodzonego właśnie w 1817 roku. Choć w rejestrze dyskretnie nie zanotowano nazwiska ojca — sprawa jest jasna.

Zresztą — w dwu następnych przypadkach zrezygnowano z dyskrecji i nazwisko ojca podano. I tak: 23 listo-

pada 1820 roku urodziła się Zofia Katarzyna, córka Aleksandra Petrozelina i Franciszki Magierowiczówny, 13 zaś stycznia 1823 roku — Elżbieta Aleksandra.

W Zelowie przychodziły na świat dzieci Aleksandra Petrozelina, w Zelowie zmarła jego matka (we wrześniu 1820 roku), wygląda więc na to, że choć należał do zelowian (a może ich pobratymców ze Śląska), którzy zakupili w 1818 roku część Kucowa (w dzisiejszym powiecie bełchatowskim), to jednak mieszkał stale w Zelowie. Większej jednak roli w życiu wsi nie odgrywał. Gdy w 1821 roku w przytomności senatora i kasztelana Bronikowskiego z Kręgoli pod Koninem kładziono kamień węgielny pod budowę kościoła w Zelowie, ks. Aleksander Głowacki zapisał nazwiska osób, które na uroczystości tej przemawiały, a więc: najpierw pastor, potem wójt Jan Andersz, czterech starszych gminy, ksiądz ewangelicki z Łasku, ksiądz katolicki z Buczku, po nim Józef Świdziński, dawniejszy dziedzic Zelowa, a dopiero „po nim Wny Józef Skotnicki tu wówczas mieszkający, Wny Petrozelin i inni". Rok później trzymał wprawdzie do chrztu pierwsze zelowskie dziecko pastora Głowackiego, ale... dopiero w piątą parę!

Jak z tego spisu widzisz, nie schłopiał przez te lata mój bohater.

Możliwe, że zmarł w Zelowie, ale w księgach parafialnych jest luka po 1823 roku. Szukałem jego nagrobka na cmentarzu, lecz nie znalazłem. Jak się okazuje, szukałem niepotrzebnie, bo używany obecnie cmentarz za miastem założony został znacznie później.

W Zelowie dziś już nikt nie zna jego nazwiska. Nie zachowały się żadne — ani dobre, ani złe wspomnienia, choć człowiek ten nie należąc do Braci Czeskich odegrał na pewno dużą rolę w powstaniu „czeskiego Zelowa". Niestety — nikt nic nie wie, a to, co znalazłem w archiwum jest raczej tylko intrygujące. Dowiedziałem się, że podobno w Warszawie żyje ktoś, kogo matka czy babka była z domu Petrozelin. Podobno...

Jeślibyś więc zbierając materiały do którejś z kolejnych swych powieści historycznych natrafił na jakieś szczegóły o Aleksandrze Petrozelinie, żyjącym na przełomie XVIII i XIX wieku, nie zapomnij o mnie. Pozdrowienia.

List ósmy

Szanowny Panie Doktorze,

odpowiadając na Pana list z 13 bm. uprzejmie donoszę, że jak dotychczas nie natrafiłem w archiwum zelowskim na dokumenty, które mogłyby się Panu przydać w pisaniu Pańskiej rozprawy. Ponieważ jednak sam słabo orientuję się w tej dziedzinie badań naukowych, która Pana Doktora interesuje, przesyłam garść wiadomości o pierwszych pastorach zelowskich, które udało mi się dotychczas zebrać. Może jakiś szczegół stanie się dla Pana tą przysłowiową nitką prowadzącą do kłębka.

W pierwszym roku istnienia „czeskiego Zelowa", w roku 1803, na pewno dojeżdżał tu któryś z pastorów śląskich, ale musiała to być opieka bardzo słaba, skoro pierwsi nowożeńcy nie chcieli czekać i poprosili o błogosławieństwo księdza katolickiego w Buczku (było to 18 września, a młodą parę stanowili: Jerzy Wagner z podopolskiej wsi Wągry i Anna Matejkówna, córka Jana).

W następnym roku wysłali zelowianie prośbę do króla pruskiego o wybudowanie im kościoła i sprowadzenie pastora. Król przychylił się do prośby, a w dwa lata potem budowniczy Gerhardt wykonał „anszlak" (kosztorys). Do realizacji zamiaru jednak nie doszło, gdyż jak czytamy:

...przeszkodę temu odmiana Czasów i Rządu zrobiła .

Chodzi naturalnie o wkroczenie na ziemie polskie wojsk Napoleona i utworzenie Księstwa Warszawskiego.

Z notatek archiwalnych wynika, że w latach 1805, 1806 i 1810 kandydaci do stanu małżeńskiego jeździli do Grecza i Sycowa, chociaż zdarzało się też, że pastorów zastępowali księża katolicy z Buczku i Łobudzic co w owych czasach

było zjawiskiem nieczęstym i wymagającym dużej odwagi, ponieważ pomiędzy hierarchią kościołów nie panowała bynajmniej tolerancja. Udzielali oni także często chrztów i asystowali przy pogrzebach zelowian, ale do konfirmacji konieczna już była obecność pastora. Pierwsza zelowska konfirmacja odbyła się w 1808 roku, przeprowadził ją ks. Stettinius ze Śląska, bodajże z Husyńca. Pierwsza grupa konfirmantów była bardzo liczna, wyniosła bowiem aż 33 osoby.

Po 1811 roku opiekę duszpasterską nad Zelowem sprawował ks. Tomasz Kovač z Taboru. W niektórych dokumentach nazwisko to pisane jest po niemiecku: Kowatsch. W rzeczywistości jednak miał to być... Węgier, jeden z wielu kalwińskich pastorów, którzy po wydaniu w 1870 roku patentu tolerancyjnego przybyli z Węgier do Czech.

Odwiedzał też Zelów ks. Jerzy Daniel Mojžiš (Mozes) i ks. Piotr Sikora — obaj z parafii husynieckiej. Mojžiša starano się bodajże pozyskać na stałe do Zelowa. Po wizycie Sikory natomiast — może za jego poradą — zwróciła się Gmina w 1817 roku do kalwińskiej Jednoty Małopolskiej z prośbą o przyjęcie jej. Na synod w czerwcu wysłano trzech starszych, którzy jednak zostali dyplomatycznie odprawieni z kwitkiem, a właściwie z obietnicą, że zostaną zaproszeni ponownie (synod miał się odbyć 1 czerwca, ale w ostatniej chwili przełożono go na początek lipca). Z dokumentów archiwalnych wynika, że przywódcy Jednoty Małopolskiej widzieli zelowian raczej w Jednocie Wielkopolskiej, jako rzekomo im „bliższej".

Sprawa przyłączenia się do jakiegoś kościoła protestanckiego stała się wówczas dla zelowian bardzo ważna, gdyż dotychczasowy protektor Braci Czeskich na Śląsku, król pruski na kongresie wiedeńskim w 1815 roku stał się ostatecznie „obcym monarchą".

Możliwe, że na synod małopolski w nowym terminie nie pojechał nikt z Zelowa z powodu straty, jaką dla Gminy była śmierć jednego z trzech „starszych", Macieja Łukaszka, który zmarł 17 czerwca „na Pychańj i na kassel krwawy", w wieku 76 lat. Wkrótce potem zmarł również pierwszy zelowski nauczyciel, również delegat Gminy na synod w Sielcu, Fryderyk Boetcher.

Trudno mi określić, czy było to dziełem przypadku, czy też wynikiem jakichś starań, w każdym bądź razie „Roku 1817 dne 9 Auguste byl w Zelowie Pan Diehl od hodiny pul desaty až po poledni do gedny hodiny".

Jak Pan Doktor na pewno się orientuje, „Pan Diehl" to warszawski superintendent kościoła ewangelicko-reformowanego. Ta krótka wizyta miała brzemienne skutki, bo niewątpliwie dzięki niej otrzymał Zelów swego pierwszego stałego duszpasterza. Był nim pochodzący z Węgier Jan Fabry. Niestety — śmiertelnie już wówczas chory na płuca i w wieku mocno podeszłym. Zaledwie po kilkunastu miesiącach pobytu w Zelowie ks. Jan Fabry zmarł 24 lutego 1819 roku.

Parafię przejął ks. Aleksander Głowacki z Piasków Wielkich pod Lublinem. Możliwe, że przybył on do Zelowa już na wiosnę 1819 roku, gdyż wśród wielkanocnych komunikantów na pierwszym miejscu zapisana została jego żona, Karolina Głowacka. Jednak dopiero w 1820 roku ks. Jan Scholtz z Żychlina pod Koninem wraz z delegatami Gminy Janem Hoffmanem, Wacławem Zaunarem, Gottliebem Matejką, Janem Bureszem i Janem Tomeszem ułożył „etat na utrzymanie systematu kościelnego" — umowę regulującą status prawny i ekonomiczny nowej parafii ewangelicko-reformowanej.

Początkowo dom modlitwy i szkoła mieściły się w dawnym dworku poprzedniego właściciela wsi. W pobliżu grzebano pierwszych zmarłych, a właściwie nie tyle grzebano, co topiono. Unikając kłopotów związanych z podskórną wodą przeniesiono cmentarz w 1807 roku w inne miejsce, bodajże już wówczas typując je na budowę kościoła. Wprawdzie wojny napoleońskie zakończyły się definitywnie w 1815 roku, mimo to jednak długie lata trwały starania

o zgodę nowych władz państwowych na budowę kościoła. Gdy kosztorys był już gotowy, okazało się, że bez zezwolenia administracji nie można zbierać dobrowolnych składek. Zasiłek rządu Królestwa Polskiego wyniósł niespełna 19 tysięcy złotych polskich, należało więc zebrać jeszcze ponad jedenaście tysięcy — zakładając przy tym, że większość robocizny wykonana zostanie przez parafian, jakbyśmy dziś powiedzieli „w czynie społecznym".

Sprawa budowy kościoła to istna epopeja zakończona szczęśliwie w 1825 roku. Ks. Głowacki nie miał jednak dosyć zalet i umiejętności, aby po wielkim zrywie, jakim była budowa kościoła, pozyskać sobie parafian. Na jego miejsce przyszedł w historycznym 1830 roku ks. Mozes, ale okres ten nie interesuje już Pana Doktora.

Na zakończenie jeszcze jeden szczegół, który może się Panu przyda — choć pośrednio. Myślę o sprawie stosunków między miejscowym dziedzicem a Gminą Braci Czeskich.

Otóż poprzedni właściciel, Józef Świdziński, miał w 1802 roku dług u Abrahama Gottheimera w wysokości dziesięciu tysięcy talarów. Dług ten w lipcu następnego roku przeszedł na zakład wdów i sierot po oficerach pruskich w Berlinie. Ponieważ te 10 tysięcy zahipotekowano na całych dobrach (z prowizją pięć od sta), więc odpowiednią jego część musieli potem spłacać nowi właściciele Zelowa. Zdaje się, że były z tego powodu jakieś nieporozumienia. Na pewno zaś do zatargu doszło w 1820 r., a więc już w okresie Królestwa Polskiego. Świdziński wystąpił z żądaniem płacenia mu laudemium (w wysokości 8 złp od sta) w przypadku każdorazowej sprzedaży ziemi zelowskiej. Sprawa oparła się o sąd. Współwłaściciele nie negowali na rozprawie faktu, że laudemium zawarowane było w umowie z 1802 roku, ale zwracali uwagę na to, że umowa zawierana była w czasach, kiedy to obowiązywało prawo pruskie, natomiast nowe prawo nie uznaje laudemium, ponieważ jest ono formą poddaństwa, zniesionego już przez konstytucję

Księstwa Warszawskiego. Argumentując w ten sposób Bracia Czescy obronili swą wolność w czasach, kiedy to w okolicznych wsiach polscy chłopi pozbawieni własności ziemi pozornie tylko „byli już wolnymi", w rzeczywistości zaś — jeszcze przez blisko pół wieku — pozostawali w feudalnej zależności od właścicieli ziemi — dziedziców.

Możliwe, że ta porażka sądowa była powodem, dla którego tuż po zbudowaniu kościoła w Zelowie Świdzińscy wynieśli się z tych okolic, a miejsce ich zajęli kalwini Nieszkowscy. Zrozumiałe, że byli oni tylko i wyłącznie sąsiadami wolnych chłopów czeskich, ale zarazem jednak protektorami w ówczesnym feudalnym świecie. Wypadało tak współwyznawcom i współparafianom. Na cmentarzu przykościelnym dobrze urodzeni Nieszkowscy mieli własny grobowiec rodzinny, z którego jednak — podobnie jak i po mogiłkach wolnych chłopów czeskich — dziś nie pozostał już ślad.

Jeśli jakaś z tych informacji przyda się Panu, będzie mi bardzo miło.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

List dziewiąty

Mój Drogi,

zdaje mi się, że mogę nareszcie uchylić Ci tzw. rąbka tajemnicy na temat „wojny żydowskiej" zapoczątkowanej przez ks. Głowackiego, ale prowadzonej właściwie przez ks. Mozesa.

Ten ostatni przybył do Zelowa na jesieni 1830 roku. Przybył ze stolicy, w której wkrótce po jego wyjeździe miały miejsce ważne wydarzenia. Dużo przemawia za tym, że ks. Mozes sympatyzował z młodymi podchorążymi, którzy zaatakowali carat w Noc Listopadową. Niektóre teczki w archiwum zelowskim uszczuplone są o dokumenty z lat 1830—1831. Odnoszę wrażenie, że ks. Mozes zacierał w ten sposób ślady „niebłagonadiożnosti"...

Gdy na polach bitew rozstrzygały się losy powstania listopadowego, nowy pastor zelowski już w lutym 1831 roku zganił dozór kościelny za to, że tylko jeden z jego członków zbierał przy drzwiach kolektę. Dwa miesiące potem ma pretensje o niedoprowadzenie plebanii do stanu używalności. Domaga się też:

...ażeby w przeciągu dwóch tygodni od daty dzisiejszej

1. zliczyć Żydów tu zamieszkałych co do familiów i co do głów w każdej familii,

2. zliczyć dzieci ich wraz z tutejszymi dziećmi do szkoły Gminnej uczęszczać mające,

3. zadeklarować im, że od daty dzisiejszej wszyscy tu zamieszkali Żydzi oprócz pomiernego czynszu, jaki opłacają, rękami i majątkiem obowiązani są przykładać się do wszelkich ciężarów i potrzeb Gminy i do opłaty Nauczyciela,

4. nakazać im, żeby już jutro — z przyczyny, że mieszkańcy tutejsi robotą polową zatrudnieni, a roboty około Plebanii ubywać przecież musi — każda familia tu zamieszkujących Żydów stawiła osobę z łopatą lub rydlem dla wyzbierania kamieni i wyrównania dziedzińca, a to dopóty się to nie skończy do tej roboty stawała,

5. oznajmić i zawiadomić Żydów, że pod utratą zamieszkiwania w Gminie obowiązani zostają stawać w pomoc do tłuczenia kamieni, brukowania i wszelkich działań dobro Gminy, zabezpieczenie i przyozdobienie Osady zamierzających, które kiedykolwiek rozpoczęte będą...

...Naostatek — brzmi apel ks. Mozesa — wzywam Szanownych Starszych, ażeby raz na zawsze zapobiegli zgorszeniu i stosownie do ustaw krajowych każdego Żyda w dzień niedzielny publicznie z robotą jakową pokazującego się, ukarali. Takowe przypadki już się niedawno wydarzyły (Herszlikowa d. 17 kwietnia 31).

Jak widzisz, ks. Mozes myślał początkowo raczej o eksploatacji niż o wygnaniu Żydów, do czego to sześć lat wcześniej wyraźnie dążył ks. Głowacki. Ten ostatni z pomocą ks. Jana Scholtza z Żychlina i dziedzica Nieszkowskiego z Kącika doprowadził do tego, że 46 mieszkańców Zelowa zadeklarowało:

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, że od przyszłego 1826 żadnego Starozakonnego czyli Żyda w Gminie swojej całkiem czyli w Obrębie Gminy Zelowskiej trzymać tak w zamieszkaniu, jako na komornem, słowem pod żadnym pozorem u siebie nie będą. Poddają się dobrowolnie na pierwsze doniesienie do Wójta Gminy zapłacić każdy, który by się ważył trzymać, pięć Talarów kary do kassy kościelnej i tak co tydzień kara podwyższona będzie.

Oblicz sobie: gdyby tak tylko przez jeden miesiąc ściągać owe kary umowne zebrałoby się w „kassie" kościelnej z pół tysiąca talarów. A po roku? A po czterech latach?... Tymczasem cztery lata po podpisaniu deklaracji kasa kościelna była zdaje się raczej pusta, natomiast ks. Głowacki przestał być pastorem. Podobno dlatego, że jak już Ci wspomniałem, lubił zaglądać do kieliszka, choć wg mojej koncepcji zbyt często bywał u Nieszkowskich w Kąciku. Zresztą poczekaj — przekonasz się, że taki właśnie zarzut postawiono również Mozesowi, który — jak wynika z pierwszego dokumentu — nie wierzył zdaje się w realną możliwości ściągnięcia zaległych kar i godził się raczej z obecnością Żydów, chciał ich tylko obciążyć powinnościami typu szarwarkowego.

W ciągu najbliższych miesięcy zaszły jednak fakty, które wpłynęły na zmianę postawy nowego pastora. Powstanie, które wybuchło w Warszawie w listopadzie ubiegłego roku, chyliło się ku upadkowi, natomiast Żydzi podnosili głowy i coraz głośniej przebąkiwali o tym, że nowy pastor za bardzo sympatyzuje z „buntownikami"...

Latem 1831 roku — już po bitwie ostrołęckiej — mieszkający u starego Jersaka Hersz Kupferwasser, Herszlikiem zwany, pojechał do Warszawy (wojsko Paskiewicza nie wykonało jeszcze manewru okrążającego) i nie bacząc na przywleczoną przez wojsko carskie cholerę zakupił tam bawełnę. Zauważ: w owym czasie Łódź jest jeszcze w okresie wełny, w Zelowie natomiast poszukiwanym surowcem jest angielska bawełna!

W drodze powrotnej Kupferwasser stracił w Łagiewnikach furmana, właśnie na ową cholera morbus, mimo to przywiózł bawełnę do wsi i aby starsi gminy nie cofnęli jej do boru i nie postawili przy niej straży, rozdał ją na wyrób między ludzi. Gmina widząc grożące niebezpieczeń-

stwo zgodziła się, aby Herszlik bawełnę wywiózł, zażądała jednak, by kwarantannę wytrzymał.

Przy okazji przypomniał pastor parafianom deklarację, którą w 1825 roku podpisali i uzyskał od nich zapewnienie, że natychmiast wszystkim Żydom komorne wypowiedziane będzie. Wszystkim, to znaczy konkretnie: Józefowi Wolfowi (z rodziną) u Karola Słamy, Chaskielowi Białkowi (z rodziną) u Marcina Noska, Unszelowi Kohnowi (z rodziną) u Pawła Jelonka starszego, Abrahamowi Sadowskiemu (z rodziną) u Józefa Szary, Ickowi Wieruszowskiemu (z rodziną) u Wacława Wesołowskiego, Joskowi Sromotce u Krystiana Szary, Szlomie Sztormowi i jego zięciowi u Jana Słamy, Berkowi Birnbaumowi u Wesołowskich.

Na zebranie nie przyszli i protokołu nie podpisali Jan Jersak stary, Paweł Kupiec (trzymający — jak się potem dodatkowo okazało — rodzinę Szlomy Grębeka), Jan Śmietana, u którego mieszkał Szabsza Jakubowicz, Maciej Walta, Karol Śmietana i Maciej Kratochwil, wynajmujący izby w swoich domach Jankielowi Rogali, Chyłowi Markowskiemu i staremu Białkowi. Więcej — mimo zabiegów księdza — stary Jersak wpuścił do swego domu wracającego z Warszawy Herszlika. Dobrze sobie obaj popili, a gdy wódka rozgrzała im krew — porozstawiali po kątach księdza i jego popleczników. Po paru dniach zrzedła im jednak mina. W Zelowie pojawiła się cholera morbus. Zmarł syn starego Jersaka, zmarło kilkanaście innych osób. Rodziły się pytania: kto następny, kiedy zaraza ustąpi?

Komisarz Obwodu Sieradzkiego kazał spalić bawełnę jako zakażoną, Herszlik jednak zdążył przewieźć ją z zelowskiego boru do Buczka, gdzie natychmiast w ślad za nią pojawiła się cholera. Wywiózł ją więc jeszcze dalej, nie wiadomo gdzie; na jesieni, gdy strach minął, bawełna wróciła z powrotem do Zelowa.

Ks. Mozes jeszcze raz wysyła skargę do Komisarza Obwodu Sieradzkiego, ale ten nie ma zamiaru interweniować, zasłaniając się tolerancją religijną wobec Żydów. Wobec tego pastor szuka poparcia u superintendenta w Kaliszu, pisząc do niego 31 października 1831 roku obszerny raport:

...Zdawało się z początku, że cała Gmina uczuła nieodzowną konieczność zaprowadzenia porządku, sforności i zatkania mętnych demoralizacji źródeł. Na przedłożenie podpisanego obrała z pośrodku siebie w pomoc Wójtowi Gminy i Sołtysowi, obydwum tłumaczącym się, że nie mając poszanowania u gminy, pomimo najlepszych chęci nie mogą zbawiennego na nią wykonywać wpływu, sześciu radnych czyli Starszych Gminy, którzy przyjęli na siebie obowiązek czuwania nad dobrem moralnym i materialnym Gminy i znoszenie się w przypadkach wątpliwych z przełożonym Duchownym swoim.

Piękny, wiele obiecujący początek, już teraz niestety istnienie swoje ztraca, Upór, zuchwalstwo wielu mieszkańców przez podszczenia żydowskie nadętych, a przez obietnice demoralizację o wiele powiększające ośmielonych (nota bene 10 garncy gorzałki obiecał Herszlik, skoro się w Gminie utrzyma), odgrażania i wyzywania miotane nie tylko na rzeczonych Starszych, ale i na samego Duchownego miejscowego, zniewoliły pierwszych do zrzeczenia się obowiązku przyjętego, ostatniego zaś postawiły w tym smutnym położeniu zanoszenia zażaleń.

Nie mogąc liczyć na lokalne władze ks. Mozes nie apeluje wyżej (w Warszawie rządzi już wróg, gen. Paskiewicz), ale postanawia zmobilizować wiejską biedotę. Sprawa bowiem ma rozmaite aspekty:

Żydzi-komornicy dostarczają „swoim Czechom" bawełnę, surowiec wówczas rarytasowy, a więc dają im możliwość produkowania towarów poszukiwanych na rynku, zwłaszcza że wojna polsko-rosyjska zahamowała normalną produkcję w młodym, powstającym dopiero łódzkim okręgu włókienniczym. Żydzi, dzięki którym można wykorzystać koniunkturę, płacą za komorne więcej niż komornicy-Czesi. Wypierają ich.

Korzystając z tego, że Zelów jest „wolną wsią", Żydzi mogą tu — bez konsensów rzemieślniczych koniecznych w innych miejscowościach — trudnić się ubojem bydła, pieczeniem chleba i bułek, kapelusznictwem i innymi rzemiosłami. Większość z tych zajęć wymaga opału — a w Ze-

lowie jest przecież więcej lasu niż ziemi uprawnej, ponad 1000 mórg. Tak, ale las jest wspólny, należy do wszystkich „współwłaścicieli Zelowa" — hubników, półhubników i ćwierćhubników, tych, którzy mają Żydów na komornem, ale i tych, których z jakichś powodów nie stać na wydzielenie jednej izby dla „złotodajnego" komornika-Żyda. W lesie zresztą — zgodnie ze starym obyczajem — wolno jest zbierać tylko susz, bez posługiwania się siekierą, (rąbie się drzewo jedynie na budulec). Tymczasem tych, których stać na trzymanie u siebie Żydów-komorników stać również na przywożenie z lasu nie tylko suszu na opał...

Ks. Mozes zwraca więc uwagę pokrzywdzonych na to, w jakim kierunku zmierza rozwój wydarzeń. Żydzi-komornicy wyprą z Zelowa przede wszystkim czeskich komorników, następnie zaczną kupować ziemię od ćwierćhubników, potem od półhubników, zaczną budować sobie własne domy na własnej ziemi, postawią parę karczem...

Dotychczas zelowska karczma nie była prywatną własnością, ale dzierżawą gminną. Propinacja zabezpieczała dochody gminy i — między innymi — pensję dla pastora i kantora (zarazem nauczyciela). Tak więc „karczma jako taka" nie mogła być uznana jako coś absolutnie złego. Rzecz tylko w tym, aby karczmarz Wilhelm Andersz zgodnie z umową warzył dobre, czeskie piwo, a nie takie podłe, którego nawet okoliczni Niemcy-koloniści pić nie chcą. Wódkę natomiast ma Andersz dobrą i mocną. Gdy w niedzielę schodzą się u niego parafianie (koloniści niemieccy przychodzą rzadko, ponieważ mają parę wiorst drogi) gaszą po nabożeństwie pragnienie dobrą wódką, a nie kiepskim piwskiem.

Andersz nie ma wprawdzie u siebie Żydów, ale trzyma z bogatymi współwłaścicielami Zelowa, zawsze bowiem łatwiej jest wyjść z dzierżawy na swoje, gdy w karczmie siedzi stary Jersak czy Gabriel Swoboda, niż gdy do szynku pcha się jakaś biedota.

Z karczmy postawionej na zapleczu kościoła dochodzą księdza Mozesa pijackie krzyki. W karczmie dzieci mają nieraz ciekawe widowisko, zwłaszcza gdy i kobiety sobie popiją. W zależności od sytuacji można zobaczyć w niej bójkę albo miłość. W karczmie dochodzą do głosu przekonania zelowian i kształtuje się opinia publiczna. Na przykład Gabriel Swoboda oświadczył przy wszystkich, że nikt w Zelowie nie ma mu nic do rozkazywania, jeśli zaś pastor nadal będzie jeździł do Kącika do panny Nieszkowskiej, to on go za łeb weźmie i nauczy pilnowania kościoła. Gabrielowi Swobodzie wtórowali naturalnie Żydzi i ich gospodarze.

Trzeba jednak przyznać, że i najbogatsi musieli się liczyć z „motłochem", a ksiądz Mozes — tłumacząc się u przełożonych, że do Kącika jeździ li tylko „dla osłodzenia sobie smutnej a pomiędzy ludem podobnego sposobu myślenia przykrej i nieznośnej samotności" (okazało się później, że jedna z panien Nieszkowskich podobała mu się) — umiał nie tylko komornikom, ale i dorabiającym się wskazać niebezpieczeństwo żydowskie, choćby tylko z powodu trzebienia owego wspólnego lasu.

29 czerwca 1832 roku wysłał ks. Mozes do wójta list opatrzony takim oto post scriptum:

Zawiadamiam Szanownego Wójta Gminy, iż w tym momencie doniesiono mi (to doniosła stara Felzmanka — dopisze pastor na brulionie listu), że Żyd na dziale Wesołowskiego zamieszkujący zabił w nocy wołu czy krowę i teraz mięso rozcina. Rządowi winniśmy wierność.

Zemsta dosięgła pastora już następnego dnia. Okazało się bowiem, że topole, które chroniły plebanię przed wiatrami i pożarem zniszczono całkowicie, dwie wyrwano z korzeniami, dwie połamano, dwie zaś „poderżnięte i złamane zostawione, jedna na wysokości pięć i pół, druga do łokci cztery i pół". Był to zwyczajny „chuligański", jak byśmy dziś powiedzieli wybryk, który nie mógł spodobać się rozsądnym i spokojnym ludziom. A była ich w Zelowie większość.

Pod kolejną antyżydowską petycją do władz podpisało się już 119 osób. Podpisały się one wszystkie po lewej stronie karty, jako „chcący się dostosować do wyżej rzeczonej Deklaracji", po prawicy noszącej nagłówek: „Osobistych zysków z Żydów szukający" nie znalazł się ani jeden podpis.

Jak z tego widzisz, ks. Mozes był dyplomatą co się zowie. Skądinąd wiem, że ani po lewej, ani po prawej stronie nie podpisali się Jan Słama, Karol Śmietana, Jan Miller stary, Maciej Walta, Krystian Szara, wdowa Doczkałka wdowa Hoffmanka, Maciej Krotochwil, Wacław Wesołowski, Jan Jersak stary. Ks. Mozes polecił zaprotokołować ten fakt. Skutek był natychmiastowy. Ci, którzy nie chcieli być nawet posądzeni o szukanie „osobistych zysków", poprosili o skreślenie ich z protokołu, w którym pozostali tylko najbardziej zatwardziali: Wacław Wesołowski, Maciej Krotochwil, Jan Jersak stary.

Dokument z 21 kwietnia 1833 roku wykazuje jeszcze kilka żydowskich rodzin w Zelowie, jest to jednak już koniec „wojny żydowskiej". Pastor ma za sobą zdecydowaną większość wsi, znajduje również chętnych, którzy składają pisemne oświadczenie na temat publicznych zniesławień rzucanych pod adresem księdza. Dochodzi do rozprawy sądowej, jednej jedynej, w Szadku, wygranej przez pastora. Potem wójt zarządził parę aresztów i po przejściu na stronę ks. Mozesa syna Jana Jersaka starego ostatni Żydzi wynoszą się z powrotem do Łasku.

W całej tej sprawie nie widzę antysemityzmu. Dla mnie jest to raczej rozprawa (w imię Moralności, Religii, Skarbu i Rządu, „któremu winniśmy wierność") z tymi, którzy łamali solidarność gminną, a pewne elementy wspólnoty gospodarczej (las!) chcieli zastąpić „wolną konkurencją".

Jako mój „pomysłodawca" orientujesz się świetnie w tym, że w Zelowie właściwie nigdy nie przyjął się „kapitalizm fabryczny". Wyzysk kapitalistyczny w końcu XIX i na początku XX wieku polegał tu na wyzysku tkaczy-

-chałupników dokonywanym za pośrednictwem dostawców przędzy, minimalny natomiast był wyzysk robotników przez fabrykantów. Rodzi się więc pytanie: czy w Zelowie brak „klasycznego kapitalizmu" uznać należy za „dobre", czy za „złe"?

Wygnanie Żydów z Zelowa w aspekcie ekonomicznym równało się wygnaniu bawełny, a powrotowi wełny i lnu. Jeśli w okresie pionierskim tkacze zelowscy mogli przerabiać wełnę dostarczaną przez pobliskie majątki szlacheckie (szkoda, że nie znamy ilości owiec we włościach Swidzińskich czy Nieszkowskich!), to po wojnach napoleońskich, a przede wszystkim po „wojnie żydowskiej", Bracia Czescy dążyli chyba do samowystarczalności w dziedzinie zaopatrzenia w surowiec tkacki. Odnoszę wrażenie, że wełna brała wówczas górę nad lnem, co znaczyło, że ziemię uprawną zmieniano w pastwiska. A może odwrotnie: po wykarczowaniu lasu okazało się, że ziemia na len się nie nadaje, a tylko na pastwiska?

Tak czy owak, jeśli na wygnaniu Żydów stracili ci, co mieli duże domy, to znów wygrali ci, co mieli dużo ziemi. Nastąpiło więc pewnego rodzaju przetasowanie... w gronie posiadaczy, a nie w ogóle. Bo przecież dużo ziemi i duże domy posiadali tylko nieliczni, ci „na wierzchu".

Ale to już inna historia.

Mam nadzieję, że Cię przekonałem. Jeśli nie — napiszę jeszcze jeden list, który Cię na pewno przekona. Przyjmij moje najlepsze pozdrowienia dla Ciebie i Twoich.

List dziesiąty

Szanowny Panie Profesorze,

z prawdziwą przyjemnością przekazuję Panu to, co udało mi się zebrać na temat początków Kucowa i Faustynowa — nie tylko w archiwum zboru zelowskiego, ale też w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Łodzi i w Archi-

wum Sądu Powiatowego w Łasku. Wiadomości te przesyłam wraz z podziękowaniami za łaskawie podane mi przez Pana Profesora informacje bibliograficzne na temat Pawła Hulki-Laskowskiego. A propos: wśród „współwłaścicieli Zelowa" w akcie notarialnym z 1811 roku figuruje również Bogumił Hulka, prawdopodobnie dziadek Pawła. Od jednej z mieszkanek Zelowa, pani Pospiszyl, dostałem wydany w Pradze kalendarz *Mir*, który z okazji setnej rocznicy założenia „czeskiego Zelowa" zamieścił między innymi... wiersz Pavla Hulki ze Žirardowa *Touha po vlasti*. Ponieważ sądząc z listu Pana Profesora, nie zna Pan tego wczesnego utworu Hulki-Laskowskiego, ponieważ nie ma też o nim wzmianki w *Moim Żyrardowie*, więc pozwalam sobie — na wszelki wypadek — przepisać ów wiersz o tęsknocie za czeską ojczyzną:

Proč neznám tebe, drahá česká vlasti,
kde žili drazí moji předkové?
Co v tobě musí dřímat krás a slastí!
Já chtěl bych zřít ty libé luhy tvé.
O, vlasti moje, drahá česká země,
ty touho otcu žalú truchlich,
když vyhnali je kacířské jak plémě
a pro plač jejich měli hrdý smích.
Ó, země otců, kteří ctili Boha,
a k nebi se jich žalmú vzmášel zpěv,
ó, vlasti, kterou svlažovala mnohá
slz krůpěj, otcu milovaných krev.
Já chtěl bych vidět te, mně v srdci víří
stesk touhy mocné, otcův domove,
těch otců kteří víry bohatýři
pro pravdu Krista kladi žití své.
Ó, vlasti draha, toužím v tobě dlíti
a rodným Boha chválit hlaholem,
že exulant se smí zas navrátiti
a Jezukrista že smí hlásat všem.

A teraz o „satelitach" Zelowa — Kucowie i Faustynowie.

To, co napisał ks. Fryderyk Jelen w wydanym w 1899

roku *Opisie historycznym zboru filialnego Ewangelicko-Reformowanego w Kucowie* zawiera szereg nieścisłości, napisał bowiem, że:

W roku 1818 kilku gospodarzy rolnych, zamieszkałych w Czerminie i Taborze, na Szląsku Pruskim, pochodzenia czeskiego, wyznania ewangelicko-reformowanego będących, zakupili za pośrednictwem trzech z grona swego wybranych gospodarzy: Pospiszyla, Arendta i Petrozelina część dóbr Kleszczowskich „Kuców" zwanych, w powiecie piotrkowskim położonych. Zachęcili ich do tego współwyznawcy i współziomkowie od roku 1802 w osadzie Zelów, w powiecie łaskim zamieszkali.

Pomijam już takie błędy jak podanie roku 1802 jako roku „zamieszkania" (w Zelowie), jak zrobienie z Petrozelina gospodarza ze Śląska. Chodzi mi o sugestię, jakoby cały Kuców zwany też Kuczewem został zakupiony wówczas przez Czechów. A tymczasem Kuców kupili 11 czerwca 1818 roku od ks. Daniela Colonny Walewskiego nie tylko Czesi, lecz także — znacznie liczniejsi od nich — koloniści niemieccy. Ci ostatni byli także wyłącznymi nabywcami reszty dóbr kleszczowskich.

Tu mała dygresja: otóż opowiadał mi jeden z kucowskich Czechów, że po wkroczeniu Niemców w 1939 roku przybyła do tej wsi grupa hitlerowskich naukowców szukająca potomków niemieckich kolonistów. Okazało się, że żaden ewangelik augsburski w Kucowie (czyli „Niemiec") nie umie się z przybyszami porozumieć. Widząc ich rozdrażnienie mój rozmówca zaprowadził w końcu panów z Berlina do pewnej staruszki, która pamiętała jeszcze „Guten Morgen" i kilka zwrotów niemieckich. Opowiadając mi to zdarzenie ów kucowski Czech uśmiechał się. Dał mi do zrozumienia, że choć początkowo kolonistów niemieckich w Kucowie była większość, to jednak ulegli oni polonizacji. Mnie się wydaje, że część z nich uległa raczej czechizacji. Próbowałem rozmawiać na ten temat z moim interlokutorem, próbowałem postawić hipotezę, że jego nazwisko — Semera — pochodzi zapewne od niemieckiego na-

zwiska Semeradt, które występuje dość często w dokumentach archiwalnych z pierwszej połowy XIX wieku, on jednak upierał się, że Semerowie nic wspólnego z Niemcami nie mają.

Ale wracając do pierwszych lat XIX wieku; zgodnie z ówczesnymi stosunkami Czesi — reformowani należeli do tej samej parafii protestanckiej co i Niemcy — augsburscy (analogicznie było w Zelowie, gdzie do parafii należeli też Niemcy z okolicznych wsi „olenderskich", takich jak Raszowy czy Kociszew). Gdy w latach dwudziestych ubiegłego stulecia rozpoczęły się deliberacje, gdzie ma powstać nowa parafia ewangelicka: w Kleszczowie czy też w Bełchatowie — Niemcy — luteranie wiodą wówczas prym, Czesi natomiast uzupełniają jedynie swymi podpisami niemieckie petycje, a potem współuczestniczą w budowie wspólnego kościoła w Kleszczowie nadal jako mniejszość w zborze.

Gdy w 1844 roku przeprowadzono wybór trzech członków kolegium kościelnego parafii kleszczowskiej, wśród wybierających było kilku Czechów (Karol Buresz, Karol Niewieczerzał, Paweł Niemeczek, Michał Kupiec, Fryderyk Niemeczek, Samuel Buresz, Jan Pospiszył), ale żaden z nich nie został wybrany w skład kolegium.

Z „rozkładu składki kościelnej" na lata 1847/1848 — a więc na rok przed nowym rozdzieleniem kościoła ewangelickiego w Królestwie Polskim na augsburski i reformowany — było w parafii kleszczowskiej zaledwie stu kilkunastu Czechów na 2200 parafian! Ale już wówczas pojawiły się nowe nazwiska — Hulka, Wolny, Semeradt, Swoboda — co wskazywałoby na przybywanie do parafii nowych osadników — jako komorników lub właścicieli.

Gdy w 1852 roku Czesi ostatecznie zdecydowali się na zerwanie wspólnoty parafialnej z Niemcami — luteranami, administrator nowopowstałego filiału kucowskiego ks. Aleksander Cerawski, dojeżdżający z Warszawy, naliczył w nim zaledwie 131 dusz. Członkami pierwszego kucowskiego zarządu kościelnego wybrano wówczas Tomasza Semeradta, Karola Mundziła i Piotra Kumpoldta, natomiast kantorem i nauczycielem został sprowadzony z Faustynowa Karol Kulhawy. Dom na nabożeństwa wydzierżawiono od Karola Kumpoldta, a baron Sass z Warszawy przyznał filiałowi zapomogę w wysokości 40 rubli.

Czeska diaspora, chociaż nieliczna, była jednak dość rozległa, obejmowała bowiem nie tylko sam Kuców, lecz także pobliskie wsie należące niegdyś do dóbr kleszczowskich (Kleszczów, Złobnicę, Nowy Folwark, Faustynów — nie ten, z którego przybył Kulhawy — Trząs, Łuszczanowice, Aleksandrów, Brudzice, Karolów, Dziepłocie, Jewiec), dziewięć wiorst z północy na południe, sześć z zachodu na wschód. Po paru latach administracji ks. Cerawskiego Kuców przyłączony został do parafii zelowskiej, a ks. Mozes otrzymał polecenie odwiedzania najmniej cztery razy w roku tego odległego — biorąc pod uwagę ówczesną komunikację — filiału.

Zupełnie inaczej powstawał i rozwijał się Faustynów. Jego historia zaczyna się znacznie później niż Kucowa, bo dopiero w 1841 roku, nazwa zaś pochodzi od imienia Faustyny z Łyskowskich primo voto Porczyńskiej, secundo voto Gątkiewiczowej.

Antoni Porczyński był właścicielem dóbr Przecznie położonych na zachód od drogi wiodącej z Zelowa do Szczercowa. Po jego śmierci w 1832 roku część dóbr należała do syna Augusta, część została odsprzedana (?!) Faustynie z Łyskowskich, bodaj-że wdowie po zmarłym. Właściciele Przeczni musieli popaść w poważne długi. Broniąc się prawdopodobnie przed groźbą licytacji (która nastąpiła zresztą w 1844 roku) pani Faustyna postanowiła sprzedać część Woli Pszczółkowskiej, która wraz z Przecznią, Pszczółkami i młynem Krupa od 1835 roku (po zlicytowaniu poprzedniej właścicielki, Marianny Bogdańskiej) wchodziły w skład tych dóbr.

Pani Faustyna sprzedała w 1841 roku bodajże sam las, który należało wpierw wykarczować. Obok Czechów nabywcami byli również polscy chłopi. Gdy w 1857 roku myślano o utworzeniu w Faustynowie szkoły, zanotowano ogólny areał (15 włók) oraz gotowość „zamieszkałych na tej kolonii katolików, którzy osiedlili się na pół szóstej hubie" do partycypowania w kosztach utrzymania szkoły, jeśli ich dzieci uczone w niej będą po polsku. W imieniu tych chętnych podpisali się wówczas Jakub Rembek i Tomasz Maleński.

Z dokumentów archiwum łódzkiego wynika, że w 1847 roku na faustynowskich „włókach miary nowopolskiej, grunt piaszczysty" siedziały 23 rodziny okupnicze i jedna komornicza, złożona w sumie ze stu osób. W dwa lata później — według dokumentu zachowanego w archiwum zelowskim — były w Faustynowie 23 rodziny, ale złożone już tylko z 93 osób, w następnym zaś roku — 95 osób w Faustynowie i 8 w Przeczniach.

Już ze Śląska przywozili Bracia Czescy nazwiska niemieckie i polskie, co świadczyło wymownie o tym, że nie stanowili tam absolutnie wyizolowanej społeczności. Nie było jednak czeskiej asymilacji, a jedynie wchłanianie przez Czechów obcych elementów etnicznych. Czy nie sądzi Pan Profesor, że jest to wyjątkowo ciekawe zjawisko socjologiczne? Tak samo dla lingwisty pasjonującym powinno być przebadanie nawarstwień w mowie Czechów zelowskich. Ich przodkowie wynieśli z ojczyzny znajomość mowy chłopów i języka kancjonałów. Na Śląsku ulegali zapewne wpływowi tamtejszej gwary polskiej. Gdy osiedlili się w Zelowie, potrafili porozumieć się z okolicznymi chłopami, którzy jednak mogli niektórych śląskich, gwarowych słów i zwrotów nie rozumieć! No i po 1803 roku wpływ gwary mazowieckiej... Byłbym bardzo ciekawy poznać zdanie Pana Profesora na ten temat.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku.

List jedenasty

Kochani,

jak to dobrze mieć lekarzy w rodzinie! Pięknie dziękuję Wam za przetłumaczenie mi łacińskich tez do pracy doktorskiej Nowickiego. Premię — egzemplarz książki z dedykacją „Żysi i Adamowi z podziękowaniem za konsultację..." — prześlę po ukazaniu się *V Zelově pod Łodzią*. Chwilowo otrzymujecie zdjęcie grobu Nowickiego przy którym stoi jego „odkrywca" — Olek.

Jak Wam już pisałem w poprzednim liście, na wczasy do Zelowa pojechali ze mną wszyscy trzej moi chłopcy. Wynudzili się strasznie, bo z dawnego boru zelowskiego zostały dosłownie strzępki, kąpać się też nie ma gdzie — a oni przyzwyczajeni już są do atrakcji mazursko-warmińskich. Jedno jedyne kino zmienia program dwa razy w tygodniu. Co robić przez pozostałe pięć dni? W tej sytuacji chodzenie po cmentarzu staje się „wydarzeniem". Takie były kulisy znalezienia wśród dziesiątków czeskich mogił nagrobka z napisem informującym, że to właśnie tu spoczywa zmarły 5 marca 1876 roku Emilian Klemens Nowicki — profesor, chirurg.

Z pomocą ks. Trandy, pastora zelowskiego, odszukałem w księgach stanu cywilnego zapis w języku rosyjskim (narzuconym parafii tuż przed 1870 rokiem), z którego wynika, że tego i tego dnia stanęli przed pastorem Sikorą Leopold Telakowski, dziedzic dóbr Pszczółecka Wola liczący lat 60 oraz Paweł Kulhawy, rolnik z Faustynowa lat 66 i oświadczyli, że o godzinie dziesiątej rano, dnia czwartego marca (a nie piątego, jak na nagrobku!) 1876 roku zmarł w Woli Pszczółeckiej doktor Emilian Klemens Nowicki, były profesor uniwersytetu warszawskiego, członek Rady Lekarskiej, mieszkający w Woli Pszczółeckiej u Leopolda Telakowskiego, urodzony we wsi Kożany na dawnym Podlasiu, dziś w guberni grodzieńskiej, syn śp. Mikołaja i Marianny z domu Borszcz małżeństwa Nowickich,

Pani Faustyna sprzedała w 1841 roku bodajże sam las, który należało wpierw wykarczować. Obok Czechów nabywcami byli również polscy chłopi. Gdy w 1857 roku myślano o utworzeniu w Faustynowie szkoły, zanotowano ogólny areał (15 włók) oraz gotowość „zamieszkałych na tej kolonii katolików, którzy osiedlili się na pół szóstej hubie" do partycypowania w kosztach utrzymania szkoły, jeśli ich dzieci uczone w niej będą po polsku. W imieniu tych chętnych podpisali się wówczas Jakub Rembek i Tomasz Maleński.

Z dokumentów archiwum łódzkiego wynika, że w 1847 roku na faustynowskich „włókach miary nowopolskiej, grunt piaszczysty" siedziały 23 rodziny okupnicze i jedna komornicza, złożona w sumie ze stu osób. W dwa lata później — według dokumentu zachowanego w archiwum zelowskim — były w Faustynowie 23 rodziny, ale złożone już tylko z 93 osób, w następnym zaś roku — 95 osób w Faustynowie i 8 w Przeczniach.

Już ze Śląska przywozili Bracia Czescy nazwiska niemieckie i polskie, co świadczyło wymownie o tym, że nie stanowili tam absolutnie wyizolowanej społeczności. Nie było jednak czeskiej asymilacji, a jedynie wchłanianie przez Czechów obcych elementów etnicznych. Czy nie sądzi Pan Profesor, że jest to wyjątkowo ciekawe zjawisko socjologiczne? Tak samo dla lingwisty pasjonującym powinno być przebadanie nawarstwień w mowie Czechów zelowskich. Ich przodkowie wynieśli z ojczyzny znajomość mowy chłopów i języka kancjonałów. Na Śląsku ulegali zapewne wpływowi tamtejszej gwary polskiej. Gdy osiedlili się w Zelowie, potrafili porozumieć się z okolicznymi chłopami, którzy jednak mogli niektórych śląskich, gwarowych słów i zwrotów nie rozumieć! No i po 1803 roku wpływ gwary mazowieckiej... Byłbym bardzo ciekawy poznać zdanie Pana Profesora na ten temat.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku.

List jedenasty

Kochani,

jak to dobrze mieć lekarzy w rodzinie! Pięknie dziękuję Wam za przetłumaczenie mi łacińskich tez do pracy doktorskiej Nowickiego. Premię — egzemplarz książki z dedykacją „Żysi i Adamowi z podziękowaniem za konsultację..." — prześlę po ukazaniu się *V Zelově pod Łodzią*. Chwilowo otrzymujecie zdjęcie grobu Nowickiego przy którym stoi jego „odkrywca" — Olek.

Jak Wam już pisałem w poprzednim liście, na wczasy do Zelowa pojechali ze mną wszyscy trzej moi chłopcy. Wynudzili się strasznie, bo z dawnego boru zelowskiego zostały dosłownie strzępki, kąpać się też nie ma gdzie — a oni przyzwyczajeni już są do atrakcji mazursko-warmińskich. Jedno jedyne kino zmienia program dwa razy w tygodniu. Co robić przez pozostałe pięć dni? W tej sytuacji chodzenie po cmentarzu staje się „wydarzeniem". Takie były kulisy znalezienia wśród dziesiątków czeskich mogił nagrobka z napisem informującym, że to właśnie tu spoczywa zmarły 5 marca 1876 roku Emilian Klemens Nowicki — profesor, chirurg.

Z pomocą ks. Trandy, pastora zelowskiego, odszukałem w księgach stanu cywilnego zapis w języku rosyjskim (narzuconym parafii tuż przed 1870 rokiem), z którego wynika, że tego i tego dnia stanęli przed pastorem Sikorą Leopold Telakowski, dziedzic dóbr Pszczółecka Wola liczący lat 60 oraz Paweł Kulhawy, rolnik z Faustynowa lat 66 i oświadczyli, że o godzinie dziesiątej rano, dnia czwartego marca (a nie piątego, jak na nagrobku!) 1876 roku zmarł w Woli Pszczółeckiej doktor Emilian Klemens Nowicki, były profesor uniwersytetu warszawskiego, członek Rady Lekarskiej, mieszkający w Woli Pszczółeckiej u Leopolda Telakowskiego, urodzony we wsi Kożany na dawnym Podlasiu, dziś w guberni grodzieńskiej, syn śp. Mikołaja i Marianny z domu Borszcz małżeństwa Nowickich,

zamieszkałych niegdyś w Kożanach. Po resztę wiadomości o Nowickim musiałem pojechać do Warszawy, do tamtejszych bibliotek naukowych, ponieważ zaś z Waszego listu wynika, że nazwisko to Wam nic nie mówi, więc pozwólcie, że opowiem Wam swoimi i cudzymi słowami niezwyczajne dzieje życia tego męża.

Wyobraźcie sobie: w warszawskiej bibliotece uniwersyteckiej znalazłem *Biographisches Lexikon der hervorragenden Aerzte aller Zeitenund Völker* (to brzmi dumnie: „wybitni lekarze wszystkich czasów i ludów!") no i okazuje się, że do wybitnych zaliczono również i naszego Nowickiego. Także i w języku polskim Nowicki ma sporą bibliografię, jako że w swoim czasie uznany został za „ojca polskiej chirurgii". I co Wy na to, jak zdawaliście egzaminy z historii medycyny?

Szymon Konarski nie odnotowuje go w swej książce *Szlachta kalwińska w Polsce*, może więc Nowicki nie był kalwinem a luteraninem? A może tylko po ojcu był pochodzenia szlacheckiego? Białoruską treść panieńskiego nazwiska matki ambitny syn zlikwidował już w swej uniwersyteckiej autobiografii, pominął ostatnie dwie litery i w ten sposób powstało raczej cudzoziemskie niż plebejskie nazwisko Borsz...

Sprostować też chyba należy nazwę wsi rodzinnej — nie Kożany lecz (prawdopodobnie) Kożyno, wieś nad Narwią, na północny wschód od Bielska Podlaskiego, w którym Emilian Klemens otrzymać miał na chrzcie te dwa imiona.

Rodzice jego — kadził potem jubilatowi w „Tygodniku Ilustrowanym" z 1865 roku P. Grisztowt — światli i dostojni obywatele ziemscy, staranne dali wychowanie w domu, szczególniejszą zwracając uwagę na naukę języków, muzyki i rysunków. Było to w czasie, kiedy po r. 1795 część Podlasia przeszło pod panowanie pruskie. Szkoły nasze, przez Komisyą edukacyjną urządzone wzorowo, przez nowy rząd zostały utrzymane. W Białymstoku było gimnazjum akademickie. Do niego oddano młodego Emiliana, i świetne tam musiał czynić postępy w naukach, kiedy uwieńczono go medalem i kiedy król Fryderyk Wilhelm III przez ministra Schröttera dalszą swą opiekę naszemu Nowickiemu zapewnił.

Traktat tylżycki (1807), w skutek którego obwód białostocki przyłączono do Rossyi, inny nadał kierunek przyszłemu zawodowi Nowickiego. Zamiast udania się na dalszą naukę do uniwersytetów niemieckich, w 1810 r. zapisał się w poczet uczniów uniwersytetu wileńskiego. Szkoła wileńska była wtedy na szczycie i blask swojej sławy daleko rzucała. Na czele jej stanął mąż całemu światu znany, astronom Jan Śniadecki. Wszystkie wydziały uniwersytetu zdobiły wówczas pierwszorzędne naukowe znakomitości, ale wydział lekarski miał największy urok dla młodzieży (...)

Dnia 28 czerwca 1812 roku Napoleon zajął Wilno; gmach zakładów naukowych i kliniki użyto na potrzeby wojska i nauki na czas pewien przerwane zostały. Nowickiemu ofiarowano posadę szefa brygady; on jednak czując się więcej zdolnym do władania piórem i skalpelem aniżeli mieczem, proponowanej sobie godności nie przyjął i po otrzymaniu stopnia kandydata medycyny opuścił Wilno udając się na dalszą naukę do Warszawy.

Tu chcę dodać, że wiózł z sobą własny przekład szwajcarskiego poematu *Dafnis* Salomona Gessnera.

W Warszawie do profesorów Nowickiego należał między innymi (pochodzący z mazurskiej Ostródy) Jakub Fryderyk Hoffmann — teść Klementyny z Tańskich Hoffmanowej — który w 1815 roku założył w stolicy ogród botaniczny. Możliwe, że to pod wpływem Hoffmanna przetłumaczył Nowicki pracę Zygmunta Fryderyka Hermbstaedta *Nauka o rozbiorze roślin podług zasad fizyczno-chemicznych...*, wydaną razem z rozprawą J. B. Trommsdorfa *Chemiczny probierczy gabinet, czyli wiadomości o użyciu i własnościach odczynników (reagentium).* Rok wydania: 1812.

W następnym roku powiększył swój dorobek pisarski własną *Nauką o rozbieraniu wód mineralnych y sztucznem ich przysposabianiu przez E. O. Klemensa Nowickiego, ucznia Wydziału Akademicko-Warszawskiego Nauk Lekarskich w Warszawie*, dedykowaną profesorowi chemii i farmacji Józefowi Celińskiemu.

Niewątpliwie zasłużoną nagrodą za entuzjazm i poświęcenie w naukach stało się przyznanie świeżo upieczonemu

magistrowi medycyny państwowego stypendium zagranicznego. Pierwszego sierpnia 1815 roku — majac w sakiewce 2000 złp z funduszów Dyrekcji Edukacji Narodowej — wyjechał dwudziestoczteroletni Nowicki do Wiednia, Paryża, Londynu, Getyngi i Berlina. A ponieważ — zwłaszcza we Francji — po wojnach napoleońskich chirurgia stała bardzo wysoko, podbudowana praktyką na polach bitewnych, więc dużo skorzystał. Wracając po dwu latach studiów zagranicznych do Warszawy wiózł Nowicki z sobą aż cztery własne prace naukowe — o chorobach oczu, porządkach panujących w szpitalach, chorobach kiszki odbytowej i o anatomii patologicznej. Wszystkie pozostały w rękopisie i — zdaje się — zaginęły.

W Warszawie powstał był właśnie Uniwersytet Królewski — dowód życzliwości cara Aleksandra I dla poddanych w jego Królestwie Polskim. Potrzeba sprawiła, że magister medycyny został natychmiast po powrocie do kraju profesorem uniwersyteckim. Naturalnie — „przybranym", do wykładania chorób kości i jamy ustnej.

Młody uczony miał ambicję i nie chciał korzystać z taryfy ulgowej. Szybko przygotował pracę doktorską, przedstawiając w niej nowe instrumenty chirurgiczne własnego pomysłu. Pierwszą habilitacją na niedawno utworzonym uniwersytecie była właśnie habilitacja Emiliana Klemensa Nowickiego. Sami powiedzcie — czy nie imponująca kariera?

24 września 1818 roku broniąc swej pracy doktorskiej przedstawił Nowicki owe pięć tez w języku łacińskim, które mi przetłumaczyliście z zastosowaniem polskich terminów medycznych. Jeszcze raz — dzięki.

Piękna łacińska dysertacja *Tentamen medico-chirurgicum inaugurale tractatum historicum de vicaria pupilla nec non novam medelae adstruendae rationem sistens* została wydrukowana natychmiast po przyjęciu, a jeden jej egzemplarz zakupiono dla Biblioteki Uniwersytetu, gdzie opatrzony został sygnaturą 13.26.11.11. Jeśli będziecie kie-

dy w Warszawie pożyczcie ją do czytelni (dlatego podaję Wam sygnaturę) i przeczytajcie (po łacinie) przeciąwszy uprzednio karty. Ja tego nie uczyniłem z szacunku dla zabytków. Zresztą — nie mając zamiaru czytać, nie chciałem udawać pierwszego, który się na to zdobył po prawie stu pięćdziesięciu latach od chwili wydrukowania.

Z księgi pamiątkowej uniwersytetu dowiedziałem się jakie Nowicki piastował stanowiska naukowe i jak rozrabiał, wygryzając starszych kolegów. No, ale też podobno umiał i dobrze operować pacjentów.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe dyktator Chłopicki mianował szefem wojskowej służby lekarskiej (generałem sztabs-doktorem armii) Karola Kaczkowskiego (pamiętacie — o przedwojenni filateliści — znaczki z Kaczkowskim?). Na dodatek złego — w zrozumieniu Nowickiego — jego przyjaciel Roliński wystąpił z wnioskiem, aby przyśpieszyć kształcenie studentów medycyny. Wniosek został entuzjastycznie przyjęty przez starszych studentów (młodsi z pierwszych trzech lat studiów bez chwili namysłu zaciągnęli się natychmiast do wojska jako prości żołnierze).

Tego już było Nowickiemu za wiele. Nie tylko, że Kaczkowski zajął miejsce, które mu się należało, ale jeszcze Roliński zdobywa tanią popularność demagogicznym wnioskiem!

Doszło do konfliktu. Patriotyczni studenci nie zawahali się określić Nowickiego krótko i niepochlebnie: „niesumienny nauczyciel, a zły Polak". Dyktator Chłopicki stanął po stronie studentów. Prof. Nowicki złożył podanie o dwumiesięczny urlop, który mu bez zwłoki został udzielony. Mimo to przywódcy powstania nie chcieli zrezygnować z jego wiedzy i umiejętności. Prawdopodobnie minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego hr. Biński, a na pewno członek Rządu Narodowego Joachim Lelewel umożliwił mu wydanie w czerwcu 1831 roku książki *Odeymowanie członków obiaśnione trzydziestą*

trzema tablicami wzorów rytych i zbiorem historycznych narzędzi. Naturalnie przede wszystkim dla użytku lekarzy wojskowych.

W rok potem, po zlikwidowaniu przez władze carskie uniwersytetu w buntowniczej Warszawie Nowicki zostaje lekarzem-praktykiem. Wkrótce zdobywa sobie renomę najlepszego chirurga w Warszawie. Do sławy i wziętości Nowickiego przyczyniła się niewątpliwie kolejna (i ostatnia) książka doktora medycyny, chirurgii i sztuki położniczej, profesora chirurgii praktycznej, dyrektora kliniki ophtalmiatryczno-chirurgicznej (byłego) uniwersytetu królewsko-alexandrowskiego, zatytułowana nieco krócej: *O złamaniu kości i sposobach leczenia ich. Rzecz objaśniona 87 tablicami wzorów rytych.* (Warszawa 1833).

Praca, którą teraz pod sąd znawców oddaję — pisał w niej — jest owocem nauczania młodzieży lekarskiej, prowadzeniu mojej poruczonej. Zaczęta i co do rycin od lat 6 ukończona, dla wypadków krajowych i zatrudnień własnych, zaledwie po tak znacznej przerwie na widok wychodzi. Jeżeli nie wyższa, równa przynajmniej dokładnością pismom obcych języków, tę może w kraju mieć zaletę, że w rodowitej ułożona mowie, nieobeznanym z innymi, użyteczną będzie.

Ostatnia książka Nowickiego zdobyła sobie bardzo pochlebne recenzje. Dopiero w 1949 roku Stanisław Konopka porównał ją z wydaną w Berlinie w 1828 roku książką Adolfa Leopolda Richtera *Theoretisch-praktisches Handbuch der Lehre von den Porüchen und Verrenkungen der Knochen* i w konsekwencji stwierdził:

Emilianowi Nowickiemu nie można odmówić zasług. Książka *O złamaniu kości* wzbogaciła ówczesne piśmiennictwo polskie i była niewątpliwie pozycją bardzo wartościową" — nie mniej: „tekst w pierwszej części jest wolnym przekładem, w części drugiej streszczeniem książki Richtera. Na 620 rycin tylko około 170 oryginalnych.

Nie wiem, co Wy sądzicie o „ojcu polskiej chirurgii", mnie się wydaje, że najbardziej obciąża go fakt nie powoływania się ani razu na książkę Richtera, choć inne źródła swej wiedzy Nowicki często przytacza. Pośmiertne

jednak zdemaskowanie charakteru ludzkiego to jedna sprawa, a umiejętności zawodowe — druga. Możliwe, że Nowicki był najlepszym chirurgiem warszawskim w połowie XIX wieku, ale pewnym jest też, że miał charakter utrudniający mu współżycie z ludźmi.

Jak już wiecie, w kwietniu 1865 roku odbył się jubileusz „uczonego lekarza, zręcznego chirurga, autora kilku dzieł wysokiej wartości, filozofa, poety, lingwisty". Te piękne epitety poprzedził Girsztowt bardzo zasadniczym wprowadzeniem poetycko-filozoficznym:

Pośród różnych zakresów działalności, jakie w organizacji społeczeństw spotykamy, zawód lekarza, nauczyciela, uczonego, bez zaprzeczenia przedstawia piękne pole do zjednania sobie szacunku i wdzięczności ziomków; można tutaj niejedną łzę otrzeć, światło rozpowszechniać, granice wiedzy rozszerzyć. Szczęśliwy, kto wszystkie te zadania w sobie połączy; z jednej strony wewnętrzne przeświadczenie o spełnieniu tak ważnego posłannictwa będzie mu słodką nagrodą podjętych trudów, z drugiej pozyska uznanie i wdzięczność ziomków. Do wieńca tego ciernista jednak prowadzi droga...

Zbieg okoliczności sprawił, że zamiast w kwaterze zasłużonych na Powązkach Klemens Emilian Nowicki spoczął ostatecznie wśród czeskich tkaczy-chałupników w nikomu nieznanym Zelowie...

Przeglądałem w sądzie w Łasku zapisy hipoteczne dóbr Przecznie, do których w swoim czasie należały również Pszczółki i Wola Pszczółecka. Nie znalazłem tam żadnego śladu nabycia Woli Pszczółeckiej przez Nowickiego. A ponieważ w notatce w aktach stanu cywilnego mowa jest o tym, że zmarł u Telakowskiego, a nie „na swoich śmieciach", więc nasuwa się przypuszczenie, iż ex-profesor uniwersytetu nie tylko cudze teksty lubił podawać za swoje, ale też chwalił się posiadaniem nie nabytego majątku. Scripta manent, więc w encyklopediach jednak czytamy, że zmarł w swoich dobrach...

Skorzystałem z okazji i będąc z Zelowie pojechałem do Woli Pszczółeckiej. Długo błądziliśmy po piaszczystych

drogach zwłaszcza, że motor w pikapie co kilka minut strajkował — długo będę pamiętał tę jazdę, ale czego się nie robi dla wiedzy! — przejechaliśmy koło szkoły Tysiąclecia, z wielkim trudem odnaleźliśmy, dopiero z pomocą dziesięcioletniej dziewczynki, kawałek lasu, który był niegdyś faustynowskim cmentarzem i od tej właśnie dziewczynki dowiedzieliśmy się, że w Woli Pszczółeckiej, w lesie, jest pałac. Pomyślałem sobie: a może jednak zbudowany przez Nowickiego?

Przy leśnych drogach prowadzących do „pałacu" ustawiono znaki drogowe zakazujące wjazdu, nie są one jednak szanowane przez co śmielszych kierowców, dzięki czemu i ja mogłem — razem z moją przewodniczką — pogapić się przez płot i skontatować, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności w Woli Pszczółeckiej, w której — udając w korespondencji z warszawiakami pana dziedzica — zmarł E. K. Nowicki, w dziewięćdziesiąt lat potem pracownicy dobrze znanej w całym kraju pod nazwą „Polfa" pabianickiej fabryki lekarstw urządzili sobie uroczy, nowoczesny ośrodek wypoczynkowy.

Wiecie już więc kim był Emilian Klemens Nowicki spoczywający na zelowskim cmentarzu, a którego grób — trochę z nudów — odkrył mój Olek. A propos — jak się trzymają Wasze dzieci? No i kiedy Wasza octavia super stanie wreszcie przed naszym domem? Rozumiem, że można poza pracą świata nie widzieć, rozumiem, że z Nowego Tomyśla daleko do Olsztyna, ale ja też mam daleko do Zelowa i mimo to podjąłem się napisać o nim książkę. Więcej — będę musiał pojechać „za nią" do Czech, gdzie po 1945 roku przeniosła się większość zelowskich Czechów. Właściwie to już parę miesięcy temu mógłbym tam pojechać „na wymianę", jako że nasz olsztyński oddział ZLP oraz „Pojezierze" utrzymują żywe kontakty z pisarzami z Ostrawy, no ale bywają stosunki i stosuneczki...

Przesyłamy najlepsze pozdrowienia i uściski, również dla Cioci, Szczepana, a także dla Rodziny Żysi.

List dwunasty

Szanowny Panie Doktorze,

proszę wybaczyć mi nieuwagę w odczytaniu pierwszego Pana listu, co spowodowało, że moje informacje były niezupełnie na temat. Mam nadzieję, że tym razem lepiej się spiszę, choć nie dysponuję takim zakresem wiadomości, o jaki Panu chodzi. Ale czasem i przyczynki mają swoją wartość.

Po uzyskaniu zgody władz na przeprowadzenie kolekty wysłali zelowianie na Śląsk, do Strzelina, Bogumiła Matejkę, Jana Tomesza i nowego nauczyciela Jana Duszka. Latem 1821 roku dwaj pierwsi byli również w Taborze, natomiast „obywatel i sąsiad tutejszy Franciszek Śmietniczka chodził aż do Czech i na Morawy i to w najprzykrzejszej porze, w której dosyć wytrzymać musiał". Bogumił Matejka i Jan Buresz „chodzili w tenże czas w Województwo Krakowskie i Sandomierskie. Już dosyć wytrzymali przykrości dla częstej w tej porze roku niepogody".

Przypuszczam, że mowa tu o jesieni, bo nieco później:

...roku 1821 na Śty Szczepan tak piękna pogoda, że bydło wypędzali obywatele tutejsi w Pole i do Lasa, ponieważ śniegu wcale nie było, a ciepło było tak, jak w lecie czasem nie bywa.

Po tej ciekawostce meteorologicznej wracam do sprawy, o ile się nie mylę, dla Pana Doktora najważniejszej. Otóż w archiwum zelowskim zachowała się lista ofiarodawców na budowę kościoła w Zelowie z ziemi sandomierskiej z Jednoty Małopolskiej. Są to: Marcin Żeleński z Lucjanowic, Karol i Justyna Różyccy, Michał i Karol Rusoccy z Łopacianki, Karol Kopecki, Rafał i Adam Konarscy ze wsi Podole, Andrzej Bobrownicki, Teodor Stryjeński, Stanisław Rapacki, Wincenty Piotrowski, Stanisław Różycki z Rosowic i Anna Wielowiejska.

Kalwińska parafia w Sielcu pomogła nowej, będącej na dorobku parafii zelowskiej nie tylko składkami, wyraziła także zgodę na sprowadzenie do Zelowa dzwonów ze zruj-

nowanego kościoła z Turska Wielkiego. Była to niewątpliwie zasługa ks. Mozesa, pochodzącego z tamtych właśnie stron. Dziedzic Turska, Plewczyński, chciał w 1858 roku wydzierżawić na 25 lat trzydzieści parcel o powierzchni od 4 do 15 mórg. Na osiedlenie się w Tursku reflektowali wówczas niektórzy mieszkańcy Zelowa (Jan i Bogumił Rajchertowie, Józef Duchacz, Karol Zaunar, Ludwik Stiasek, Karol Andersz, Jan Pechaczek, Fryderyk Mały, Paweł Miller, być może i inni).W archiwum zelowskim brak jednak jakichkolwiek dalszych wzmianek na ten temat.

Jeśli chodzi o samo poświęcenie kościoła w Zelowie, to w uroczystości tej udział wzięli ks. superintendent generalny Karol Diehl z Warszawy, senator i kasztelan Bronikowski, ks. Jan Scholtz z Żychlina, dziedzic Kącika Stanisław Nieszkowski z rodziną. Nad głównym wejściem umieszczono — dziś już nieistniejący — napis w języku polskim: *Pomnik wspaniałomyślności Alexandra I Cesarza Wszech Rossyi, Króla Polskiego,* nad bocznymi drzwiami natomiast po czesku: *Blahoslavení kteříž sou k večeři svadby Beránkovy povolani. Zjev. Kap. XIX. v. 9* (Błogosławieni, którzy są wezwani na wieczerzę wesela Barankowego. Objaw. Jana XIX, 9).

Z relacji zostawionej przez ks. Głowackiego wynika, że śpiewano psalmy wyłącznie w języku czeskim i na czeski przetłumaczył też Bogumił Fibich młodszy ułożoną przez pastora okazyjną *Pieśń główną, czyli śpiewać się mającą po Modlitwie lub Przemowie.* Utwór ten wydrukowany został w Warszawie i w formie ulotki rozdawany był podczas uroczystości poświęcenia kościoła. Jeśliby jego tekst interesował Pana Doktora, chętnie doślę. Tymczasem łączę wyrazy głębokiego szacunku.

List trzynasty

Kochana Mamo,

zawarte w ostatnim Mamy liście pytanie jest dla mnie ciężkim orzechem do zgryzienia. Zasadniczo powinienem być zadowolony z dotychczasowych wyników swej pracy nad książką o Zelowie. Zebrałem już bardzo dużo interesującego materiału, „wgryzłem się” w temat i... jestem w kropce. Najgorsze jest bodaj to, że znajdując odpowiedzi na pytania znajduję jednocześnie podstawę do stawiania nowych pytań. Przypomina to posuwanie się „tylko od drzewa do drzewa”, aż w końcu okazuje się, że jesteśmy w głębi wielkiego lasu i rodzi się w nas pytanie: czy przypadkiem nie zbłądziliśmy, czy będziemy umieli z tego gęstego lasu wyjść?

W którym kierunku szukać wyjścia z tego bogactwa materiału? W Wydawnictwie ustaliliśmy, że ma to być książka „do czytania” (a nie do studiowania). Wydawałoby się więc, że wszystko jasne, a tymczasem...

Dobre powieści „czyta się”, bo mówią nie o teoretycznych sprawach i zagadnieniach, ale o „żywych ludziach”, żywych nawet wtedy, gdy są wymyśleni przez autora.

Ponieważ stu pięćdziesięciu lat „czeskiego Zelowa” nie można pokazać na przykładzie życia jednego człowieka, więc myślałem o znalezieniu rodziny, której losy mogłyby stać się soczewką ogniskującą wiele promieni świetlnych. Czy jednak — gdybym nawet taką rodzinę znalazł — nie byłoby to zafałszowaniem prawdy historycznej? Coraz bardziej dochodzę do wniosku, że zelowska Gmina Braci Czeskich nie tylko z nazwy stanowiła trwałą, prawdziwie braterską wspólnotę (między braćmi też bywają konflikty, ale są to konflikty o innym ciężarze gatunkowym!).

Może by więc — nie rezygnując z indywidualnych bohaterów — pokazywać sprawy tej ciekawej zbiorowości na przykładach ludzi nie powiązanych z sobą więzami pokrewieństwa, a jedynie „wspólnotą losu”?

Okazuje się jednak, że nie łatwo określić na czym ta wspólnota polegała. Zapoznałem się ostatnio z dwiema bardzo dobrymi pracami o Zelowie z okresu międzywojennego. Jest to Józefa Żółtaszka *Chałupniczy przemysł tkacki w okręgu łódzkim,* rozprawa drukowana w „Ekonomiście" w 1928 roku, oraz *Chałupnictwo tkackie w Zelowie* Tadeusza Czajkowskiego, zamieszczone w pracy zbiorowej „Drobny przemysł i chałupnictwo" (Warszawa 1931). Uzmysławiają mi one, że między tym co było w Zelowie na początku XIX wieku, a tym co opisują w sto lat potem Czajkowski i Żółtaszek nastąpił swoisty przewrót, a może nawet cały cykl przewrotów. Gorzej — historia Żelowa nie była typowa w porównaniu z historią innych miasteczek łódzkiego okręgu przemysłowego, a skoro Zelów był „wyjątkiem od reguły", to może traktować go jedynie jako ciekawostkę, jako swoisty „wybryk natury"?

Jakiż z tego wniosek praktyczny dla mnie, jako piszącego książkę? Pójść „na efekt"? Wydobywać to, co najbardziej dziwaczne i ekscentryczne? Chodzi przecież w tym przypadku o kilka pokoleń ludzi, którzy na pewno nie zasłużyli sobie na to, by ich wystawiać na sztych, zwłaszcza, że byli to ludzie „mali", żyjący na ogół z pracy rąk, imponujący przywiązaniem do tradycji. Czyż to przywiązanie można potępić jako konserwatyzm?

Jako „wybryk natury", mimo poważnego izolowania się, był jednak Zelów częścią składową owej „natury", ściśle uzależniony od tego, co działo się w Łasku, Łodzi, w całym kraju, nawet w połowie XIX wieku, gdy faktycznie pełnił rolę Gminy Braci Czeskich.

Kusi mnie tu zbadanie mechaniki wzajemnych powiązań — przede wszystkim w XIX wieku — bo w aspekcie gospodarczym mechanikę tę dla okresu między pierwszą i drugą wojną światową pokazali już Czajkowski i Żółtaszek. Z ich prac wynika, że niepodległa Polska przyniosła zelowianom (nie tylko Czechom) pauperyzację. W okresie międzywojennym bowiem symbolem zelowskiego tkactwa

chałupniczego stała się produkcja wsyp na poduszki, a ściślej biorąc materiału na te wsypy, inletu. Natomiast przed 1914 rokiem osada prosperowała dzięki produkcji pluszu. Przed 1914 rokiem — to znaczy: od kiedy? Na pewno nie od 1803 roku — między przybyciem Czechów do Zelowa a pierwszą wojną światową było kilka specjalności produkcyjnych, wśród których ostatnią stała się produkcja pluszu.

Zmiany w ekonomicznej strukturze pociągały za sobą zmiany w układzie stosunków społecznych, obyczajowych, kulturalnych. Tempo tych zmian było zdaje się bardzo duże i to już od samego początku istnienia „czeskiego Zelowa". Widzę to na przykładzie człowieka, który obok ks. Mozesa lub Józefa Gąsiorowskiego (ojca) kandyduje do roli „postaci wiodącej" w mojej książce. Jego sprawy będą Mamie bliskie, jako że był drugim z kolei nauczycielem zelowskim. Nie tylko zresztą nauczycielem. Zwrócił na siebie moją uwagę tym, że miał wdzięczne dzieci. Na cmentarzu zelowskim wyróżnia się nagrobek z dziwnym zwieńczeniem wysokiego i ozdobnego postumentu znaczącego „miejsce wiecznego spoczynku małżonków Duszków oraz ich syna".

A oto „sprawa Jana Bogumiła Duszka".

Przyszedł na świat w 1793 roku w Husyńcu, jako syn Józefa i Anny z Jaworków. Zapewne po odsłużeniu powinności obywatelskiej w wojsku pruskim (w okresie wojen napoleońskich przywileje pod tym względem nadane przez Fryderyka II poszły w kąt) poślubił młodszą od siebie o dwa lata Annę z Bartów i w 1819 roku wezwany został do Zelowa, by objąć stanowisko po zmarłym nauczycielu Fryderyku Boetcherze. Ściągnął go zapewne ówczesny wójt Andersz, który w dwa lata później trzymał do chrztu jego córkę Annę Duszkównę.

Z 1825 roku pochodzi dokument, który reguluje stosunki między nauczycielem a Gminą, a jednocześnie naświetla ówczesne zwyczaje w dziedzinie krzewienia oświa-

ty, dlatego też przytoczę go Mamie w dużych fragmentach:

Chcąc porządek wprowadzić tak w naukach początkowych religijnych, jako i w Nauce Elementarnej, ugodzili się dobrowolnie z Panem Janem Duszkiem Nauczycielem i Kantorem, który przyrzeka i bierze obowiązek na siebie, wszelkie obowiązki religijne jako Kantor według Dispozycji JM Xiędza A. Głowackiego Pastora miejscowego wypełniać zawsze, gdy tego potrzeba będzie, przy tym zobowiązuje się jako Nauczyciel Szkoły elementarnej początki w Naukach Młodzieży Gminy Zelowskiej dawać regularnie i według danej sobie Informacji od JMX Głowackiego w języku polskim, a szczególnie czeskim, i do tego deklaruje w godzinach wolnych od nauki i religijnej posługi być pomocnym miejscowej Zwierzchności Wójtowi Gminy w piśmie.

Za takowe wierne i pilne posługi deklaruje Gmina Zelowska JPanu Janowi Duszce (sic!):

1. Wolne i bezpłatne pomieszczenie z należytą wygodą.
2. Drzewa na opał tyle, ile mu będzie potrzeba w przyzwoitym czasie, z bezpłatną zwioską.
3. Pensji wyznaczają 54 Talar (wyraźnie pięćdziesiąt i cztery Talarów) w kwartalnych ratach.
4. Żyta 10 (dziesięć) Korcy, powtarza się.
5. Gruntu pięć Morgów do Użytku ma sobie podane bez najmniejszego czynszu i Opłaty podatku.
6. Cztery razy do roku kollektę kościelną.
7. Piwa czterdzieści garncy.

Odnoszę wrażenie, że Duszek wytargował wówczas dobre warunki materialne. W pracy Eugenii Przygórskiej znalazłem, że „ogród i drzewo na opał" były ogólnie przyjętą zasadą, dochodziło do tego wynagrodzenia w gotówce od 400 do 700 złotych polskich rocznie. A Duszek oprócz „ogrodu i drzewa na opał" dostawał przecież 216 talarów, czyli ponad 1300 złp, i cztery kolekty kościelne, a zwolniony był od czynszu, podatku i komornego, otrzymywał wreszcie piwo i żyto. Wróćmy jednak jeszcze do dokumentu:

Przyrzeka JP Duszek dawać dobry przykład tak w życiu swoim, jako w dawaniu nauki, w zachowaniu, spokojności, słowem przyrzeka wiernie, trzeźwie i moralnie swoje obowiązki wypełniać, jak Nauczycielowi przystoi, który Młodzież przez naukę i przykład do dobrego i Cnoty ma zachęcać.

Gmina wzajemnie deklaruje wszelkie niesnaski i nieporozumienia, które w Gminie były dotąd od dnia dzisiejszego zupełnie puścić w niepamięć. A gdyby który z Obywateli miejscowych miał się odważyć odnowić czyli wznawiać te niesnaski i nieporozumienia, na pierwsze zażalenie do Wójta Gminy Miejscowej obowiązany będzie pięć Talarów kary zapłacić do Kassy Kościelnej bez odwołania się do wyższej Zwierzchności pod karą podwójną. Przytem Kościelni jako Gmina cała zobowiązują się najdalej w trzech Miesiącach (więc do początku października — przyp. mój) wyreperować Izbę na Szkołę, i drugi pokój na Xiędza, które pomieszkanie wewnątrz Gliną wylepić, Piece i kominki w pokoiku, przycieś podłożyć, gdzie potrzeba będzie, i gdy potrzeba będzie Dach poprawić.

Z nieco późniejszego okresu, z 1837 roku, pochodzi *Opis realności nieruchomych Szkolnych w Zelowie:*

1. Dom mieszkalny drewniany, gontami pokryty, składający się z trzech izb i komory.
2. Do mieszkalnego domu należy mała stodółka, od tyłu z tymże domem stykająca się, dzielona od domu ciemną komórką na zboże.
3. Chlewik na parę rogatego bydła.
4. Wychodek o dwojgu drzwi w tyle domu obok stodółki umieszczony.
5. Studnia cembrowana z żurawiem do ciągnienia wody.
6. Ogród tuż przy zabudowaniu szkolnym umieszczony, wynoszący cztery morgi miary chełmińskiej.
7. Ogrodzenie od frontu od drogi przez wieś prowadzącej z tarcic.

Wreszcie dla pełnego zobrazowania warunków nauczania — wyciąg z *Opisu Sprzętów inwentarskich szkolnych Szkoły Elementarnej Zelowskiej:*

1. Stół długi nowy do użytku dla młodzieży, jeden.
2. Stolik mały do użytku dla nauczyciela, jeden.
3. Ławek kilkołokciowych do użytku młodzieży, mogących się według upodobania przenosić z miejsca na miejsce, siedem nie licząc dwóch z plebanii pożyczonych.
4. Tablica duża ścienna, czarno malowana!

Bez daty wprawdzie, ale, sądząc z pisma, z tego samego okresu, pochodzi spis zatytułowany *Zbiór naukowy szkoły elementarnej zelowskiej:*

1. Wiadomości o ratowaniu osób w stanie pozornej śmierci będących, albo nagłą utratą życia zagrożonych.

2. Cztery poszyty wzorów rysunkowych technicznych.
3. Tablic do zgłoskowania w języku rosyjskim sztuk siedem.
4. Tablic do zgłoskowania w języku polskim sztuk siedem.

Mimo wyszczególnienia tablic rosyjskich można przyjąć, że w Zelowie przez kilkadziesiąt pierwszych lat właściwie w ogóle nie uczono rosyjskiego, nawet po powstaniu listopadowym. Duszek uczył tylko po czesku i po polsku, a zakres programu nauczania był skromny: „poznawać litery, szlabizować, katechyzmu i cokolwiek pisać i rachować".

O statusie prawnym znajdujemy informacje w jednym z listów urzędowych ks. Mozesa:

Szkoła religijna Ew. Ref. w Zelowie założona jest 1807 r., jako szkoła gminna, w której uczył niejaki Boetcher. Od roku 1819 był w tejże szkole nauczycielem Jan Duszek, który zostawszy później Wójtem gminy Zelowa prowadząc korespondencję z Naczelnikiem Powiatu Sieradzkiego, nazwał ją elementarną, jako szkołę dla początkowych dzieci przeznaczoną. Od r. 1834 zostawała, jako szkoła elementarna pod zarządem szkoły gimnazjalnej w Piotrkowie, a od dnia 1 stycznia 1855 zaczęła istnieć jako Szkoła religijna pod nadzorem i zarządem wysokiego konsystorza Ew. Ref. na zasadzie reskryptu konsystorza Ew. Ref. z dnia 18 października 1854 nr 1834, tudzież z dnia 6 listopada 1854 nr 1929.

Po powstaniu styczniowym ta autonomia szkoły wyznaniowej została zlikwidowana, rozdzielono stanowiska nauczyciela i kantora, wprowadzono język rosyjski jako wykładowy. Nadal jednak prowadzono naukę religii w języku czeskim, którym posługiwano się wyłącznie w domach.

Ponieważ w niektórych dokumentach archiwum zelowskiego występują podpisy i trzy znaki krzyża, można ustalić w przybliżeniu, ilu w owym czasie było w Zelowie analfabetów. I tak np. w 1831 roku na 128 „głów rodzin" było 78 analfabetów. Stanowili oni 69 procent. Jeszcze gorzej chyba przedstawiała się sytuacja wśród kobiet, z których tylko część (wdowy) podpisała się (lub nie podpisała) na owym dokumencie.

W 1834 roku ks. Mozes bodajże nie po raz pierwszy, raportował swojemu superintendentowi:

Pomimo obwieszczenia gminie, aby dzieci do szkoły chodziły, teraz prócz trojga lub czworga dzieci, które się czytać i katechizmu uczą, inne nie przychodzą. A ci rodzice, którzy gdy szkoła była z wyższych rozkazów zamknięta koniecznie o uczenie dzieci nalegali, dziś onych do szkoły nie posyłają.

Zwrot „z wyższych rozkazów zamknięta" można by interpretować — w 1834 roku — jako aluzję do skutków powstania listopadowego. W rzeczywistości jednak zamknięcie szkoły mogło równie dobrze wynikać z przeprowadzanego w roku 1832 i następnym — generalnego remontu budynku szkolnego. Budynek ów nie był kolosem architektonicznym, więc dwuletni okres remontu świadczył niezbyt dobrze o realizatorach.

Ks. Mozes postawił wniosek o wynajęcie odpowiednio dużej izby na szkołę. Okazało się wówczas, że najbardziej odpowiednie pomieszczenie znajduje się w domu starego Jana Jersaka, zajęte jednak przez trzy rodziny żydowskie co dawało mu na pewno więcej zysku.

W tymże 1834 roku ks. Mozes chwali nauczyciela Duszka jako:

...osobę zdatną, moralnie się prowadzącą, w powołaniu swoim gorliwą i akuratną. [...] Na nabożeństwa uczęszcza z dziećmi, kiedy te nie są zajęte paszeniem bydła. Uczy podług metody wzajemnego uczenia. [...] Zdaje się atoli, że JP Jan Duszek, złożywszy już urząd Wójta Gminy, dla różnych zmartwień, które z przyczyny niektórych złośliwych ludzi tutejszych ponosi nie mogąc po ciężkiej chorobie przyjść do zdrowia, umyśla uchylić się od obowiązku kantora i nauczyciela.

Ale już w tym samym roku — z innej okazji korespondencyjnej — ks. Mozes nieco inaczej naświetla postać naszego bohatera.

Z żalem przewidywałem, że ciemnotą związanych a przytem zarozumiałych w sobie Zelowian nie można ani przekonać, ani oświecić, przewidywałem, że jak dziecię zepsute, tak oni nie samymi słowami dadzą się poprowadzić. Miękkość poczciwego Duszka, który jest Wójtem Gminy, zaszkodziła jemu, zaszkodziła i mnie. Zuchwali wzięli górę, a my obydwaj w najgorszym jesteśmy położeniu tak względem odbierania obelg, jako względem wyrządzonych nam złości.

Wspólnota w niedoli trwała jednak krótko. 17 września 1836 roku, znów będąc wójtem, Duszek składa rezygnację z posady nauczyciela i kantora motywując ją „fizyczną słabością do prowadzenia śpiewów w Kościele, jako i przy grzebaniu ciał".

Inaczej na jego rezygnację zapatruje się pastor:

JP Duszek — pisze — w czynnościach Wójta Gminy i fabrykanctwie, które prowadzi, znaczniejsze dla siebie widząc korzyści, większe ma upodobanie niżeli w uczeniu i sposobieniu dzieci na pracowitych, religijno-moralnych i wiernych Najjaśniejszemu Panu poddanych.

Nie omieszkał też upominać niesfornego nauczyciela:

Lecz upominanie zamiast poprawić rozjątrzało go raczej [...] — skarży się. — Zawsze bardziej na osobiste zyski, niżeli na dobro ogółu baczny, szukał on wszelkimi sposobami na miejsce swoje podsunąć krewnego swego za granicą zamieszkałego, niejakiego Kaczora z Czermina na Szląsku, człowieka bez doświadczenia, wielce uprzedzonego i o sobie zarozumiałego i jak się zdaje nawet niespokojnego — Czerminianie, jak słyszałem, radziby się go pozbyć.

Na tym jednak nie koniec perypetii z Janem Duszkiem, który zdaje się nie miał zbyt wielkiego powołania nauczycielskiego. Perypetie właściwie dopiero się zaczęły:

Zastępcą, a potem następcą Duszka został w szkole niespodziewanie nie Kaczor, ale Bogumił Fibich młodszy, ojciec siedmiorga już dzieci. Pastor był nadzwyczaj zadowolony — zwłaszcza z jego „wzorowego zachowania się tak względem uczenia dzieci jak i posłuszeństwa dla Przełożonych i Zwierzchności". Podobne zdanie wyrażała o nim gmina, nie bez znaczenia był tu prawdopodobnie fakt, że Fibich zadowolił się pensją 324 złp rocznie. Nominacja Fibicha nie mogła się podobać Duszkowi, który rychło wpadł na genialny pomysł, jak ośmieszyć niewygodnego sobie nauczyciela. Ponieważ z Fibicha był śpiewak raczej kiepski, wystąpił z projektem zakupienia do kościoła organów. Pastor musiał oczywiście jak najgorliwiej poprzeć tę pobożną inicjatywę — niestety również i po to, aby Duszek mógł się potem natrząsać z Fibicha-kantora.

Ponieważ Duszek znalazł na Śląsku człowieka, który nadawał się na organistę, Fibich musiał ustąpić, lecz wówczas okazało się, że protegowany Duszka nie chce przenieść się do Zelowa. Tak więc po dłuższej przerwie Fibich wrócił na stanowisko kantora i nauczyciela, ale szykany Duszka i niezbity fakt, że na organach nie ma komu grać sprawiły, iż w 1840 roku ponownie zrezygnował, wybrany na niewątpliwie lepsze stanowisko Wójta Gminy, od którego nikt wówczas nie mógł wymagać umiejętności gry na instrumentach muzycznych.

Zmiana na stanowisku wójta stała na pewno w ścisłym związku z dalszym zaognieniem się stosunków między dotychczasowym wójtem Janem Duszkiem, a pastorem Mozesem, który tak o nim wówczas pisze do superintendenta:

...wszelki nierząd, bezprawia, jakie w Zelowie istnieją, pobłażane są i utrzymywane przez samego Wójta Gminy, którego administracja jest prawdziwą trucizną dla moralności i religii.

Czy może sobie Mama wyobrazić taką przemianę? Ja nie bardzo. Po prostu ks. Mozes potrzebował wójta, który byłby „jego człowiekiem". To wyjaśnienie niewiele jednak wyjaśnia, jeśli chodzi o samego Duszka. Choć bez zamiłowania do zawodu nauczycielskiego musiał on jednak wiedzieć czego chciał od życia. Ponieważ w Zelowie było mu z pastorem za ciasno, przeniósł się więc do sąsiedniej wsi, do Pożdżenic.

Razem z Nową Wolą oraz koloniami Ignaców i Weronika Pożdżenice stanowiły dobra, które w 1843 roku zostały rozparcelowane między 101 „cząstkowych posiadaczy".

I tu pierwszy przykład, w jaki sposób odpowiadając na pytanie: „kim był w Zelowie Jan Bogumił Duszek?" stawiam sobie nowe: „Czym były dla »czeskiego Zelowa« Pożdżenice i inne sąsiednie wsie?" I — „dlaczego Duszek zamienił Zelów właśnie na Pożdżenice?".

A więc parę słów o Pożdżenicach. Odnoszę wrażenie, że w okresie Księstwa Warszawskiego osadzono w nich Niem-

ców z Saksonii, jako tak zwanych olendrów (nie mających jednak nic wspólnego z Holandią, ponieważ nazwa ich wywodziła się od słowa Hauländer — wyręby lasów pod nowe pola uprawne). Z biegiem czasu w gronie mieszkańców tej czynszowej wsi pojawiają się Polacy i Czesi. W 1843 roku wykupują się oni dotychczasowemu właścicielowi, niejakiemu Miączyńskiemu. Z dokumentu z 1844 roku wynika, że wykupiło się 6 rodzin polskich, 30 czeskich i 33 niemieckie.

Wbrew pozorom, jakie stwarzają te proporcje liczbowe (6—30—33), Pożdżenice były wsią zdecydowanie niemiecką. W rękach niemieckich znajdowało się bowiem 899,5 morgi gruntu, w czeskich 375 mórg, a w polskich zaledwie 75 mórg. Na jednego Niemca przypadały przeciętnie 4,63 morgi, na Czecha — 2,79 morgi, na Polaka — 2,50 morgi.

Wśród Niemców przeważały gospodarstwa piętnastomorgowe (półhubne), było kilkanaście większych, jedno zaś liczyło aż 120 mórg. Również rzemieślnicy niemieccy mieli dużo ziemi — od 7,5 morgi do 60 mórg. Czesi dorabiali masowo tkactwem.

Zaraz po wykupieniu się Pożdżenic, Nowej Wsi oraz dwu kolonii (Weronika i Ignaców) dochodzi do konfliktu między Czechami i Niemcami. Konflikt jest tym bardziej zaskakujący, że obie grupy należą do tej samej, protestanckiej organizacji kościelnej.

Powodem konfliktu stała się szkoła. Pożdżeniccy Czesi nie chcieli posyłać swych dzieci do niemieckiej a zarazem luterańskiej szkoły. Rozpoczyna się długa, ponad dziesięć lat trwająca wojna, w trakcie której niemiecka większość w Pożdżenicach nasyła na Czechów egzekutorów, aby zmusić ich do płacenia składek na wspólną szkołę. Jak się ta walka toczyła i jak ostatecznie skończyła, to temat sam w sobie. W pierwszym jej etapie dużo do powiedzenia miał niewątpliwie wójt pożdżenicki jako przedstawiciel władzy administracyjnej. Jakiś czas był nim... Jan Bogumił Duszek. Jak dotychczas nie dogrzebałem się jeszcze w archiwum wiadomości, jaką rolę odegrał on w tej walce, a była to jego ostatnia rola w życiu społecznym Gminy Braci Czeskich.

Anna Duszkowa zmarła 8 lutego 1855 roku, w kilka miesięcy potem, 4 grudnia, pochowano przy niej i przy ich wcześniej zmarłym synie Wilhelmie Adolfie — Jana Bogumiła. A przeżyło Duszków ośmioro dzieci — pięciu synów i trzy córki. Oni to kazali wyryć na cokole nagrobka słowa:

> W dowód wdzięczności i szacunku
> cieniom kochanych Rodziców
> Pozostałe dzieci
> Tę smutną pamiątkę poświęcają.

Czy opisując ich losy i losy ich potomków utrafię w to, co typowe dla „czeskiego Zelowa"? Niestety — szukam i nie znajduję. Nazwisko „Duszek" ginie w drugiej połowie XIX wieku (na pewno są jacyś potomkowie „po kądzieli", ale trudno ich wyłowić). W księgach stanu cywilnego natrafiłem na jednego tylko prawnuka Jana Bogumiła. W czasie okupacji, jako mieszkaniec Łodzi podpisał on Volkslistę i zmienił sobie nazwisko na Duscher. Jeśliby okazało się, że jego pradziad przyczynił się do zwycięstwa Czechów pożdżenickich nad miejscowymi Niemcami, jego zaprzaństwo byłoby tragiczne, ale nie typowe, ponieważ, odsetek Czechów przyjmujących Volkslistę — tak w Zelowie, jak i w innych miejscowościach — był znikomy.

Czas już kończyć na dziś. Z tego co napisałem przekonała się Mama, że materiału mam już dużo, bardzo dużo, ale też jest to materiał rodzący nowe potrzeby, intrygujący nowymi możliwościami interpretacji. Pasjonujące odkrywanie dziwnych spraw rodzi sceptycyzm w stosunku do tego, co już uznałem za ustalone.

Pozornie rzecz w tym, co wybrać, jak komponować? W rzeczywistości problemem jest: do czego dobierać? W imię jakich założeń dobierać? Lub może: nie selekcjonować, re-

ferować systematycznie, po kolei, nie pomijając najmniejszych drobiazgów. Na pewno uczciwsze, ale czy przypadkiem nie nudne? Uczciwsze w stosunku do archiwum, ale czy uczciwsze w stosunku do „byłego życia"? Bo przecież archiwum zboru zawiera dokumenty przeselekcjonowane przez kogoś w imię subiektywnie pojętej ważności.

Z naukowej monografii historycznej nic chyba nie wyjdzie. Wydawnictwu zresztą zależy na książce, o której w „Przekroju" piszą krótko: „czyta się". Chwilowo pocieszam się tym, że dla mnie jest to dopiero książka, która „pisze się". Chwilowo...

Serdecznie Wszystkich całuję.

List czternasty

Wielebny Księże Pastorze,

istotnie, na cmentarzu zelowskim jest grób ks. Mozesa — dziękuję za opisanie mi miejsca, w którym się znajduje. Niestety — bez lampy błyskowej zdjęcie nie uda się. Zrobiłem je pro forma, bez wiary w skuteczność.

Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności po powrocie z cmentarza natrafiłem w archiwum zboru na teczkę, w której dokumenty mówią o historii tego skromnego, żelaznego krzyża w cenie 60 rubli. Proszę sobie wyobrazić, że w osiemnaście lat po zgonie ks. Mozesa, czyli w 1889 roku, wniosek o zbudowanie nareszcie pomnika na jego grobie został przez zbór odrzucony. Konsystorz w Warszawie miał jednak inne zdanie o człowieku, któremu pośmiertnie przyznał tytuł Radcy Honorowego. Konsystorz postawił wniosek: skoro Gmina nie ma funduszy na ten cel, należy rozpocząć zbiórkę dobrowolnych składek wśród parafian. Na jednej z dwu list zachowanej do naszych czasów widnieje kilkanaście nazwisk zelowskiej biedoty i kopiejkowe datki, dające w sumie kilka rubli.

Dowiedziawszy się o tych mizernych — jak na urągowisko — wynikach zbiórki, konsystorz postawił Gminę przed niezbyt miłą perspektywą wprowadzenia sprawy nagrobka na porządek dzienny najbliższego synodu. To poskutkowało. Zrezygnowano jednak z kamiennej płyty na rzecz tańszego, bo kosztującego tylko 60 rubli, żelaznego krzyża.

Ale na tym sprawa się nie skończyła. W rok po postawieniu krzyża, a w dwudziestą rocznicę śmierci męża, Anna Mozesowa przekazała gminie 100 rubli, fundując w ten sposób coś w rodzaju stypendium. Procenta uzyskane z wypożyczenia tych stu rubli miały być wydatkowane w następujący sposób: dwa ruble na ogólne potrzeby zboru, reszta zaś do rozdania ubogim.

Czy nie uważa Ksiądz Pastor, że Anna Mozesowa „zapłaciła" w ten sposób swoim ziomkom — była przecież zelowianką, z Bałauszków — za postawienie krzyża na grobie ich pasterza? Jej grobu — gdy zmarła w Zelowie 28 października 1892 roku — nikt niczym nie oznaczył. Jeden z zelowian pokazał mi wprawdzie porosłą trawą mogiłkę mówiąc, że tu leży „księżna", a na moje zdziwione pytanie dodał, że „żona księdza", ale nie zreflektowałem się wówczas i nie spytałem: „którego księdza"? Tylu było potem pastorów w Zelowie, że może nie chodziło w tym przypadku o Annę Mozesową. Zresztą obecnie nie byłbym już w stanie przypomnieć sobie tego miejsca. A może Ksiądz Pastor wie coś na ten temat?

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

List piętnasty

Szanowny Panie Doktorze,

nie, to nie jest błąd w przepisywaniu. Wprawdzie nazwisko Jana Matejki, twórcy *Hołdu Pruskiego*, jest nazwiskiem czeskim (odziedziczonym po ojcu), lecz w Zelowie występuje tylko nazwisko „Matejka". A w ogóle to naz-

wiska zelowian przysparzają mi masę kłopotu — nie tylko z powodu różnic w zapisie ortograficznym (poprawny Pospišil wypierany jest nie tylko przez Pospieszyla i Pospieszyła, ale i przez Pośpiecha!). Obliczam, że wszystkich nazwisk występujących w Zelowie jest jakieś dwieście kilkadziesiąt, a kilkanaście z nich występuje szczególnie często. Oto przykład: w najstarszym spisie „współwłaścicieli Zelowa" (a więc bez komorników!) z 1811 roku jest dwu Lelków, sześciu Jersaków (w tym dwu Janów, dwu Jerzych, Karol i Paweł), pięciu Zaunarów (znów dwu Janów, Wacław, Józef i Jerzy), trzech Kulhawych (Tomasz, Jan, Józef), trzech Matejków (Samuel, Wacław, Bogumił), trzech Wesołowskich (Jerzy i dwu Janów), czterech Swobodów (Gabriel, Józef, Maciej, Fryderyk), pięciu Pospiszyłów (Maciej, Jan, Karol, dwu Pawłów), siedmiu Jelonków (dwu Pawłów, Daniel, Samuel, Fryderyk, Jan i Anna), sześciu Waltów (Józef, Sebastian, dwu Maciejów i dwu Janów), a poza tym po dwu lub trzech Hajków, Czapów, Szarów, Niewieczerzałów, Doczkałów, Polaczków, Śmietanów, Millerów, Anderszów, Słamów, Pechów, Latysławów, Stehlików, Libałów...

Był w Zelowie nie tylko zwyczaj dawania imienia ojca synowi czy wnukowi, ale też, w tej samej rodzinie, jeśli zmarła w niemowlęctwie np. Maria, jedna z późniejszych córek dostawała to samo imię. W ten sposób trzeba się orientować nie tylko czyim synem był jakiś Jersak, Swoboda czy Pospiszył, ale też kiedy się urodził i czy przypadkiem umierając przedwcześnie nie ustąpił imienia bratu...

Nauczenie się książki telefonicznej na pamięć to drobiazg w porównaniu z opanowaniem zelowskich genealogii!

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

List szesnasty

Wielebny Księże Pastorze,

dziękuję za wiadomość określoną jako „tradycja ustna", że ks. Mozes, po poczęstowaniu go „czarną polewką" w Kąciku u Nieszkowskich wysłał na warszawską pensję Annę Bałauszkównę, a gdy wróciła odpowiednio wyedukowana — pojął ją za żonę.

Z przyjemnością rewanżuję się wiadomościami jakie znalazłem w pabianickim i zelowskim archiwum na temat ich dzieci — przedtem jednak ciekawostka z „przedzelowskich" lat ks. Mozesa. Jak wiadomo, przygotowany przez ojca Józefa, pastora w Grzymale, w powiecie stopnickim, Jan Mozes kształcił się w Berlinie w gimnazjum Joachimstalskim, następnie zaś na uniwersytecie. Jednym z jego profesorów był sławny filozof Fryderyk Schleiermacher. Wyjeżdżając z Berlina w kwietniu 1822 roku dwudziestoośmioletni Jan Mozes zamiast wpłacić jakąś należność w kwesturze, wręczył ją profesorowi. Ten, widocznie roztargniony, albo zapomniał wpłacić, albo nie wziął pokwitowania, gdyż po piętnastu latach władze uniwersyteckie odszukały w Zelowie ex-studenta teologii protestanckiej i upomniały się o owe pięć talarów.

A teraz o dzieciach. Już w końcu października 1836 roku (ślub odbył się dokładnie w Nowy Rok) przyszła na świat Zofia, w dwa lata potem Ewelina, w 1841 roku Józef. Urodzona po dalszych dwu latach Maria Teodata zmarła po czterech tygodniach. W 1845 roku przyszedł na świat Teofil, a w 1847 roku — Emil. Ostatnie dzieci (Anna z 1852 i Kazimierz z 1855 roku) zmarły w niemowlęctwie.

Oprócz własnych dzieci miał ks. Mozes na utrzymaniu jeszcze Mariannę Frydrych, która zmarła w 1853 roku, w wieku 70 lat. Była to „uboga, ze wsparcia żyjąca, a że wsparcie to jej nie wystarczało, wziąłem ją w dom mój, gdzie od lat piętnastu aż do zgonu swego zostając, o wszelkich jej wygodach i potrzebach staranie miałem".

Z innego listu do Kontroli Skarbowej wynika, że dwa lata wcześniej zmarła w Zelowie siostra ks. Mozesa Zofia, wdowa po Bystroniu i kaleka, „przy siostrze Ewie Szefer wdowie zostająca, od lat ośmiu ciężką chorobą złożona". Wynikałoby z tego, że obie siostry mieszkały w Zelowie i choć może posiadały „własne fundusze", to jednak — zwłaszcza Zofia — musiały trochę kłopotu pastorowi przysparzać.

W 1853 roku oddał ks. Mozes syna Józefa do gimnazjum w Warszawie, w trzy lata później Teofila do gimnazjum w Słucku. Po sześciu latach nauki syna, a kosztów ojca, trzeba było Teofila zabrać ze szkoły. W dwadzieścia lat potem pracuje on na kolei w dalekiej Wiaźmie. Żeni się (zapewne w 1875 roku) z Emilią Cerowską, a w dziesięć lat potem razem z żoną, synem Janem Aleksandrem oraz starszym bratem Józefem (pozostającym w bezżennym stanie) mieszka z matką w Zelowie. Tu, nawiązując do naszej „długiej zelowian rozmowy", uprzejma prośba do Księdza Pastora — jak to właściwie było z tym przedsiębiorstwem tkackim Anny Mozesowej?

Wracając do losów dzieci — Zofia w 1860 roku poślubiła w Zelowie ks. Adolfa Szefera. Rok wcześniej najmłodszy Emil zapisany został do gimnazjum w Warszawie. Po czterech latach jego opiekun ks. August Diehl skarży się w liście, że Emil za mało się uczy, a za dużo myśli o kupowaniu sobie nowych butów.

W latach 1866—1867 Emil chce studiować teologię na uniwersytecie dorpackim, w parę lat potem jednak rezygnuje z tych planów, ze stypendium rządowego i z zawodu pastora.

Zofia szybko musiała owdowieć, bo w 1871 roku Anna Mozesowa „utrzymuje przy sobie córkę wdowę i wnuczkę".

Jak Ksiądz Pastor widzi, niewiele jest tego, ale nie wiem czy warto dalej w tym kierunku szukać. Jedynie sprawa owego przedsiębiorstwa tkackiego prowadzonego

przez wdowę i — chyba — synów mogłaby być bardziej interesująca.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia.

List siedemnasty

Wielebny Księże Pastorze,

pięknie dziękuję za niezwykle interesujące informacje na temat superintendenta Karola Diehla, którego pomocnikiem był ks. Mozes po ukończeniu studiów, a przed przybyciem do Zelowa. To, co Ksiądz pisze na temat stosunków we władzach kościelnych w okresie powstania listopadowego jest dla mnie rewelacyjne i utwierdza mnie w przekonaniu, że ks. Mozes dlatego początkowo tak niechętnie odnosił się do „dzikich zelowian", bo żywił ambicje typu polityczno-patriotycznego. Misja jaką powierzył mu ks. Diehl uniemożliwiła mu stołeczną karierę, ale chyba w końcu znalazł w Zelowie zadowolenie wewnętrzne i możliwości „wyżycia się".

Gdy wertuję akta archiwalne z podziwem odnotowuję zapobiegliwość organizacyjną tego człowieka. Dzięki niemu rosła liczba naczyń liturgicznych i wyposażenia kościoła — drogą zakupów i drogą darowizn ze strony wiernych. Parokrotnie remontował kościół i starą plebanię (w której mieści się obecnie świetlica Czechosłowackiego Stowarzyszenia Kulturalnego), sprowadził z Turska dzwony, zainstalował organy, wyprocesował zapis dotacji na kupno chrzcielnicy, powiększył znacznie bibliotekę parafialną, dbał o zaopatrzenie szkoły w podręczniki, użerał się z parafianami o należne mu świadczenia, ziemię, z władzami natomiast o naprawę mostów, dróg i grobli, aby parafianie z dalszych wsi nie mogli tłumaczyć się trudnościami komunikacyjnymi i częściej bywali na nabożeństwach. W związku z tym w 1840 i w 1849 roku własnoręcznie wy-

rysował mapki okolic Zelowa, zaznaczając na jednej z nich w milach odległości między wsiami. Egzaminował kantorów w Zelowie, Faustynowie, Pożdżenicach i Kucowie, opiekował się tamtejszymi szkołami, pomagał sąsiednim gminom ewangelickim w rozwiązywaniu ich problemów. Będąc Urzędnikiem Stanu Cywilnego musiał w 1868 roku nauczyć się języka rosyjskiego, aby w nim — zgodnie z nowym zarządzeniem — prowadzić akta. Realizując swoje cele napotykał często na opór ze strony wójtów, stworzył więc własną służbę — powiedzmy — informacyjną (posługacz kościelny każdego rana i wieczora mówił mu o wydarzeniach, jakie zaszły w Zelowie i okolicy). Choć do końca napotykał na trudności wewnątrz gminy — np. w tajnych wyborach członków Dozoru Kościelnego jego kandydaci otrzymywali czasem tylko po kilka głosów na 58 możliwych — choć po śmierci jego długo wlokła się sprawa nagrobka, to jednak pozostał w pamięci zelowian jako wybitna indywidualność.

Władze kościelne wcześniej oceniły jego zasługi i wystarały mu się u rządu po 25 latach pracy o „krzyż złoty na piersiach nosić się mający", w 1861 roku natomiast o order św. Stanisława III klasy. Czy nie uważa Ksiądz Pastor, że dla duchownego ewangelicko-reformowanego order, którego patronem jest święty, to coś „super-extra"?

Innego rodzaju uznanie okazał ks. Mozesowi pastor Manitius z Warszawy, radząc się go w 1870 roku w sprawie własnego przekładu Ewangelii św. Mateusza.

A w ogóle to o ks. Mozesie można by wiele powiedzieć, po prostu dlatego, że na pewno był ciekawym człowiekiem. Może jako pasterz bywał czasem zbyt wojowniczy, ale kto wie — czy nie musiał nim być? Całkowicie zgadzam się z Księdzem Pastorem, że zasłużył sobie, aby jakaś z ulic Zelowa — nie jakiś zaułek, ale jedna z większych — nazwana została jego imieniem.

Warto by też było przebadać kontakty ks. Mozesa z pastorem z Wielkiego Taboru pod Sycowem, ks. Józefem Kaczerem. W archiwum zelowskim są ślady korespondencji urzędowej, ale wydaje mi się, że obaj mogli utrzymywać z sobą bliższy kontakt.

Kaczer sprawował w Wielkim Taborze urząd pastorski niemal dokładnie w tym samym czasie, co Mozes w Zelowie (a mianowicie w latach 1830—1871). Podobno wydał w 1847 roku w Sycowie czeski katechizm, na pewno zaś był autorem wierszy *Touženi po vlásti* (*Tęsknota za ojczyzną* — 1836 rok) i tłumaczem filozoficznego poematu Ernsta Schulzego *Die bezauberte Rose*. Ta *Okouzlená Růže* wydana została dzięki poparciu wybitnego czeskiego uczonego z uniwersytetu wrocławskiego Jana Ewangelisty Purkyniego, który często bywał u Kaczera, znajdując tam zarówno warunki do pracy literackiej jak i możliwość wypoczynku (główną dziedziną jego zainteresowań była fizjologia). Bardzo pochlebnie wspomina Purkynie Kaczera w swych listach do znanego śląskiego poety ludowego i działacza Józefa Lompy, w listach do autora *Wielkiego Słownika Języka Polskiego* Samuela Lindego czy też do profesora uniwersytetu krakowskiego Józefa Majera.

Przyjaźniąc się, Kaczer i Purkynie utrzymywali zdaje się dość ożywioną korespondencję. Listy Kaczera opublikowane zostały w 1925 roku przez Jaromira Jedličkę w Pradze. Być może są w nich jakieś wzmianki o Zelowie, jako że jeszcze w połowie XIX wieku istniały żywe kontakty między Braćmi Czeskimi na Śląsku i pod Łodzią. Niestety — jak dotychczas nie udało mi się dotrzeć do opublikowanej przez Jedličkę korespondencji Purkyniego. A może nie warto kontynuować tych poszukiwań?

Polecając się łaskawej pamięci, jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju zeloviana przesyłam najlepsze pozdrowienia i ukłony.

List osiemnasty

Szanowna Pani,

okazuje się, że moja prośba zawarta w poprzednim liście została niewłaściwie odczytana. Nie jestem krewnym pp Gąsiorowskich, piszę natomiast książkę o Zelowie, skąd pp Gąsiorowscy pochodzą (jeśli naturalnie chodzi o tę samą rodzinę, którą — podobno — Pani bardzo dobrze znała, a która mnie interesuje). Aby uniknąć ewentualnych dalszych nieporozumień pozwoli Pani, że przedstawię to, co ja wiem o przodkach pp Gąsiorowskich z Zelowa.

Założycielem rodu był Józef Gąsiorowski, syn Józefa i Marii z Anderszów, urodzony 5 grudnia 1802 roku w kolonii Czarnowąsy na Śląsku. Prawdopodobnie nazywał się po prostu Gąsiorek, bo pod tym nazwiskiem występuje również w zelowskich aktach stanu cywilnego (zbieżność danych personalnych powoduje, że chodzi tu na pewno o jedną i tę samą osobę). Niektórzy zelowianie twierdzą, że nosił początkowo czeskie nazwisko Houser — w archiwum jednak nie ma na ten temat najmniejszych wzmianek. Byłbym bardzo ciekawy, czy w tradycji rodzinnej — o ile rozmawiała Pani z pp Gąsiorowskimi o tych sprawach — zachowało się coś na ten temat.

Ponieważ Józefa Gąsiorowskiego nie ma na liście komunikujących się w 1818 i w 1819 roku, więc przypuszczam, że przybył do Zelowa już po tej ostatniej dacie, ale jeszcze przed 1826 rokiem. 25 listopada 1828 roku poślubił w Zelowie — jako „majster kunsztu płócienniczego" (zwany jednak w innym dokumencie po prostu płóciennikiem) — Elżbietę Jersakównę, córkę starego Jana Jersaka. Gdy w jedenaście miesięcy potem urodziła się im córka Maria, zapisano go jako „fabrykanta" (naturalnie nie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu).

Jeśliby sądzić po hojności w deklarowaniu składki na sprowadzenie dzwonów, już w 1833 roku należał Gąsiorowski do najbogatszych mieszkańców Zelowa — możliwe, że dzięki spokrewnieniu lub spowinowaceniu z takimi

ówczesnymi bogaczami jak Gabriel Swoboda, wspomniany już Jan Jersak, czy rodzony jego wuj a zarazem karczmarz Wilhelm Andersz.

Józef Gąsiorowski był również jakiś czas karczmarzem, lecz nie w Zelowie, a w Kąciku, gdzie też przyszła na świat — po pierwszym synie, tak jak ojciec i dziadek, Józefie — druga córka, Elżbieta. Gdy wkrótce po urodzeniu zmarła, to samo imię dostała trzecia z kolei córka Gąsiorowskich...

Po powrocie do Zelowa przyszły na świat również — regularnie co dwa lata! — dalsze dzieci Gąsiorowskich: Anna, Karol, Wilhelm, Fryderyk i Anna Maria.

Dokument z 1846 roku tytułuje Józefa Gąsiorowskiego-ojca „posiadaczem gruntowym, zarazem Przedsiębiorcą Krajowych Wyrobów". Posiadał wówczas 37,5 morga ziemi i w spisie osób zobowiązanych do płacenia składki na reperację kościoła (z 14 maja 1845 roku) występuje w gronie trzech najmajętniejszych zelowian, określanych zarazem jako „przedsiębiorcy fabryki". Rzecz charakterystyczna, że gdy w tymże 1845 roku doszło do wyborów nowego Dozoru Kościelnego, Józef Gąsiorowski otrzymał największą ilość głosów — 66 na 81 możliwych. Świadczyłoby to, że Gąsiorowski cieszył się wówczas największym zaufaniem swojego środowiska.

Podobnie w cztery lata potem razem z wójtem Bogumiłem Fibichem zostaje zdecydowaną większością głosów wybrany delegatem na synod warszawski, na którym nastąpiło oddzielenie kościoła kalwińskiego od luterańskiego. W 1852 roku Józef Gąsiorowski-ojciec ponownie wybrany został w skład Dozoru Kościelnego, ale tym razem veto założył sam pastor, ks. Mozes. Do wniosku pastora przychylił się konsystorz w Warszawie i wyboru Józefa Gąsiorowskiego nie zatwierdził, tak to motywując:

Ponieważ obowiązkiem jest Członków Kollegium Kościelnego czuwać nad dobrem kościołów naszych, tak moralnym jako i materialnym, oraz słowy i przykładem budować zbór Chrystusa,

przeto konieczną musi być rzeczą, ażeby Wybierani na Członków posiadali cnoty potrzebne do tego wzniosłego powołania, jakimi są: życie nienaganne — pełne miłości bliźniego i poświęcające się dla dobra Kościoła i Gminy. A że doszło do wiadomości konsystorza, iż Józef Gąsiorowski nie posiada wspomnianych wyżej przymiotów, ale oddaje się nałogowi pijaństwa — na sesjach nawet kościelnych znajduje się nieprzyzwoicie, jak to się pokazało z doświadczenia z lat sześciu upłynionych, przez co takowy Wybór stał się bezpożyteczny a nawet szkodliwy Zborowi Zelowskiemu, bo Pasterz miejscowy X. Mozes — nie życząc narażać się na nieprzyjemności wynikające z nałogu Józefa Gąsiorowskiego rzadko kiedy zwoływał Sessye Członków Kollegium — i nie był w możności na wspólnej radzie działać ku dobru kościoła, konsystorz przeto z powodu tego zmuszony był odmówić zatwierdzenia Józefowi Gąsiorowskiemu...

Nie pomogło, że pierwszego stycznia 1853 roku na zebraniu zboru Jan Matejka wygłosił długą przemowę w obronie swego kolegi (piszę „kolegi", bo Matejka należał wówczas również do najbogatszych w Zelowie) — Józef Gasiorowski do nowych władz kościelnych nie wszedł. A w dwa lata później — 22 stycznia 1855 roku, w wieku zaledwie 52 lat — zapewne wskutek owego nałogu, zmarł. Rodzina w szczytową ścianę grobowca wmurowała polemikę z pastorem i konsystorzem:

Pokój Ci Boże po trudach żywota.
Męża i ojca spełniłeś zadanie.
Twa miłość rodzinna, twa praca, cnota,
świetna spuścizna dla dzieci zostanie.

Jak Pani widzi, dzieje zelowskich Gąsiorowskich zaczęły się z „epickim rozmachem". Zbierając materiały w archiwum byłem przekonany, że idąc śladami Józefa jego dzieci staną się również reprezentantami kapitalizmu w Zelowie, że zwalczą konkurentów i staną się przemysłowcami „całą gębą". Gąsiorowscy nie byli jednak „schematyczni". Szkoda tylko, że dzieje tej rodziny usiane są dla mnie licznymi znakami zapytania.

Oto Tadeusz Czajkowski opisując chałupnictwo tkackie w Zelowie, zasadniczo okresu międzywojennego, sięga również do przeszłości, wspomina jednak zmarłego w 1855 roku Józefa-ojca. Twierdzi, że synowie Gąsiorowskiego, Józef i Karol, zajmując się początkowo skupem i sprzedażą tkanin lnianych, w miarę zaniku płóciennictwa przeszli w połowie XIX wieku (chyba jednak w drugiej połowie, chociażby dlatego, że Józef-syn w chwili usamodzielnienia się, czyli w 1855 roku, miał dopiero 24 lata) do sukiennictwa. Skupowali i produkowali tkaniny wełniane, a także przerabiali sprowadzoną z Kalisza (czyli przez Prusy) bawełnę knotową. Swoim najemnikom mieli dać udoskonalony warsztat pracy: zamiast ręcznego przerzucania czółenka — przerzucanie automatyczne przez pociąganie za zbijak.

Wszystko to pięknie, ale dlaczego manufaktura Gąsiorowskich (bo tak chyba trzeba odczytać wzmiankę Tadeusza Czajkowskiego) miała krótki żywot, dlaczego jej właściciele nie wkroczyli na tory produkcji maszynowej? Tego najstarsi ludzie w Zelowie nie pamiętają (a ściślej rzecz biorąc: nie pojmują), ja zaś w dokumentach archiwalnych nie znajduję na to jasnej odpowiedzi, co nie znaczy, że nie znajduję niczego. Owszem, znalazłem sporo o Gąsiorowskim-synu, który został w późniejszym okresie wójtem zelowskim. Księgi hipoteczne Łasku mówią o tym, że kilkakrotnie dokupywał on ziemię (od Jerzego Jersaka, od Jana Jelonka, od Jana Zaunara). W 1882 roku przezornie zadbał o to, aby geometra włączył do ksiąg hipotecznych plan należących do niego — po podziale wspólnego uprzednio lasu — działek leśnych (w sumie 11 mórg 200 prętów, a więc prawie pół huby samego lasu).

Od 1867 roku (a może już wcześniej?) był Józef Gąsiorowski „expeditorem poczty" w Zelowie i jako taki zatrudniał u siebie w charakterze pocztyliona dziewiętnastoletniego (w 1868 roku) Pawła Hulkę (prawdopodobnie przodka znanego w okresie międzywojennym pisarza Pawła Hulki-Laskowskiego). Po raz pierwszy na wójta wybrano go bodajże w 1861 roku. Urząd ten sprawował co najmniej przez kilkanaście lat (z przerwami). Zmarł w wie-

ku sześćdziesięciu czterech lat, 23 kwietnia 1895 roku, zapisując zborowi dwusturublowy legat, z którego procenty miały iść na bieżące potrzeby gminy. Procenty od drugiego legatu — liczącego 300 rubli — przeznaczył na wybudowanie przytułku dla biednych. Rodzina w kilku lat potem uzupełniła ten legat dalszymi trzystoma rublami. Wiem dzięki temu — z dokumentów archiwalnych — że jeden z synów Józefa, Ludwik, był inżynierem. Bodaj w Warszawie.

Na pewno w Warszawie mieszkał i działał brat Józefa, a stryj Ludwika, Wilhelm Gąsiorowski, długoletni Prezes konsystorza ewangelicko-reformowanego w Królestwie Polskim, Radca Stanu, zawsze aktywny na dorocznych synodach. Ale chyba nie czuł się już zelowskim Bratem Czeskim, jak jego przodkowie.

Jeszcze mniej wiem o bracie Wilhelma i Józefa, Karolu, tym, co to według Czajkowskiego miał być współwłaścicielem przedsiębiorstwa. Jakiś Karol Gąsiorowski podobno zbudował w Zelowie browar... ale czy to ten?

Wróćmy jednak jeszcze do potomków Józefa-syna. Otóż oprócz warszawskiego inżyniera Ludwika dzieckiem zelowskiego wójta i poczmistrza był trzeci z kolei Józef (trzeci zelowski a czwarty, jeśli włączyć śląskiego protoplastę rodu). Ten Józef-wnuk urodził się w kilka miesięcy po zgonie swego dziadka, w 1855 roku. Gdy miał siedemnaście lat i wybierał się na studia uniwersyteckie do Warszawy, spotkał w Zelowie (skąd się tam wzięła?) jakąś „Mazurkę spod Królewca". Tak, nie spod Ełku, Ostródy czy z najdalej na północ położonego powiatu węgorzewskiego, lecz spod samego Królewca.

Młody Czech był zdziwiony tą informacją i chyba niezbyt owej Mazurce wierzył, ale na studiach w Warszawie znalazł potwierdzenie jej słów w relacji jakiegoś znajomego, który przez pewien czas mieszkał w letniskowej miejscowości Kranz na wybrzeżu Bałtyku pod Królewcem. Wreszcie, już na stanowisku bibliotekarza w Cesarskiej

Akademii Nauk w Petersburgu (po kilku latach uczenia geografii i historii w Ełatomie i w Moskwie), znalazł w książce Wojciecha Kętrzyńskiego *O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich* kilka nazw polskich w okolicach Królewca: Komorowo, Pogany, Polski Ostrów (Polnisch Werder), Lipa, Wilki. Postanowił wówczas osobiście zbadać intrygującą go sprawę, gdyż — jak pisał w liście do Kętrzyńskiego — „żywiołowi rodzinnemu grozi tam największe niebezpieczeństwo i bodaj fala niemiecka niebawem go pochłonie. Chciałbym więc, nim to nastąpi, zjechać na miejsce i zachować od zagłady przynajmniej utwory ludowej poezji i właściwości językowe tamtejszych Mazurów".

Podróż Józefa-wnuka na Mazury doszła do skutku w 1884 roku. Poznał wówczas konkurujących z sobą, reprezentujących różne orientacje działaczy mazurskich Marcina Gerssa i Jana Karola Sembrzyckiego. Wolał tego drugiego — widocznie nie odpowiadał mu separatyzm i pruski patriotyzm Gerssa. Ale wkrótce zerwał z Sembrzyckim, ubiegając w ten sposób jego zerwanie z ruchem polskim. Pomoc swoją przeniósł ostatecznie Józef Gąsiorowski-wnuk na Warmiaka, Jana Liszewskiego, który właśnie zakładał „Gazetę Olsztyńską", pismo, które przejęli potem Pieniężni i które odegrało olbrzymią rolę w walce o polskość Warmii.

Możliwe, że znając bliżej szczegóły zerwania Gąsiorowskiego z Sembrzyckim dałoby się wyjaśnić powody, dla których ten ostatni — wycofując się w 1886 roku z działalności propolskiej na Mazurach — napisał ni mniej ni więcej tylko denuncjację do władz pruskich, nazywając w niej Józefa Gąsiorowskiego (nie należy go mylić z renegatem Antonim Gąsiorowskim z Pisza)... panslawistycznym agentem Rosji.

W tymże 1886 roku Gąsiorowski zrezygnował z pracy bibliotekarskiej i został pomocnikiem kontrolera w wydziale kolejowym kontroli państwa. W latach 1884—1907

opublikowane zostały po rosyjsku trzy jego prace naukowe, z których jedna zawierała jego przekład dwu czeskich manuskryptów. A więc tkwiło w nim jeszcze „coś czeskiego". Bardziej znamienną jest jednak jego współpraca z wychodzącym w Petersburgu polskim czasopismem „Kraj" (Erazma Piltza).

Pamiętając o Mazurach — razem z mecenasami Antonim Osuchowskim i Alfonsem Parczewskim — patronował pod koniec XIX w. powstaniu radykalnie nastawionej Mazurskiej Partii Ludowej i pomógł w znalezieniu redaktora dla jej organu prasowego, „Gazety Ludowej" (w osobie Karola Bahrkego). Nie udało mu się natomiast opublikować zbioru pieśni ludowych z Mazur. Jan Karol Sembrzycki — zanim doszło do zerwania obustronnych stosunków — tak pisał jesienią 1884 roku do lwowskiego wówczas studenta, Karola Żółkiewskiego:

W tym lecie były u mnie częste odwiedziny: [...] potem p. Gąsiorowski, **bibliotekarz Akademii Umiejętności w Petersburgu, zacny człowiek, o którym pewnie p. Kę(trzyński) Tobie powiedział. Zebrał na Mazurach przeszło dwieście pieśni itd. Ja mu pomogłem, ile można. Ojciec mój dał mu wszystkie swe pieśni z nutami...**

Część tych zbiorów (jeden z trzech zeszytów) zaginęła. Na to co pozostało — 125 pieśni — zwrócił uwagę Stanisław Świrko w studium folklorystycznym opublikowanym w książce *W świecie pieśni i bajki*. Całość niewątpliwie zasługuje na opracowanie i wydanie.

Józef-wnuk, odbiwszy daleko od czeskiego Zelowa, zmarł 30 lipca 1901 roku w Rydze, a pochowany został na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie.

Do galerii ciekawych postaci z rodu zelowskich Gąsiorowskich należy wreszcie Władysław, którego Pani dobrze znała. Ja o nim wiem niewiele — mieszkał w Warszawie, ale czasem wracał do Zelowa nie tylko po to, aby odwiedzić krewnych. Na pewno w 1924 roku była w Zelowie „Fabrykacja tkanin bawełnianych ręcznych W. Gąsiorowski i Ska", gdy jednak skończyła się powojenna koniunktura, Władysław Gąsiorowski przeniósł się do swojej warszawskiej kamienicy.

W pamięci zelowian pozostała jeszcze pani Pelagia Gąsiorowska, żona Władysława, założycielka przytułku dla starców, chętnie udzielająca się społecznie w okresie międzywojennym. Ale chyba z pewnych wyżyn społeczno-stołecznych (czy stołeczno-społecznych?). Poinformowano mnie, że Pani była jej przyjaciółką — jeśli ostatnie moje słowa Panią rażą, bardzo proszę o wykazanie mi, że się mylę. Córka państwa Gąsiorowskich miała umrzeć już po drugiej wojnie światowej (nikt jednak nie wie gdzie) i to bezpotomnie. Syn podobno żyje — w Anglii. Może zna Pani jego adres?

Aha, jeszcze jeden szczegół. Znalazłem na cmentarzu zelowskim grób rodzonej ciotki owych państwa Gąsiorowskich, najmłodszej córki Józefa-ojca: „Anna-Marie Hajkova rozena Gąsiorowska". Proszę sobie wyobrazić, że jej prawnuk żyje w Olsztynie. Niestety, w jego „tradycji rodzinnej" nie zachowało się nic ciekawego o protoplastach rodu Gąsiorowskich. Wracając do nagrobka Anny-Marii — wmurowano w niego porcelanową fotografię nieboszczki w „czeskim czepcu" na głowie, czyli, że u bliskich krewnych owych „warszawskich Gąsiorowskich" tradycje czeskie były żywe i szanowane. Zgodnie z zasadą, że zelowianie są wszędzie, dowiedziałem się niedawno, że olsztyński farmaceuta jest po kądzieli rodzonym wnukiem Anny Marii Hajkovej...

Wracając jeszcze na chwilę na zelowski cmentarz: najwspanialszym na nim nagrobkiem jest nagrobek Józefa-syna — żelazny, prawdziwy pomnik a właściwie — wcale udane — popiersie (nie rzeźba chyba, lecz odlew — nie znam się na tych sprawach). Józef Gąsiorowski-syn — wygląda na nim dostojnie i patriarchalnie. Podobno Władysław Gąsiorowski był do niego podobny, nosił też sumiaste wąsy. Podobno, podobno, podobno. Może Pani pomoże mi wyjść z tego zaczarowanego kręgu hipotez i przy-

puszczeń. Bardzo mnie interesuje historia tej rodziny, choć w swej książce o Zelowie będę mógł jej poświęcić tylko jeden rozdział, bo — mimo wszystko — nie odegrała ona tej roli w życiu osady, do jakiej (zdaje mi się) była predestynowana. Z drugiej jednak strony można chyba mówić w tym wypadku o materiale do powieściowej sagi rodzinnej.

Mam nadzieję, że po tym liście wszystko już będzie dla Pani jasne.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego poważania.

List dziewiętnasty

Drogi Tadku,

Twoje długie — ba, przedłużające się — milczenie jest dla mnie dowodem, że jednak przekonałem Cię w sprawie „wojny żydowskiej". Wyobraź sobie, dziś muszę nieco zrewidować swoje zdanie. Okazuje się bowiem, że ks. Mozes prowadził dwie „wojny żydowskie" — jedną po przybyciu do Zelowa, drugą pod koniec swego życia. A moje „odkrycie" zaczęło się od rozpowszechnionego dziś w Zelowie mniemania (zdaje się w wyniku rozpowszechniania jednej z broszurek), jakoby ks. Mozes na krótko przed śmiercią wpuścił do Zelowa Żydów za uszycie pary wygodnych butów. Wydaje mi się, że jest to wersja autentycznych wydarzeń spreparowana jednak i rozkolportowana przez tych, którzy po swojemu chcieli szyć buty pastorowi.

W pamięci najstarszych zelowian pozostali do dziś Żydzi-domokrążcy, których zawsze mile witali i starzy i młodzi. Dla dzieci mieli oni w swoich wózkach zabawki i cukierki. W moim życiu również był taki Żyd. Mieszkaliśmy wówczas w Józefowie nad Wisłą, miałem pięć lat, gdy przyszedł do nas brodaty Żyd i namawiał rodziców na kupno różnych drobiazgów. Niczego nie potrzebowali, więc uderzył do mnie z cukierkami. Rodzice zdecydowali, że kupią tyle cukierków, ile sobie wyliczę. Gdy — bez błędu

— doliczyłem do pięciuset powiedzieli, że dosyć. Mnie też wystarczyło, choć mogłem liczyć dalej. No i wyobraź sobie, potem w szkole był ze mnie kiepski matematyk, jeździłem na trójkach, a na maturze zacny prof. Kożusznik dał mi litościwie „dobry", po to tylko, żeby mi nie psuć świadectwa.

Wracając jednak do Zelowa. Tacy Żydzi-domokrążcy byli mile widziani również i przez dorosłych, bo mieli różne drobiazgi potrzebne w gospodarstwie domowym — np. igły — po które nie opłaciło się jeździć piaszczystymi drogami do Łasku, Bełchatowa czy Szczercowa. Żyd-domokrążca miał zazwyczaj wszystko, a jeśli nie miał, to na pewno za następnym razem przywiózł. Jeśli w domu nie było pieniędzy, można mu było zapłacić jajkami, serem lub masłem. Żyd-domokrążca był biedny, więc pokorny. Przychodził z innych wsi, więc przynosił najświeższe nowiny, może nawet ciekawsze od tych, które w wielkich miastach podawały trudne do czytania gazety. Żydek umiał pożartować i nie gniewał się, gdy sobie z niego żartowano. Żyd — wieczny tułacz musiał cieszyć się sympatią tych, których przodkowie również wyruszyli na tułaczkę.

Ks. Mozes był przeciwny osiedleniu się Żydów w Zelowie. W liście do konsystorza z dnia 27 października 1859 roku pisał:

Wieś Zelów jest już zapełniona Żydami, których ciągle przybywa.

A w urzędowym sprawozdaniu z tego roku dodaje:

...gdy się wyznawcy innej religii przez nabywanie domów i gruntów w Zelowie zagęszczą...

Lecz Żydzi-domokrążcy nie chcieli w Zelowie „domów i gruntów". Nie stać ich było na to. Pragnęli tylko znaleźć na zimę dach nad głową, aby z wiosną znowu zaprząc się do swego wózka i wyruszyć z nim od wsi do wsi. Jeden z nich robił podobno dobry interes, wyprawiając się na Śląsk, skąd przywoził czeskie książki, tam już nie potrzebne. Jakże więc można było nie lubić takiego handlarza?

Ks. Mozes, jak się zdaje, uległ w końcu prośbom swoich parafian i zgodził się na to, aby wolno było przyjmować żydowskich domokrążców na komorne w okresie zimy. I nic chyba dziwnego w tym, jeśli dostał wówczas w podarku od jakiegoś Żyda wygodne, ciepłe buty. Faktem jest, że po 1860 roku sprawozdania pastora mniej już biją na alarm z powodu Żydów. Dopiero w sprawozdaniu z 1867 roku przeczytamy:

Ich miejsce (biednych Czechów szukających chleba w szerokim świecie — przyp. mój) zajmują Żydzi, którzy się w coraz większej ilości do Zelowa wciskają i dziś już od danin kościołowi służących wyłączają się, pomimo że niektórzy z nich grunta w Zelowie nabyli. Według podania Wójta Gminy Zelowa jest w Zelowie już teraz Żydów 40 familii, a głów przeszło sto kilkadziesiąt.

Matematykiem, już wiesz, byłem zawsze słabym, ale mimo to intryguje mnie określenie „przeszło sto kilkadziesiąt". Co to właściwie znaczy? Dwieście? Dwieście kilkadziesiąt? A może po prostu: sto kilkadziesiąt. Tylko sto kilkadziesiąt. Bo określenie „tylko" lub „aż" są sensowne jedynie w zestawieniu z innymi wielkościami. W tym przypadku trzeba wiedzieć na ile rodzin czeskich przypadało owych 40 rodzin żydowskich.

Odradzałeś mi w swoim czasie zapuszczenia się w książce o Zelowie w statystykę. Postaram się — w miarę możności — posłuchać Twoich rad, ale pozwolisz, że list to nie książka, więc Ci zaaplikuję trochę liczb. I trochę demografii.

Przed wybuchem powstania listopadowego było w Zelowie na pewno 800 mieszkańców. Ze sprawozdania z 1835 roku wynika, że było wówczas 1009 ewangelików reformowanych i 10 ewangelików augsburskich. W ciągu następnych czterech lat liczba mieszkańców Zelowa wzrosła do 1160, przy czym wzrost ten obejmował wyłącznie ewangelików reformowanych. A w 1841 roku do 1337 osób. Według sprawozdań szkolnych w 1845 roku było w Zelowie 1264 kalwinów, 19 luteranów i 64 katolików.

W tym miejscu ciekawostka, która może Cię zainteresuje: w 1850 roku mieszkał w Zelowie kontroler skarbowy, który „nie opłacał składki na utrzymanie szkoły elementarnej", a nazywał się Stanisław Baudouin de Courtenay. Protoplastą tego osiadłego w Polsce rodu miał być — wg *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* — jeden z synów króla Francji Ludwika VI.

Nie będę Cię zarzucał liczbami statystycznymi — mam nadzieję, że uwierzysz mi na słowo: przez długi okres czasu Polacy, Żydzi i Niemcy są dopuszczeni do Zelowa, ale „nie zapuszczają korzeni". Podobnie zresztą jak i niektórzy nowi Czesi ze Śląska. Ci ostatni szukają tu szczęścia, ale niechętnie przyjmują rosyjskie obywatelstwo, bo służba wojskowa — wylosowana — trwała pod berłem carów znacznie dłużej niż pod berłem króla pruskiego. W 1855 roku wójt Fibich wyróżniał w Zelowie 221 małżeństw i 255 familii „stale zapisanych" oraz 4 małżeństwa i 4 familie „czasowo bawiące". Większe dysproporcje występowały wówczas w Ignacowie i Pożdżenicach. W sumie w Zelowie i w czterech sąsiednich wsiach ludzie „czasowo bawiący" stanowili w 1855 roku 6 procent.

Żałować tylko trzeba, iż nie ma różnego rodzaju danych dla całego szeregu lat, można by bowiem z takiej tabelki wyciągnąć nader ciekawe wnioski. Ot, choćby w związku z tym 1855 rokiem, który w moich obliczeniach przyrostu naturalnego był w Zelowie rokiem wyjątkowym, rokiem ubytku spowodowanego epidemią cholery, (na 84 urodzenia przypadało 96 zgonów). W następnych piętnastu latach występuje już przewaga urodzeń nad zgonami. Nie będę Ci zatruwał listu tabelką, podam jedynie ciąg liczb wyrażający kolejno przyrost naturalny dla poszczególnych lat w okresie 1856—1870. A więc: 28 — 40 — 60 — 86 — 55 — 42 — 51 — 74 — 60 — 93 — 89 — 67 — 54 — 65 — 68.

Widzisz więc spore wahanie, ale też i łatwo znajdziesz

w tym okresie piętnastolecia sumę 852 „czystego zysku". Tymczasem inna tabelka, którą już sobie opracowałem, wykazuje wzrost liczby mieszkańców Zelowa z 1258 osób w 1856 roku do 1686 osób w 1870 roku — czyli tylko 328 osób. Krótko mówiąc nastąpił odpływ demograficzny. Dokąd? Na Wołyń, do Łodzi, Żyrardowa, Warszawy, „w szeroki świat".

I tu pojawia się ciekawe zjawisko. Podczas gdy Zelów staje się za ciasny dla Braci Czeskich, jest nadal atrakcyjny dla innych grup etnicznych z bezpośredniego ich sąsiedztwa. Ale nadal sporadycznie, bo ostatnia wspomniana przeze mnie tabelka wykazuje, że osoby „innych wyznań" (to kryterium pokrywa się wówczas z narodowością) występują nieregularnie — 7 w 1857 roku, 17 w następnym ale tylko jedna w 1860 roku i ani jednej w latach 1862—1863.

Gorzej — podanych przed chwilą liczb nie można traktować jako absolutnie pewnych, ponieważ właśnie w 1862 roku mieszkały już w Zelowie trzy rodziny żydowskie, a więc „osoby innych wyznań" (chyba, że autor sprawozdania za osoby innych wyznań uznawał tylko chrześcijan...).

Pozwól, że zanim wrócę do sprawy osiedlania się w Zelowie Żydów pod koniec życia ks. Mozesa, opowiem Ci o niezwykle ciekawej sprawie, która jest moim archiwalnym odkryciem i nie występuje w dotychczasowych opracowaniach historii Zelowa.

Władze długo nie wtrącały się w „hipoteczne" życie osady. Dopiero w 1857 roku wyszło na jaw, że lista jej współwłaścicieli sporządzona notarialnie w 1811 roku jest fikcją. Na 146 dawnych współwłaścicieli w ciągu 47 lat posiadaczami pozostało tylko czternastu, 102 umarło, dwudziestu — jak zaznaczono w dokumencie — „już nie posiada gruntu", dziesięciu zaś opuściło Zelów, wyjeżdżając do Pożdżenic, w Lubelskie, do Warszawy, Kucowa, Rosji, Łobudzic a także — „nie wiadomo gdzie".

Urzędnicy w Sieradzu i Kaliszu byli wstrząśnięci tą wiadomością, zelowianie natomiast raczej zdziwieni ich

pretensjami i groźbami. Z dziesięć razy otrzymywał wójt Fibich ponaglenia i monity, zanim udało mu się nakłonić zainteresowanych do ogłoszenia postępowania spadkowego, zanim potworzył rady familijne i w dniu 4 listopada 1862 roku zebrał prawie wszystkich zainteresowanych w domu Józefa Gąsiorowskiego dla dokonania nowego, aktualnego zapisu hipotecznego. Na tej nowej liście współwłaścicieli Zelowa znaleźli się również... Boruch Rosenblum, Majer Rosenblum i Majer Getzel Tanski.

Dla Tadeusza Czajkowskiego nowy rozdział historii Zelowa zaczął się dopiero w 1870 roku, kiedy to „zamieszkał tu Dawid Rozenblum, sklepikarz skupujący też tkaniny dla rozsprzedaży w Łodzi oraz zajmujący się rozprowadzaniem przędzy bawełnianej do przerobu".

Diagnozę Czajkowskiego podważa jednak fakt nie dostrzegany przez historyków Zelowa — głównie duchownych, dla których najważniejszą sprawą było akcentowanie roli wyznania religijnego w utrzymywaniu się „czeskiego Zelowa". Otóż ks. Mozes w 1869 roku alarmował swe władze:

Niezwłocznie potrzeba, aby fundusz od gminy Zelowa na utrzymanie służby kościelnej w Zelowie przeznaczony i na propinacji wsi Zelowa zapewniony niezwłocznie był zahipotekowany, ponieważ zagrożony jest upadkiem, jeśli targi w Zelowie, o co się niektórzy mieszkańcy wsi Zelowa starają, zaprowadzone zostaną, ciężary i podatki się powiększą, a biedniejsi gospodarze wyznania Ewangelicko-Reformowanego w Zelowie nie mogąc ponosić jeszcze większych opłat i ciężarów, wyprzedawać i wyprowadzać się zaczną.

Tak więc nie tyle innowiercy, co targi, bez których osada fabryczna (tak, to określenie występuje wówczas w dokumentach!) musiała się obywać, stanowiły istotny powód do obaw o zabezpieczenie bytu. Nie tyle własnego bytu ks. Mozesa, który stał już nad grobem, co bytu jego następców i bytu parafii, której siłą była zamożność licznych parafian wyznania ewangelicko-reformowanego a nie luteran, katolików czy Żydów.

Tym razem ks. Mozes został pokonany. Nie przez Żydów, a przez Braci Czeskich. Tych bogatszych i chcących się bogacić.

Na dwa lata przed osiedleniem się w Zelowie Dawida Rozenbluma wprowadzono w osadzie cotygodniowe targi — w środy. Były one widocznie potrzebne, bo już 4 kwietnia 1869 roku zapadła uchwała właścicieli osady fabrycznej Zelów, aby:

...z placu wspólną ich własność stanowiącego utworzony został rynek oraz, aby pomierzone zostały place na zabudowania, które przez publiczną licytację więcej dającemu sprzedane być mają, do licytacji tej nie mogą przystępować starozakonni, chociaż są mieszkańcami tutejszej osady, a to z tego powodu, że nie są prawnymi współwłaścicielami, lecz tylko wieczystymi dzierżawcami, po wtóre nie jest życzeniem współwłaścicieli, aby starozakonni mieszkali w rynku, jak również do licytacji przypuszczonymi nie będą mieszkańcy innych gmin.

Uchwała przeszła większością 63 głosów przeciwko piętnastu. A ilu współwłaścicieli było nieobecnych?

Ci nieobecni byli wówczas na pewno niezdecydowani. I dlatego właśnie nieobecni. Jeżeli należeli do biedniejszych — to właśnie pod ich adresem argumentowali zwolennicy tworzenia w Zelowie rynku (ze sklepami dookoła): zamiast jeździć na targ do pobliskich miast — 21 do 28 wiorst — zamiast korzystać z usług Żydów-domokrążców, będziecie mogli sprzedawać i kupować wszystko na miejscu.

Targi — i to na nowym, odpowiednio zabudowanym rynku — musiały dodatnio wpłynąć na wymianę handlową, a więc i na rozwój produkcji, zarówno rolnej, jak i tkackiej. Musiały też zwiększyć konsumpcję. Można to dziś jeszcze w każdą środę zauważyć w jedynej zelowskiej restauracji, której utarg gwałtownie wzrasta w tym dniu, głównie w dziale „napoje alkoholowe".

Sto lat temu współwłaściciele Zelowa wystawiali na licytację nie tylko działki budowlane przy rynku. Co trzy lata wydzierżawiano propinację temu, kto dał gminie

więcej. A już od uznania arendarza zależało, ile szynków zbuduje on w osadzie fabrycznej.

Las zelowski był wówczas jeszcze wspólny i każdy mógł w nim brać drzewo na budulec czy kopać glinę na wyrób cegieł. Naturalnie za wiedzą i zgodą specjalnej komisji. Zgoda musiała być łatwa do uzyskania, skoro z 520 morgów lasu w 1846 roku — według *Opisania lasów Królestwa Polskiego* z 1854 roku — po kilku zaledwie latach zostało już tylko 468 mórg.

Był Zelów w 1869 roku jeszcze wspólną własnością i przestawał nią być. Zauważ — jeden z „miejscowych parafian" nabył od drugiego „kawałeczek ziemi". Wybudował następnie na nim dom murowany „z materiału całej gminie wspólnego". Sprzedał go następnie Żydowi i kupił ćwierć huby gruntu. Na tej ćwierci wybudował już większy dom murowany z materiału całej gminie wspólnego. Sprzedał go znowu rzymsko-katolikowi i nabył place na wybudowanie murowanych domów w rynku.

Przedtem jednak musiał stanąć do licytacji owych parcel rynkowych. A licytacja zaczynała się od kwoty wywoławczej 30 srebrnych rubli za parcelę.

Amerykańska recepta na zostanie milionerem zaleca rozpoczynanie kariery od zawodu pucybuta. W Zelowie zaczynano ją od nabycia „kawałeczka ziemi" — jak pisze ks. Mozes. Ale jakoś nikt nie został w Zelowie milionerem. Powtórzyła się historia z Gąsiorowskimi, którzy przecież mogli tu „robić kapitalizm" już po 1831 roku. I nie zrobili.

W drugiej połowie XIX wieku popularne było w Polsce powiedzonko „W Łodzi wszystko uchodzi". Ba, gdyby to założony przez Braci Czeskich Zelów rymował się ze słowami „wszystko uchodzi"! Ale nie rymował się.

A co Ty, jako poeta, o tym sądzisz?

Odezwij się nareszcie, a tymczasem przyjmij najlepsze pozdrowienia dla Ciebie i dla Twoich.

List dwudziesty

Szanowny Panie,

pozwalam sobie przypomnieć swoją nieskromną osobę — kilka lat temu urządzono nam wspólny wieczór autorski w Ostródzie — aby móc zwrócić się do Pana z prośbą o koleżeńską pomoc. Otóż w swej książce *Nawet kamień* jeden z rozdziałów poświęcam Piastom śląskim na Mazurach. Wspominam w nim, że w XIX wieku Piotr Żychliński, podkomorzy kaliski, poślubił córkę wojewody pomorskiego Denhoffa, Sybillę, której matka była córką śląskiego księcia z rodu Piastów, Jana Chrystiana z Brzegu. Tak więc w żyłach Żychlińskich płynie krew piastowska.

Proszę sobie wyobrazić, że pracując obecnie nad książką o Zelowie, miasteczku w województwie łódzkim, znalazłem w dokumentach archiwum kościelnego kilkakrotnie nazwisko Żychlińskich jako uczestników nabożeństw.

Więcej — niedawno temu na spotkaniu autorskim w Olsztynie — jeden z czytelników mojej książki, jak się potem okazało p. Fuchs, „zastrzelił" mnie wiadomością, że potomek owych „piastowskich Żychlińskich" żyje w Olsztynie. Byłem u niego, ale nie dowiedziałem się niczego konkretnego na temat owych „zelowskich Żychlińskich". Natomiast „zgadaliśmy się" o Pana *Romansie dowódcy.* Udało mi się dostać tę książkę (w antykwariacie, choć wydana dopiero parę lat temu!) i postanowiłem — po przeczytaniu jej z dużym zainteresowaniem — zwrócić się do Pana z zapytaniem, czy może Pan coś wie o „moich", to znaczy „zelowskich Żychlińskich", niewątpliwie kalwinach, bo Czesi w Zelowie byli tego właśnie wyznania. Przypuszczam, że łączyło ich coś z położonym w północnej części województwa łódzkiego Żychlinem, gdyż z miejscowości tej początkowo często przyjeżdżał do Zelowa miejscowy pastor, a więc Żychlin był siedzibą parafii ewangelicko-reformowanej.

Oczekując łaskawej odpowiedzi łączę wyrazy głębokiego szacunku.

List dwudziesty pierwszy

Szanowny Panie,

uprzejmie dziękuję za list z informacjami bibliograficznymi na temat Żychlińskich. Otrzymałem go na parę dni przed wyjazdem do Poznania, gdzie w bibliotece uniwersyteckiej przewertowałem zgodnie z Pana zaleceniami *Złotą książkę szlachty polskiej* Teodora Żychlińskiego, a wróciłem także do *Polskiej szlachty kalwińskiej* Szymona Konarskiego.

Przywiozłem dość obfity plon i pozwalam sobie przedstawić go Panu w głównych zarysach, gdyż sprawy te zapewne w dalszym ciągu Pana interesują (a może coś z tego co napiszę przyda się Panu w dalszej twórczości?).

Ci Żychlińscy, którzy w 1834 i 1842 r. bywali w Zelowie (a właściwie w Kąciku u Nieszkowskich, jeździli zaś na nabożeństwa do Zelowa) — Michał, Rafał, Bolesław, Kornelia z Bukowieckich i Eufrozyna z Żychlińskich Karczewska — pochodzą od potomków Piotra i jego trzeciej żony Katarzyny z Bobrownickich (a nie pierwszej, Denhoffówny). Nie było więc w Żychlinie „Piastów po kądzieli", a jedynie krewni Ludwika Żychlińskiego, którego niezwykłe dzieje i przygody opisał Pan w *Romansie dowódcy.*

Nie udało mi się ustalić jaki stopień pokrewieństwa czy powinowactwa łaczył wspomnianą Eufrozynę z Żychlińskich Karczewską z tymi Karczewskimi, którzy — po Nieszkowskich — stali się szlachetnie urodzonymi zboru zelowskiego, jako właściciele pobliskich Przeczni.

Ale może najpierw parę słów o Nieszkowskich. Stanisław, syn chorążego wojska polskiego Hieronima (herbu Kościesza) i Heleny z Kosieckich, urodzony w 1776 roku, co najmniej od czasów Księstwa Warszawskiego był dziedzicem Kącika (gdzie w 1813 roku zmarł jego ojciec, zgodnie z zelowskimi aktami stanu cywilnego). Ów Stanisław trzykrotnie wchodził w związki małżeńskie. Konarski zna

List dwudziesty

Szanowny Panie,

pozwalam sobie przypomnieć swoją nieskromną osobę — kilka lat temu urządzono nam wspólny wieczór autorski w Ostródzie — aby móc zwrócić się do Pana z prośbą o koleżeńską pomoc. Otóż w swej książce *Nawet kamień* jeden z rozdziałów poświęcam Piastom śląskim na Mazurach. Wspominam w nim, że w XIX wieku Piotr Żychliński, podkomorzy kaliski, poślubił córkę wojewody pomorskiego Denhoffa, Sybillę, której matka była córką śląskiego księcia z rodu Piastów, Jana Chrystiana z Brzegu. Tak więc w żyłach Żychlińskich płynie krew piastowska.

Proszę sobie wyobrazić, że pracując obecnie nad książką o Zelowie, miasteczku w województwie łódzkim, znalazłem w dokumentach archiwum kościelnego kilkakrotnie nazwisko Żychlińskich jako uczestników nabożeństw.

Więcej — niedawno temu na spotkaniu autorskim w Olsztynie — jeden z czytelników mojej książki, jak się potem okazało p. Fuchs, „zastrzelił" mnie wiadomością, że potomek owych „piastowskich Żychlińskich" żyje w Olsztynie. Byłem u niego, ale nie dowiedziałem się niczego konkretnego na temat owych „zelowskich Żychlińskich". Natomiast „zgadaliśmy się" o Pana *Romansie dowódcy*. Udało mi się dostać tę książkę (w antykwariacie, choć wydana dopiero parę lat temu!) i postanowiłem — po przeczytaniu jej z dużym zainteresowaniem — zwrócić się do Pana z zapytaniem, czy może Pan coś wie o „moich", to znaczy „zelowskich Żychlińskich", niewątpliwie kalwinach, bo Czesi w Zelowie byli tego właśnie wyznania. Przypuszczam, że łączyło ich coś z położonym w północnej części województwa łódzkiego Żychlinem, gdyż z miejscowości tej początkowo często przyjeżdżał do Zelowa miejscowy pastor, a więc Żychlin był siedzibą parafii ewangelicko-reformowanej.

Oczekując łaskawej odpowiedzi łączę wyrazy głębokiego szacunku.

List dwudziesty pierwszy

Szanowny Panie,

uprzejmie dziękuję za list z informacjami bibliograficznymi na temat Żychlińskich. Otrzymałem go na parę dni przed wyjazdem do Poznania, gdzie w bibliotece uniwersyteckiej przewertowałem zgodnie z Pana zaleceniami *Złotą książkę szlachty polskiej* Teodora Żychlińskiego, a wróciłem także do *Polskiej szlachty kalwińskiej* Szymona Konarskiego.

Przywiozłem dość obfity plon i pozwalam sobie przedstawić go Panu w głównych zarysach, gdyż sprawy te zapewne w dalszym ciągu Pana interesują (a może coś z tego co napiszę przyda się Panu w dalszej twórczości?).

Ci Żychlińscy, którzy w 1834 i 1842 r. bywali w Zelowie (a właściwie w Kąciku u Nieszkowskich, jeździli zaś na nabożeństwa do Zelowa) — Michał, Rafał, Bolesław, Kornelia z Bukowieckich i Eufrozyna z Żychlińskich Karczewska — pochodzą od potomków Piotra i jego trzeciej żony Katarzyny z Bobrownickich (a nie pierwszej, Denhoffówny). Nie było więc w Żychlinie „Piastów po kądzieli", a jedynie krewni Ludwika Żychlińskiego, którego niezwykłe dzieje i przygody opisał Pan w *Romansie dowódcy*.

Nie udało mi się ustalić jaki stopień pokrewieństwa czy powinowactwa łaczył wspomnianą Eufrozynę z Żychlińskich Karczewską z tymi Karczewskimi, którzy — po Nieszkowskich — stali się szlachetnie urodzonymi zboru zelowskiego, jako właściciele pobliskich Przeczni.

Ale może najpierw parę słów o Nieszkowskich. Stanisław, syn chorążego wojska polskiego Hieronima (herbu Kościesza) i Heleny z Kosieckich, urodzony w 1776 roku, co najmniej od czasów Księstwa Warszawskiego był dziedzicem Kącika (gdzie w 1813 roku zmarł jego ojciec, zgodnie z zelowskimi aktami stanu cywilnego). Ów Stanisław trzykrotnie wchodził w związki małżeńskie. Konarski zna

tylko drugą jego żonę, Elżbietę, ale z archiwum zboru wynika, że umierając 22 sierpnia 1841 roku na wodną puchlinę dziedzic wsi Kącika i Raszowy zostawił wdowę Joannę oraz czworo dzieci (Hieronima, Konstancję, Annę i Paulinę).

Znamienne, że zarówno druga jak i trzecia żona Stanisława Nieszkowskiego była de domo... Nieszkowska. Z tym, że Elżbieta była córką Bogusława i Ludwiki z Kosseckich, natomiast rodzicami Joanny byli Bogusław August i Aleksandra z Kosseckich! Taki to już był los polskich kalwinów, że musieli zawierać związki małżeńskie z dalekimi kuzynkami lub kuzynami.

Poślubiona w 1825 roku Elżbieta urodziła Stanisławowi tylko jedno dziecko (Elżbietę Sewerynę) i zmarła w wieku 28 lat na gorączkę połogową 5 grudnia 1826 roku, a ksiądz Głowacki odnotował, że mimo gorliwych starań wezwanych lekarzy.

Tu mała dygresja. Jej córka Elżbieta Seweryna uczyła się, choć szlachcianka, w zelowskiej szkole parafialnej razem z późniejszym wójtem Józefem Gąsiorowskim, synem miejscowego „fabrykanta krajowych wyrobów", ale... miała od niego znacznie gorsze stopnie. Prawdopodobnie o rękę jej przyrodniej siostry z pierwszego małżeństwa ojca ubiegał się potem ks. Mozes. I Elżbieta Seweryna i jej przyrodnie siostry z trzeciego małżeństwa byłyby za młode — skąd moja hipoteza, że musiał Stanisław Nieszkowski mieć trzy żony (imię pierwszej nieznane).

Bratanek Stanisława, Adolf, żonaty z Julią z Bronikowskich, posiadał aż za Piotrkowem położony majątek Lubiatów. Ich córka Joanna urodzona w 1825 roku w Poznaniu, zmarła mając półpiąta roku i została pochowana „w grobie familijnym na cmentarzu tutejszym". Prawdopodobnie obok niej spoczęła dwutygodniowa Stanisława Nieszkowska, która w osiem dni po Joannie zmarła na czarne krosty.

Możliwe, że owym grobem familijnym na cmentarzu tutejszym jest zarośnięty gęstymi krzakami na placu przy kościele grobowiec z podwójnym, spadzistym daszkiem. Ale ze znajdującego się w archiwum listu ks. Skierskiego wynika, że jeszcze po 1900 roku przy kościele był grób rodziny Karczewskich. Rodziny, a nie jednej osoby. Bo w zaroślach akacjowych tuż przy tym bezimiennym grobowcu stoi kamienny nagrobek z krzyżem u góry i z polskim napisem u dołu: „Tu spoczywają zwłoki śp. Teofili z Karczewskich pierwszych ślubów Lipnickiej, drugiej Radosz, urodzonej 15 Maja 1773 r. Przeniosła się do wieczności 14 kwietnia 1844 roku. Pamięć jej pozostanie na zawsze w sercach stroskanej Córki, Wnuków i Prawnuków".

Prawnukowie z 1844 roku na pewno już nie żyją, ale może są wśród nas wnukowie i prawnukowie tych prawnuków?

Głównie w oparciu o książkę Szymona Konarskiego ustaliłem, że owa Teofila była córką Ludwika — Piotra Karczewskiego, herbu Poraj, który w 1769 roku jako chorąży wojsk polskich a zarazem dziedzic Czarnotek (podobno w okolicach wielkopolskiej Środy), poślubił w Waszkowie (w tym samym Waszkowie trzy lata wcześniej Hieronim Nieszkowski ożenił się z Heleną Kossecką!) Teofilę Elżbietę z Mieleckich. Ich córka spoczywająca w Zelowie nie była jedynaczką — miała dwie siostry i brata. Gdy liczyła sobie 24 lata, wyszła za Ludwika Piotra Lipnickiego, również herbu Poraj. Jej mąż — Wielkopolanin z okolic Międzyrzecza — chrzczony był w kalwińskim zborze w Wielkim Taborze pod Kępnem. Dla mnie jest to kapitalny zbieg okoliczności, bo właśnie z Taboru Wielkiego przybyło do Zelowa po 1802 roku wielu Braci Czeskich.

Teofila Ludwika owdowiała zdaje się podczas wojen napoleońskich, ale Radoszową została nie wcześniej niż w 1825 roku, w wieku co najmniej 52 lat. Dlaczego tak twierdzę? Ponieważ jej przyszły a zarazem drugi mąż urodził się dopiero w 1804 roku...

Ks. Mozes zanotował, że na rok przed swą śmiercią

Teofila Ludwika Radoszowa przystąpiła do Stołu Pańskiego w kościele zelowskim. A równo 20 dni wcześniej komunikował się tamże jej małżonek, Leon Radosz. Jego imię i nazwisko zawiera również książka Konarskiego. Leon Edward Radosz był jednym z pięciorga dzieci Wacława Adama Radosza, mieszkańca Poznania, wywodzącego się ze starego rodu, którego herbu jednak nie znamy, zapewne dlatego, że — jak stwierdza Szymon Konarski — „cechy szlachectwa w księgach metrykalnych nie zawsze się zachowały"...

Teofila i Leon Radoszowie mieszkali zapewne w Kliczkowie Wielkim w powiecie sieradzkim, gdyż tam właśnie zmarła ona, wyrażając przed śmiercią wyraźne życzenie, że chce być pochowana na cmentarzu przy zelowskim kościele. Dlaczego właśnie tam? I to już w 1844 roku!

Bo w dwa lata potem — dopiero — Marceli Karczewski (herbu Samson) nabył dobra Przecznie w wyniku licytacji. Licytowanym był August Porczyński, którego matka Faustyna sprzedała Braciom Czeskim z Zelowa kawał ziemi (w ten sposób powstała jeszcze jedna czeska wieś w tej okolicy, Faustynów).

Przecznie znajdowały się w rękach Karczewskich dość długo. Spadkobiercami Marcelego były jego dzieci (Antoni i Adolfina zamężna Myszkowska) oraz wdowa po nim. W Przeczniach od 1864 roku mieszkała również przez sześć lat, aż do śmierci w wieku 76 lat, niezamężna siostra Marcelego, Nepomucena, pochowana na cmentarzu zelowskim. Na którym cmentarzu jednak? Od 1855 roku nie chowano już bowiem przy kościele, ale za wsią, może jednak w 1870 roku robiono wyjątki dla dobrze urodzonych i pochowano ją w owym grobowcu rodzinnym, o którym potem będzie pisał pastor Skierski?

Natomiast na pewno na żadnym z dwu zelowskich cmentarzy ewangelickich nie leży Marceli Karczewski. Był on bowiem jednym z pięciu zabitych przez policję carską na warszawskim Placu Zamkowym w lutym 1861 roku, któ-

rych uroczysty pogrzeb stał się manifestacją patriotyczną poprzedzającą wybuch powstania styczniowego.

Rodzina Karczewskich należała do hojnych członków zboru zelowskiego, a ks. Mozes nie raz odnotowuje jej darowizny dla kościoła. I tak na przykład w 1854 roku z Lipnickich Karczewska (Teofila secundo voto Radoszowa była przecież z Karczewskich primo voto Lipnicka!) przekazała kościołowi dywan, widząc jednak, że nie przynosi on żadnego pożytku, za zgodą kolegium kościelnego zamieniła go w 1868 roku na „skrzyneczkę srebrną wewnątrz wyzłacaną na Chleb".

Sprawy Nieszkowskich, Karczewskich, Żychlińskich czy też innych polskich rodzin kalwińskich bywających niegdyś w Zelowie z racji sąsiedztwa czy wspólnoty wyznaniowej na pewno nie miały wielkiego wpływu na życie tej Gminy Braci Czeskich, ale są chyba dość ciekawym przyczynkiem, który z podziękowaniem za udzielone mi wskazówki Panu przekazuję.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku i ukłony.

List dwudziesty drugi

Kochani,

do Liberca dojechałem szczęśliwie, przesiadałem się tylko w Inowrocławiu i w Hradec Kralove. Państwo Z. przyjęli mnie z prawdziwie staropolską gościnnością. Rozmawiamy tylko po polsku, jedynie ich zięć podpułkownik nie mówi po polsku, lecz wszystko rozumie, więc tylko na ulicy przypominam sobie o tym, że jestem w północnych Czechach. Rozmawiamy naturalnie tylko o Zelowie, również z gośćmi państwa Z. Gośćmi są ich krewni z Polski, ale nie z Zelowa. Mimo to świetnie orientują się w sprawach zelowskich i całymi godzinami dyskutujemy o dalszej i bliższej przeszłości.

W Libercu mieszka obecnie około tysiąca byłych zelowian. Giną oni jednak w kilkudziesięciotysięcznym mieście, zwłaszcza, że próby utworzenia związku reemigrantów zelowskich nie spotkały się z uznaniem władz, które uważają, że Czesi z Zelowa czy z Wołynia powinni jak najszybciej zintegrować się z rodakami. Jest w tym niewątpliwie sporo racji, ale chyba i trochę przesady.

Poznałem już parę osób, między innymi rodzinę Kinów. „Głowa domu", pan Wilhelm Kin, jako młody chłopiec wysłany został w czasie okupacji przez niemiecki Arbeitsamt do pracy w różnych miejscowościach Rzeszy, na koniec w pobliżu ówczesnego Protektoratu Czech i Moraw. Poznał tam swoją obecną żonę. Gdy wojna się skończyła wrócił do Zelowa, ale tylko po to, aby odwiedzić bliskich i zabrać z sobą to, co chciał zabrać. Jako pionier na terenach Sudetów, skąd wysiedlano Niemców, uruchomił zakłady włókiennicze Textilana w Libercu. I został już tu. Dobrze im się powodzi, mają córkę, która studiuje chemię na politechnice. I żona i córka bardzo interesują się egzotycznym Zelowem i w ogóle Polską. Dużo po polsku rozumieją, więc i z nimi nie musiałem „popisywać się" swoją czeszczyzną.

Na pewno dzisiejsze życie zelowian w Czechach nie jest uroczą, bezkonfliktową sielanką. Na pewno są konflikty, na pewno moi rozmówcy wolą takich tematów nie poruszać. Może bywają i tragedie. Ale czyż dzieje „czeskiego Zelowa" pod władzą kapitalistycznej Łodzi nie miały w sobie o wiele więcej rozpaczliwego tragizmu, tragizmu bardziej skomplikowanego?

Dziś wśród ex-zelowian i ich potomków żyjących w Libercu, Šumperku, Cvikovie, Černošinie koło Stříbra, w Jablonci nad Nysą, w Pradze, w Nowém Městě pod Smrkem i w dziesięciu innych miejscowościach jest wielu inżynierów, oficerów, techników, lekarzy, nauczycieli.

Np. państwo Z. należeli przed wojną do tych nielicznych zelowian, którzy mogli ukończyć seminarium nauczycielskie. Gdy jednak doszło do przydziału pracy, żaden Czech-

-nauczyciel nie mógł uczyć w szkole w Zelowie. Pan Z. dostał posadę nauczyciela w Wielkopolsce, a jego obecna żona — na Wołyniu.

No, ale dość na dziś. Serdecznie wszystkich całuję.

List dwudziesty trzeci

Kochani,

wróciłem właśnie z Cvikova, gdzie odwiedziłem byłych zelowian — m. in. członka PPS-lewicy T. M. Wyobraźcie sobie, że po to musiałem jechać do Cvikova, aby dowiedzieć się, że obszerne wspomnienia z działalności rewolucyjnej spisane po przyjeździe do Czech przez tow. M. zdeponowane są... w Zakładzie Partii w Warszawie!

W Cvikovie przyjęto mnie z otwartymi ramionami, jako tego, który pisze książkę o Zelowie. Okazuje się, że T. M. zapisał osiem brulionów różnego rodzaju notatkami o Zelowie i próbował tę pracę wydać drukiem. Nie znalazł jednak w Pradze człowieka, który by poparł jego starania i umożliwił opublikowanie na pewno — widać to już na pierwszy rzut oka — cennego materiału. Dostałem nie tylko te osiem brulionów, nie tylko masę zdjęć i informacji ustnych, ale też powieść Miloslava Bureša wydaną w 1953 roku, zatytułowaną *Marie a my vsichni*, mówiącą o powrocie do ojczyzny Czechów z Faustynowa. Możecie sobie wyobrazić moje zadowolenie. Żałuję tylko jednego — trafiliśmy akurat na wesele najmłodszego bodaj syna Karola Janko. Chciano nas koniecznie zatrzymać, musieliśmy po prostu uciekać, bo zanosiło się na tradycyjne weselisko. Ponieważ — jak wiecie — mam mocną głowę, więc już po czterech kieliszkach słodkiej, czerwonej wódki desperacko się pożegnałem i skończyło się na tym, że wpadliśmy do ostatniego pociągu bez wykupionych w kasie biletów. No cóż, nie jestem w Czechach jako stypendysta ZLP, ale na własny koszt, co przy obowiązujących przepisach dewizo-

wych powoduje, iż musiałem sprawić przykrość Jankom i uciec z wesela. Jutro jednak muszę pojechać do Pragi, gdzie mam kilka adresów, chcę poszperać w bibliotekach naukowych i odwiedzić Akademię Nauk, która kilka lat temu wysłała do Zelowa jakąś folklorystyczną ekipę naukową. W Pradze zatrzymam się tak długo, dopóki starczy mi pieniędzy, a to znów będzie zależało przede wszystkim od koszów związanych z zamieszkaniem w hotelu.

Z Liberca i z Cvikova wiozę wiele pięknych znaczków pocztowych i adresy filatelistów w wieku Olka i Edka, więc proszę dobrze się uczyć i słuchać Mamy.

Mocno wszystkich całuję.

List dwudziesty czwarty

Kochani,

okazuje się, że dr V. J., autor wielu prac o Zelowie drukowanych w różnych pismach, a także wydanej w 1947 r. broszury *Po stopách Českých Bratři v Zelově* napisał już obszerną monografię, która pozostaje w maszynopisie. I chyba pozostanie w nim długo. Traktując mnie jako konkurenta dr J. pokazał mi jedynie zebrane przez siebie zdjęcia, i to chyba tylko ich część. Wspaniała dokumentacja ikonograficzna! Ale gdzie znajdzie się wydawcę, który by do tekstu dodał odpowiednią ilość papieru ilustracyjnego? Stare zdjęcia wymagają dobrej „podkładki", bo reprodukcje nie wyjdą.

Pokazałem dr J. też swoje zdjęcia, a gdy okazało się, że na niektórych bardzo mu zależy — podarowałem (mam w domu negatywy).

W Akademii Nauk rozmawiałem z panią dr Ivą, autorką rozprawy *K akkulturačnimu procesu nejstarši česke mensiny* i otrzymałem od niej oprócz egzemplarza również sporo informacji bibliograficznych.

Poza tym dzięki uprzejmości kierownika literackiego

w Praskich Teatrach Miejskich p. Mojmiry Janišovej co wieczór z rozpaczy chodzę do teatru. Z rozpaczy dlatego, że pieniędzy starczy mi najwyżej na pięć dni, a na zdrowy rozum to powinienem siedzieć w Czechach, właściwie zaś jeździć po Czechach, przez kilka tygodni. Nie wątpię, że wśród tutejszych zelowian rozsypanych w kilkudziesięciu miejscowościach znaleźliby się jeszcze tacy, do których nie dotarł dr. J., a którzy by udostępnili mi swoje dokumenty rodzinne, zdjęcia i podzielili się wspomnieniami.

Sporo czasu straciłem zanim odnalazłem w nowoczesnym wieżowcu budowanej właśnie dzielnicy na przedmieściu Pragi mieszkanie dra Mačka. Przyjęty zostałem bardzo serdecznie, ale z powodu nadchodzącej godziny rozpoczęcia spektaklu — stanowczo za krótko. Kilka książek, które znam nadal tylko z tytułów, ma być — zdaniem dra Mačka — w bibliotece ołomunieckiej. W Ołomuńcu mieszka też jeden z piszących o Braciach Czeskich. Będę próbował odwiedzić go — nieproszony — w drodze powrotnej. Chwilowo jednak trzeba jeszcze wykorzystać kilka praskich adresów, które otrzymałem w Libercu i Cvikovie. Na dodatek złego trafiłem tu na ludzi, z którymi można rozmawiać o historii Mazur i Warmii — np. dr Anna Ležalova (pisująca pod pseudonimem Wanda Piastowska!) czy też prof. Antonin Frinta, w którego mieszkaniu zobaczyłem obraz namalowany w okresie międzywojennym przez żonę prof. Jerzego Kurnatowskiego, a przedstawiający... jezioro mazurskie. Tak więc — „osiołkowi w żłobie dano, w jednym owies, w drugim siano..." Wiadomo, jak się takie sytuacje kończą.

To już mój ostatni list z Pragi. Do zobaczenia za kilka dni w Olsztynie!

List dwudziesty piąty

Szanowni Państwo,

jeszcze raz serdecznie dziękuję za zaproszenie i za gościnę w Libercu. Z Pragi wyjechałem przedwczoraj; po przesiadce na pociąg pośpieszny z Warny, Budapesztu i Wiednia musiałem do Zebrzydowic stać w korytarzu. Nocne rodaków rozmowy były nieco inne w swoim gronie, nieco inne po wejściu celników. Moje miłe wspomnienia z pobytu w Czechach i myśli o książce na temat Zelowa — nie podlegające ocleniu — nie interesowały żadnej z wysokich umawiających się stron, więc stałem sobie spokojnie przy „harmonijce" łączącej dwa wagony.

Zgodnie z obietnicą wybieram ze swoich notatek to, co przypadkiem znalazłem w archiwum zelowskim o Pani przodkach. Istotnie, byli Niemcami, ale nie śląskimi. W okresie Księstwa Warszawskiego (jak Państwu wiadomo jego księciem był władca Saksonii) w województwie kaliskim znalazła się pewna liczba kolonistów saskich. Należeli do nich zapewne również Englowie. Gdzieś około 1850 roku przybyli do Zelowa, prawdopodobnie z którejś z okolicznych wsi. Nie ma ich jeszcze w spisie sporządzonym przez ks. Mozesa w 1848 roku w związku z przygotowywanym rozdziałem kościoła protestanckiego w Królestwie Polskim na luteranów (augsburskich) i kalwinów (reformowanych). Rzecz charakterystyczna — ks. Mozes swoją listę zatytułował wówczas — czy zgodnie z instrukcją władz? — w ten sposób: *Lista imienna wyznawców ewangelickich po polsku i po czesku tylko, ale nie po niemiecku umiejących w obrębie parafii znajdujących się.* Wyliczył następnie 378 rodzin złożonych z 1370 osób, a odpowiadając na pytanie „jaki posiadają język nie umiejąc po niemiecku" stwierdził przy każdej rodzinie: czeski.

Dopisał następnie dalszych 19 rodzin (a 49 osób), przy jedenastu pisząc „czeski", przy ośmiu — „polski". Wśród tych ostatnich znaleźli się nie tylko Balcer Gwiazdowski, Wawrzyniec Gruszczyński, Anna Piecarzyna i Jakub Jastrzębski, ale też posiadający czeskie (mimo treści!) nazwisko — Samuel Niemeczek oraz Karol Szulc, Karol Franz i samotny Wojciech Werner...

Tak było w 1848 roku, natomiast 13 lat wcześniej ks. Mozes uznawał za Niemców starego Fibicha, Wewerkę, Gerke, Waltera. A propos „starego Fibicha" — na pewno urodził się on na Śląsku jako Gottlieb Fiebig, ale umarł w Zelowie jako Bogumił Fibich!

Szczechizowanie Englów zaczynało się od przejścia z luteranizmu na kalwinizm — rzecz ciekawa: indywidualnie — około 1858 roku. Tak np. urodzony w Zelowie w 1838 roku (ale nie wymieniony w spisie z 1848 roku!) Wilhelm Tomasz Engel poślubił w 1857 roku — jako czeladnik tkacki — Elżbietę Waltównę i przeszedł wówczas na kalwinizm. Znał nie tylko język niemiecki i czeski, ale też polski i rosyjski, co ułatwiało mu w 1874 roku starania o posadę nauczyciela w zelowskiej szkole. Był on — zdaje się — Pani dziadkiem.

Jeśli w dalszej pracy natrafię na nowe szczegóły tyczące przodków Państwa (pomocą będzie mi w tym gąszczu powtarzających się nazwisk, a zwłaszcza imion, otrzymany w Libercu wywód genealogiczny) prześlę je.

Proszę przyjąć nasze pozdrowienia i życzenia wszystkiego najlepszego.

List dwudziesty szósty

Drogi Towarzyszu,

bardzo żałuję, że nie mogłem pobyć u Was w Cvikovie dłużej, mam jednak nadzieję, że okazja taka jeszcze się powtórzy. W drodze powrotnej zatrzymałem się kilka godzin w Warszawie, wstąpiłem do Zakładu Historii Partii i dowiedziałem się, że Wasze wspomnienia nie zostały jeszcze przetłumaczone na polski. Z tego powodu, jako ory-

ginał, mogą być udostępnione tylko w bibliotece Zakładu. Rozmawiałem już z towarzyszką pracującą w archiwum naszego olsztyńskiego KW i obiecała mi, że skorzysta z przysługującego jej prawa, wypożyczy Wasze wspomnienia, a gdy przywiezie je osobiście do Olsztyna wszystko już pójdzie jak z płatka, bo ona ma więcej zaufania do ludzi (czyli do mnie).

A teraz o interesujących Was sprawach. Otóż po raz pierwszy w 1865 roku ks. Mozes stwierdza w jednej z licznych, wypełnionych przez niego ankiet, że gmina „składa się z tkaczy i gospodarzy wiejskich". Wymowne jest postawienie tkaczy na pierwszym miejscu. Wydaje mi się, że już wcześniej tkacze uzyskali przewagę nad rolnikami, ale tradycje i przyzwyczajenia do pewnych schematów myślenia przełamywane są zawsze dopiero z czasem.

Już dwadzieścia lat wcześniej ułożona została zapewne przez wójta *Tabela wskazująca uposażenia, obowiązki i powinności rolników parafii i gminy Zelów, okręgu Szadkowskiego, guberni warszawskiej z roku 1846*. Autor jej stwierdza, że słaba gleba zmusza mieszkańców do uzupełnienia zarobków „przemysłem", ale na 156 płatników podatków jeszcze 127 utrzymuje się z rolnictwa. Ponieważ jednak podano, że siali głównie... owies i tatarkę, więc można wątpić, czy istotnie „utrzymywali się oni z rolnictwa". Zwłaszcza, że *Tabela* lojalnie przyznaje, iż k a ż d y z tych 127 „rolników" ma dodatkowe zajęcie. Aż w 109 przypadkach jest to tkactwo, w dziewięciu wyrobnictwo, w trzech obrusiarstwo, w sześciu „przemysł". Tych ostatnich *Tabela* wymienia z nazwiska: Józef Gąsiorowski, Wilhelm Andersz, wójt Bogumił Fibich, Józef Słama, Paweł Hajek i Jan Duszek.

Z *Tabeli* dowiadujemy się ponadto, że w 1846 roku było w Zelowie tylko 150 domów, natomiast 6 karczem. A wracając jeszcze do rzekomo rolniczego charakteru wsi: 127 „rolnikom" wystarczało wówczas zaledwie 14 stodół!

Znamienne jest również zagospodarowanie 1634 morgów

zelowskiej ziemi. Pola uprawne wzrosły w ciągu 20 lat z 600 do 800 morgów i stanowiły niemal połowę całego areału, natomiast lasy, łąki i pastwiska zredukowane zostały do 520 morgów (245 morgów stanowiły ogrody). Odnoszę wrażenie, że te liczby mogą mylić, bo w rubrykach „lasy, łąki i pastwiska" zmniejszeniu uległy chyba tylko lasy, natomiast „ogrody" obejmować mogły również pola, na których uprawiano len czy konopie.

W 1832 roku, a więc w 30 lat po zakupieniu Zelowa, było w nim już 68 rodzin komorniczych (złożonych zapewne z 300—400 osób — na około 1000 osób ogółem), w 1846 roku w rękach trzynastu rodzin, stanowiących 8,3 procent ogółu posiadaczy, znalazło się 406 mórg ziemi, czyli 24,8 procent całego areału, liczba rodzin komorniczych zmniejszyła się natomiast minimalnie — do 67. Praktycznie rzecz biorąc — pozostało po staremu. W *Tabeli* jednak szczególnie wyraźnie zaznacza się rozwarstwienie społeczno-ekonomiczne mieszkańców Zelowa. Wśród bezrolnych komorników zdecydowaną większość stanowią tkacze, a nie wyrobnicy czy rzemieślnicy, tacy jak szewcy, stolarze, kowale, nie ma poza tym ani jednego piekarza czy rzeźnika, co wskazywałoby na gospodarski ubój bydła i wypiek chleba. Pod tym względem dopiero wprowadzenie cotygodniowych targów środowych przynieść miało radykalne zmiany. Zaznaczyły się one wyraźnie w 1885 roku, gdy wśród mieszkańców Zelowa zanotowano 5 piekarzy, 10 rzeźników, 1 introligatora (!), 2 felczerów, 1 kamieniarza, 1 szklarza, 1 muzykanta.

Jak już wspomniałem, w 1846 roku tkacze stanowili wśród bezrolnych komorników zdecydowaną większość. W *Tabeli* odnotowano po jednym krawcu w Zelowie (Jan Stehlik), Pożdżenicach (Karol Bredel) i Józefatowie (Wacław Macek). Z trzech młynarzy gminy tylko jeden mieszkał w Zelowie. Zaskakuje fajczarz (Zygmunt Łabant — czyżby cybuchy i fajki były wówczas „koniecznością życiową"?). Stosunkowo mało było stolarzy i szewców (po

czterech), nie może natomiast dziwić w czasach, gdy koń był jedyną siłą pociągową, liczba siedmiu kowali, z tego czterech w Zelowie (Józef Swoboda, Samuel Miller, Gabriel Swoboda i Daniel Jelonek). Nie mniej potrzebni, jak się okazało, byli również rzemieślnicy budowlani: w Zelowie mieszkało wówczas dwóch cieśli, czterech sztrycharzy czyli cegielników oraz dziewięciu murarzy.

W tym miejscu należałoby wrócić do podanej w *Tabeli* liczby 150 domów. Rodzi się pytanie: czy ci cieśle, sztrycharze i murarze znajdowali pracę w samym Zelowie, czy też w okolicznych wsiach? Jeśli głównie w Zelowie, to czy praca ich jedynie zamieniała stare, mniejsze „jednostki statystyczne" na nowe i większe, czy też powodowała z roku na rok wzrost globalnej liczby domów?

Jeszcze inne światło rzucają na Zelów w połowie XIX wieku prace naukowe poświęcone rozwojowi przemysłu w łódzkim okręgu włókienniczym. Wynika z nich, że do zawodów najbardziej popularnych w Zelowie należałoby dorzucić... zawód przemytników (!). Już w 1844 roku tkacze łódzcy domagali się ukrócenia kombinacji z okartkowaniem dymki i surowych kartunów, skarżyli się na szkody wyrządzane im przez przemyt sukna i surowców z Prus, żądali,

...aby, raz na zawsze wzbronionym zostało ekspediowanie za świadectwami kontrolerów handlu przędzy z miast fabrycznych do takichże miast pogranicznych, np. z Łodzi, Konstantynowa, Pabianic, Zduńskiej Woli do Częstochowy, Kamienicy Polskiej, Praszki, Zelowa itp., gdyż w postępowaniu tym tajemna ukrywa się defraudacja.

Zelów nazwany został w owym dokumencie „miejscowością pograniczną" chyba nie ze względu na swoje położenie geograficzne, nawet wówczas dość dalekie od granicy państwowej, ale raczej z powodu ówczesnych powiązań Czechów zelowskich ze śląskimi. Powiązania te jednak zanikały, wzmacniały się natomiast zależności między dynamicznie rozwijającą się Łodzią przemysłową a „upierającym się" przy chałupnictwie Zelowie. Józef Żółtaszek

w pracy drukowanej w „Ekonomiście" w 1928 roku twierdzi, że po 1860 roku „położenie materialne osadników Czechów było opłakane i Czesi, zamieszkali w dużej liczbie w Łodzi, przyszli swym rodakom z pomocą, dając im przędzę do tkania".

Są jeszcze inne argumenty przemawiające za tym, że o ile lata pięćdziesiąte były latami zelowskiej prosperity, to sześćdziesiąte były już latami kryzysu przezwyciężanego, być może doraźnie, ustanowieniem targów. Trudno ustalić dziś precyzyjnie charakter i zakres tych zmian, ale pewnym jest jedno, że stosunki z okresu międzywojennego, które Wy pamiętacie tak dobrze z własnego doświadczenia, tkwiły korzeniami w sprawach sprzed 70—100 lat. Ale też różniły się od nich zasadniczo tak, jak liść czy kwiat różni się od korzenia...

Pozostaje jeszcze kwestia wierności „zapisu pamięciowego". Krótka perspektywa czasowa może mieć nawet zalety, bo selekcjonuje, ale gdy człowiek powiedzmy osiemdziesięcioletni wspomina swoją młodość, a więc wspomina ją z perspektywy co najmniej sześćdziesięciu lat, wtedy trzeba umieć odróżnić w namalowanym przez niego obrazie istotne kontury od retuszu. Piszę to z myślą o wspomnieniach starych zelowian, które zanotowaliście w swoich brulionach. Z miejsca chcę się zastrzec — to bardzo dobrze, że podjęliście się tego trudu wypytywania starych ludzi i utrwalenia ich wypowiedzi na papierze. Oby więcej takich pożytecznych inicjatyw!

W 1950 r. zanotowaliście wspomnienia Lovizy Anderszowej, która miała wówczas 73 lata, a więc urodziła się w 1877 roku. Mogła więc pamiętać z własnego przeżycia to, co się zdarzyło po 1885 roku, ewentualnie to i owo z tego, co „zasłyszała". No i co się okazuje? Przytaczam to, co zanotowaliście:

Nigdy nie słyszałam, żeby przed ostatnim podziałem Zelowa, którego już nie pamiętam, bo byłam jeszcze mała, miał być między naszymi Czechami podział na bogatych i biednych.

Ostatni podział Zelowa to niewątpliwie podział lasu, który długo był wspólną własnością gminy, podział dokonany bodajże w roku po urodzeniu się Anderszowej. To się zgadza, ale braku podziału na bogatych i biednych absolutnie nie można przyjąć. Jest to niewątpliwie mit środowiskowy. Pielęgnowanie takich a nie innych mitów jest dla socjologa na pewno jakąś cechą charakterystyczną. Przyjrzyjmy się więc dalszemu ciągowi wspomnień Lovizy Anderszowej:

...A takie słowa jak żebrak i złodziej były wśród naszych całkowicie obce i wedle ówczesnego mniemania nie miały się tu nigdy pojawić.

W tym miejscu można by wydobyć z archiwum zelowskiego dokument, w którym ks. Mozes informuje konsystorz w Warszawie, w jaki sposób rozdzielił w 1858 roku zasiłek dla najbiedniejszych w kwocie ośmiu rubli. W Zelowie (nie licząc Pożdżenic, Faustynowa i Kucowa) obdzielono wówczas 10 osób, przyznając im od 50 do 75 kopiejek. Wśród tej najbiedniejszej dziesiątki był jeden łazarz, jeden starzec żebrak, dwie siostry kalekie, jedno małżeństwo kaleków, wreszcie pięć wdów chorowitych. Inna rzecz, że dziesięciu najbiedniejszych stanowiło wówczas jeden procent ogółu mieszkańców, chyba mniej, niż w pobliskich wsiach i miasteczkach. Choć więc babcia Anderszowa przesadzała twierdząc jakoby „słowa żebrak i złodziej były wśród naszych całkowicie obce", to jednak w jej dumie było na pewno dużo racji. Podobnie trzeba też chyba patrzeć na dalszy ciąg jej wspomnień:

Żyło się wówczas bardzo ciężko, znacznie ciężej niż dziś, ale gdy sobie wspomnę, co kiedyś opowiadano, to nikt się nad drugiego nie wypinał i uczciwie pragnął dla innych takiego samego szczęścia jak i dla siebie.

Od świtu do nocy się pracowało, a najwięcej wtedy, gdy w miarę wzrostu ludności trzeba było z lasu nową ziemię zrobić.

Jeszcze za mojej pamięci było tu tyle lasu, że łatwo było w nim zabłądzić, a gdzieniegdzie sosny tak grube, że czterech ludzi ledwo mogło je objąć. A w lasach zwierza wszelkiego i ptactwa, z najbardziej niebezpiecznymi wilkami, które rzucały się na dobytek, i z dzikami, które na polu ryły. Wtedy to się las wykopywało, aż do najgłębszych korzeni odkrywało się ziemię, a kamienie układało się w stosy, by w oraniu nie przeszkadzały.

Kto sobie pole zrobił, to było jego. Inni mu w tym pomagali a on też pomagał innym, ale lasy nadal używane pozostały zawsze własnością wszystkich.

W czasie najbardziej nagłych prac wyganiało się dobytek na pastwisko dopiero w nocy. Dzieciom nie można było go powierzać, bo wilki nie bały się dzieciaków, więc zmieniali się starsi i doglądali cały dobytek na danym odcinku, trzymając w rękach silne kije. Ale i im zdarzało się znaleźć rano w lesie nieżywe krowy z wyżartymi wymionami.

Domy stawiano na ogół z całych pni sosnowych, ociosanych siekierami z gałęzi i obrzuconych gliną. Na pewno jeszcze dziś zachował się któryś z nich, bo stawiano je ze smolnych, odpornych na robaki sosen.

W tym miejscu znów przerwę „Waszej" Anderszowej, ale tym razem, żeby potaknąć. Do opisanych przez nią domów należy dom Jersaków na Zelówku, nad którego drzwiami wejściowymi, od podwórza, wyryto w belce rok budowy: *1843*. Właściciel domu zwrócił mi uwagę na oryginalny zamek u drzwi prowadzących do szopy i na to, że belki i deski łączone są nie żelaznymi, ale drewnianymi kołkami. Przesyłam Wam zdjęcie tego napisu, a także zdjęcie domu Edmunda Swobody w Kucowie, który jest bodaj jeszcze starszy. Jakieś dwadzieścia lat temu remontowano jego szczytową ścianę i znaleziono w niej butelkę z dokumentem, z którego wynikało, że 136 lat temu dawną owczarnię przerobiono na dom mieszkalny. Czyli, że ten dom powstał... przed kupieniem Kucowa (a właściwie części tej wsi) przez Czechów. To znaczy, że budowali go Polacy i wobec tego trudno go uznać za przykład „czeskiego budownictwa wiejskiego". Co naturalnie nie znaczy, że można sobie zlekceważyć ten zabytek architektury wiejskiej...

No, ale wróćmy jeszcze do wspomnień Lovizy Anderszowej:

Dopóki zelowskie lasy były wspólną własnością, miło było na nie popatrzeć, ale gdy po podziale każdy zaczął gospodarzyć na

swoim wedle własnej woli, coraz bardziej były podobne do postrzępionych gałganów.

A co się tyczy wzajemnej pomocy w starym Zelowie, to była ona zrozumiała sama przez się. Wtedy obowiązywała jeszcze biblijna zasada: „Błogosławione jest dawanie a nie branie". Każdy czekał tylko na okazję pomożenia innym, a zarazem starał się jak mógł, żeby jak najmniej potrzebować pomocy innych. Tylko w ciężkiej chorobie, przy ciężkim karczowaniu lasu i po pożarze, było to konieczne. A co się tyczy pożarów, to były one dawniej bardzo rzadkim zjawiskiem.

No, pożary też bywały, np. w 1862 roku spłonęła stara szkoła mieszcząca się w dworku poprzedniego właściciela Zelowa, ale chyba babcia ma rację, że pożary bywały tu rzadkością. Bardzo ważna jest sprawa solidarności i więzi społecznej. Czy istotnie była ona zasługą „biblijnych zasad"? Ciekaw jestem Waszego zdania na ten temat.

Książki Bureša nie zdążyłem jeszcze przeczytać. Potrwa to nieco, bo muszę często posługiwać się słownikiem, a chciałbym nie „po łebkach", ale solidnie zapoznać się z jej treścią. Zwłaszcza, że macie do niej poważne zastrzeżenia.

Kończąc, serdecznie pozdrawiam Was, Waszą Rodzinę i wszystkich, których poznałem w Cvikovie, zarówno zelowian, jak i miejscowych.

List dwudziesty siódmy

Mój Drogi,

bardzo jestem zadowolony ze swego wypadu do Czech. Uzyskałem dzięki temu nie tylko nowe, piękne materiały, ale też i świeże spojrzenie na niektóre sprawy. Chętnie pojadę jeszcze raz, jeśli mi się uda uzyskać stypendium ZLP.

Zaskoczony byłem przede wszystkim większym przywiązaniem do tradycji zelowskich. Czesi, którzy zostali w Zelowie, nie wstydzą się swojej przeszłości, ale w ich ujęciu wszystko jest jakieś takie szare i niemal pospolite, natomiast tam — zupełnie inna sytuacja. Zwłaszcza u tzw. „prostych ludzi" (bo wśród inteligentów wyczułem jakieś kompleksy). Może zresztą miałem szczęście, że p. Z. skontaktował mnie właśnie z tow. T. M., człowiekiem pełnym energii i fantazji, który przed wojną siedział w Łodzi w więzieniu „za politykę", w 1945 roku organizował władzę ludową w Zelowie, potem był „na szkole partyjnej" w Łodzi, a przeniósłszy się do Czechosłowacji jak może ratuje od zapomnienia zelowską przeszłość i próbuje również swych sił w poezji. Takim na przykład wierszem-mottem opatrzył swoje notatki obejmujące w sumie 817 stron rękopisu:

Tam v polské zemi, kde jsme se zrodili,
často jsme se ptali našich máti:
„Kdy se zjeví rytíř zázračné síly,
jenž nám naši vlast opět navráti?"
Konečne přisel po útrapách věků,
konečne i my jsme v staré vlasti své.
S Rudou armádou v bouři válek jeku
zjevil se Gottvald v čele KPČ.

Czy nie zechciałbyś udzielić mi fachowej pomocy w adekwatnym zrymowaniu tego przekładu: „Tam, w polskiej ziemi, gdzie urodziliśmy się, często pytaliśmy się naszych matek: »Kiedy pojawi się niezwykle silny rycerz, który zwróci nam naszą ojczyznę?« Nareszcie przyszedł po utrapieniach stuleci, nareszcie i my znaleźliśmy się w ojczyźnie. Z Armią Czerwoną, w jęku burzy wojennej, zjawił się Gottwald na czele Komunistycznej Partii Czechosłowackiej".

Wielu duchowych przywódców zelowian łączy powrót do ojczyzny z wiernością dla wiary przodków. T. M. inaczej stawia sprawę:

Wielu Czechów wyjeżdżając po 1945 roku z Zelowa zabierało z sobą stare kancjonały i biblie, ja jednak wiozłem dzieła Marksa, Engelsa i Lenina. Nie uważam, aby z tego powodu mój powrót do ojczyzny przodków moich miał być gorszy. Z drugiej strony, choć jeszcze z czasów przedwojennych jestem ateistą, mu-

szę przyznać, że kościół położył duże zasługi w dziele zachowania odrębności narodowej zelowskich Czechów!

Wydaje mi się, że ma rację. Sam widziałem w Zelowie strzępek książki do nabożeństwa, dosłownie kilka zniszczonych kartek, przywieziony z Kamienicy Polskiej pod Częstochową. We wsi tej osiedliła się mniej więcej w tym samym czasie co i w Zelowie grupa Czechów. Ale byli to katolicy. Już w trzecim pokoleniu ulegli oni polonizacji. Ich katolicyzm ułatwiał i przyspieszał ich „integrację" (słowo to jest bardzo wygodne, gdy mowa o wynaradawianiu się innych).

Nie wydaje mi się jednak, aby tylko i jedynie protestancka odrębność religijna zelowian mogła być czynnikiem „konserwującym" język, zwyczaje i obyczaje, inną mentalność. Ale teza o „zasługach" religii dla przetrwania Gminy Braci Czeskich zamieniła się już w nawyk myślowy, natomiast wszystkie inne tezy wymagają dopiero albo udowodnienia naukowego, albo narzucenia przez sugestywną, a zdecydowaną propagandę.

Wspomniałem Ci już, że Czesi w Zelowie jakoś nie doceniają obecnie walorów swojej specyfiki. Pomijam już Vilema Tomeša, który dlatego dziwnie rozmawiał ze mną za moim pierwszym pobytem w Zelowie, ponieważ — jak się okazuje — przygotowywał się już do opuszczenia Polski. Obecni działacze zelowskiego oddziału Stowarzyszenia byli wyraźnie zaskoczeni, gdy im zaproponowałem utworzenie w jakimś starym, drewnianym domu czeskiego muzeum regionalnego. Musiałem pojechać do Cvikova, by na weselu dowiedzieć się jak to się w Zelowie odbywały wesela. Przede wszystkim — do kościoła nie jechano, ale galopowano. Niektórzy kręcili głowami słysząc na głównych wybrukowanych ulicach gwałtownie rosnący turkot furmanek. Ich przestrogi nie na wiele się przydawały. Do ślubu jechano z fantazją. A dzieciaki wołając „svarba jede, svarba jede!" gnały za wozami — dotąd, dopóki im sił starczało.

W Zelowie ten zwyczaj byłby jeszcze możliwy, bo sporo kocich łbów zostało, w Cvikovie gorzej, bo albo gładka kostka, albo asfalt. Więc i pohałasować nie można.

W pierwszy dniu wesela ucztowano, w drugim urządzano oczepiny. Polegały one na tym, że zanim starsze kobiety założyły pannie młodej na głowę symbol mężatki — biały czepek — dziś jeden z rekwizytów do „mojego" muzeum zelowskiego! — drużbowie chodzili od gościa do gościa i oświadczali: „Nevěsta nemá čepeček — nemá na čepeček — jak se bez něho lidem ukaže — kluci (chłopcy) ji budou nepokojit a ona neubrání nebo stále k divce bude podobná — musíme ji ho ihnet koupit, aby neplakala, na nás nenařikala..."

Zaczepiani przez kwestarzy zaklinali się na wszystkie świętości, że są biedni, że od roku ani halerza w domu nie widzieli, że ich okradziono, albo, że mama pieniądze zabrała... Zebrani przyjmowali kłamstwa gromkiem śmiechem, bo były w jakiś sposób „pikantne". W końcu okazywało się, że każdy gość przyniósł naturalnie coś „na czepek", a że przedtem nakłamał? Otóż to właśnie — na codzień kłamstwo uważane było za grzech i przestępstwo, a tylko na cudzym weselu można było sobie pogrzeszyć. Więc korzystano z okazji, niczym na prima aprilis.

Za kłamstwa nie uważano również fantastycznych opowiadań na dračkach-povidačkach.

W dawnym Zelowie głównym elementem posagu była pierzyna. W dokumentach archiwalnych często też można znaleźć notatkę — zwłaszcza w przypadku wdów — że „zostawiła w spadku pierzynę". Bardzo możliwe, że właśnie dlatego inlet, czyli płótno na wsypy było do niedawno zelowską specjalnością tkacką!

Dla uzyskania pierza konieczne było urządzanie w jesienne wieczory „draček" (podobno polskim odpowiednikiem tego czeskiego słowa jest „pierzawka"). Towarzystwa kobiet drących pierze szukali mężczyźni, młodzi — aby być blisko młodych, starsi — aby popisać się swoją znajo-

mością życia i kunsztem opowiadania. W ten sposób drački łączyły się z povidačkami.

Pozwól, że przekażę Ci jedną z takich historyjek, opowiedzianą mi w Cvikovie przez T. M. Ciekawy jestem, czy Tobie też się spodoba, a także, czy spotkałeś się już może z tym motywem, bo dla mnie był to zupełnie nowy pomysł fabularny.

Zdarzyło się razu pewnego, że któryś z młodych zakwestionował jakiś szczegół w opowieści zelowskiego patriarchy. Ten, po dość gwałtownej wymianie zdań, kazał młodzieńcowi opowiedzieć coś równie ciekawego, a zarazem całkowicie prawdziwego, bez odrobiny zmyślenia. Młody przyjął wyzwanie i zaczął opowiadać o tym, jak to pewnego wieczoru wybrał się na raki. Nałapał ich cały kosz, ale nie chciało mu się wracać do domu. Chodzi sobie nad strumieniem, chodzi i w pewnej chwili słyszy głos, który mówi:

„Tutaj".

„Tutaj"? — zastanawia się chłopak — ale co? Pewnie skarb. I zaczyna przyglądać się miejscu, w którym się znalazł. Gdy się tak rozgląda, znów słyszy głos: „Tutaj".

Chłopak ponownie podwinął nogawki, wszedł do wody, rozejrzał się i doszedł do wniosku, że przy brzegu mogą być raki. Było to wprawdzie bardzo ponure miejsce, ale przecież łowca raków nie będzie się bał swojego strumienia. Nagle znów usłyszał tajemniczy głos: „Tutaj". Włożył więc rękę do wody i zaczyna poomacku szukać u brzegu rakowej kryjówki. Szuka, szuka i znów słyszy głos: „Tutaj". Więc nie ustaje, choć woda coraz głębsza. Wreszcie wyciąga...

— Czy wy wiecie ludzie, co ja wtedy wyciągnąłem? Zimną ludzką rękę!

— Łżesz! — oświadczył twardo jego antagonista. — Skądby mogła się w rakowej jamie znaleźć ludzka ręka? Jakiemu zbrodniarzowi chciałoby się ciąć zamordowanego na kawałki i wrzucać do strumienia. A może jeszcze miał utykać te członki po dziurach w brzegu?

— Przysięgam, nie kłamię.

— Głupstwa gadasz — złościł się dziadek.

— A gdybym tak wam powiedział, że wyciągnąłem diabelską łapę, to byście mi uwierzyli? Tylko w ludzką rękę nie wierzycie. A to była jednak lodowato zimna ludzka ręka.

Stary zerwał się z miejsca i wściekły wyszedł z izby trzaskając drzwiami. Na pożegnanie rzucił jeszcze:

— Nie będziesz mi tu, staremu, ubliżał... Opowiadaj innym takie bzdury, może ci uwierzą. Cóż to dzisiaj za młodzież!

— Coś ty narobił? — pytały przestraszone zajściem dziewczyny.

— Powiedziałem prawdę — obstawał przy swoim chłopak.

— Przecież to niemożliwe. Ludzką rękę?

— Tak. Cóż na to poradzę...

— To po prostu nie może się w głowie pomieścić.

Zaczęto roztrząsać całą sprawę z różnych punktów widzenia, zapominając o chłopaku, który narobił tyle zamieszania. W końcu przypomniano sobie o nim. Zapytany co zrobił ze znalezioną ręką powiedział:

— Przyniosłem ją tutaj z sobą, bo przypuszczałem, że mi nie uwierzycie.

W izbie zrobił się popłoch.

— Chryste? — zawołała któraś z dziewcząt.

— Wynoś się stąd, ty bezwstydniku! — krzyknęła gospodyni.

— A ja wam pokażę — odrzekł chłopak i wyciągnął z kieszeni... swoją prawą rękę.

— Co?

— Zwyczajnie. Woda była piekielnie zimna, więc gdy niczego nie znalazłem, wyciągnąłem z niej zupełnie zmarzniętą rękę!

— Przecież to miała być ludzka ręka!

— A co? Moja ręka to nie ludzka?

Tyle povidaček zelowskich na dzień dzisiejszy. Trzymaj się ciepło (w tym celu nie wkładaj się do zimnej wody), pozdrów Twoich i siebie też.

List dwudziesty ósmy

Szanowny Panie Doktorze,

na napis nad wejściem do kościoła i tekst poematu ułożonego przez ks. Głowackiego będzie Pan musiał poczekać do następnego listu, ponieważ sprowadzam je z Zelowa. Służę natomiast danymi statystycznymi, które uzupełnią te moje rozważania na tematy demograficzne, jakie przedstawiłem goszczony przez Pana w Pradze (do dziś wspominam pyszne knedliczki, które specjalnie dla mnie zechciała zrobić Małżonka). No, ale od gastronomii przejdźmy do liczb, jako że trochę statystyki nigdy nie zawadzi.

Z akt stanu cywilnego wyliczyłem, że w latach 1803—1810 urodziło się w Zelowie 178 dzieci, zmarło natomiast 140 osób, czyli że nadwyżka wynosiła zaledwie 38 osób.

W pierwszych dwu latach liczba zgonów przewyższała liczbę urodzin. Można to chyba wytłumaczyć różnymi powodami. W 1805 roku po raz pierwszy normalna sytuacja: 27 urodzeń — 19 zgonów (wśród tych ostatnich 9 w niemowlęctwie, do dwu lat, jeden w wieku 29—39 lat, 8 między 40 a 59 rokiem życia, i jedna osoba mająca ponad 60 lat). „Normalna" na owe czasy, kiedy to przeciętne trwanie życia ludzkiego było krótsze, niż obecnie (stąd osiem zgonów w wieku od 40 do 59 lat). Ówczesna normalność polega bowiem na tym, że „jeśli ktoś przeżył kilka pierwszych lat, to już potem dożywał starości" (ówczesnej).

Ale rok 1806 (rok wojny!) ma znowu przewagę zgonów nad urodzeniami, podobnie rok 1813 i 1817. W sumie do nadwyżki 38 osób z lat 1803—1810, trzeba dodać nadwyżkę 37 osób z lat 1811—1817.

W aktach stanu cywilnego występuje luka, która uniemożliwia tego rodzaju obliczenia do 1821 roku, po czym okazuje się, że w latach 1821—1829 nadwyżka wynosiła równe 200 osób.

Wysoka liczba zgonów w latach 1828 i 1829 spowodowana była epidemią biegunki. Spośród innych chorób będących przyczyną śmierci (jednak nie w diagnozie lekarskiej, a jedynie w zapisie urzędnika stanu cywilnego — o czym należy pamiętać) występowały najczęściej konwulsje (u dzieci, zwłaszcza u niemowląt), ospa (26 przypadków w 1821 roku, 10 w 1823 roku, 12 — w 1826 roku), następnie duszność (chyba — astma i suchoty), najrzadziej zaś pojawia się w tym dziesięcioleciu jako powód śmierci „starość" (po jednym przypadku w latach 1821 i 1824, po dwa w latach 1825—1828 i cztery w 1829 roku). Odnoszę wrażenie, że społeczność zelowska w latach 1821—1829 była społecznością ludzi młodych i dojrzałych, ale nie starców.

Niestety — jest to tylko „jedna strona medalu". Drugą stanowiły przyjazdy ze Śląska i powroty na Śląsk, głównie komorników, chociaż ruchy migracyjne mogły występować również w gronie posiadaczy ziemi. Brak danych na ten temat jest poważnym mankamentem wszelkich rozważań o specyfice demograficznej Zelowa w pierwszym — pionierskim — i drugim — stabilizacyjnym — podokresie jego historii. Zebranie danych na temat zgonów i urodzeń w trzecim podokresie (dobrobytu i rozwoju) byłoby również możliwe, ale nie wiem, czy ten jeszcze bardziej żmudny trud opłaci się, ponieważ w dalszym ciągu nieznana będzie owa druga, „migracyjna strona medalu".

Dla okresu po 1855 roku sprawa obliczenia nadwyżek urodzeń nad zgonami staje się prostsza, ponieważ zachowały się roczne sprawozdania, zarówno wójta jak i pastora. Nie trzeba już wyławiać poszczególnych przypadków z akt stanu cywilnego, zrobiłem więc odpowiednie zestawienia z których wynika, że gdy w latach 1857—1870 nadwyżka urodzeń nad zgonami wynosiła 904 osoby, to ogólny przyrost liczby mieszkańców wynosił tylko 565 osób. Inaczej

mówiąc — wystąpił już odpływ ludności czeskiej z Zelowa. Ale tu rodzą się nowe pytania. Po pierwsze: liczba 565 osób jest jedynie końcowym efektem pewnego procesu. Jeśli z Zelowa w danym okresie wyjechało 565 osób, a nie przyjechała ani jedna, będzie to znaczyło coś zupełnie innego niż jeśliby wyjechało 1565 osób, a przyjechało 1000. W tym drugim przypadku efekt końcowy będzie ten sam, bo 1565 odjąć 1000 daje taki sam wynik co 565 odjąć 0. W rzeczywistości społecznej mamy jednak do czynienia z dwoma zupełnie odmiennymi zjawiskami socjologicznymi.

Drugie pytanie: w jakim kierunku szedł odpływ ludności z Zelowa? Prawdopodobnie już nie na Śląsk, jak w pierwszych podokresach, ale raczej do Kucowa, Faustynowa, Pożdżenic, innych okolicznych wsi, a przede wszystkim jednak „w szeroki świat". Dalej — jeśli ten odpływ był wynikiem i odpływu i przypływu, to warto by się dowiedzieć, czy z okolicznych wsi, czy też może był to powrót ludzi, którzy szukali szczęścia w szerokim świecie i go tam nie znaleźli?

Jak Pan Doktor widzi, moja „lepsza" niż Pana sytuacja, polegająca na tym, że mam łatwy dostęp do archiwum zelowskiego, łódzkiego czy pabianickiego ogranicza się właściwie do tego, że po uzyskaniu — w wyniku żmudnego szperania — pewnej ilości informacji, dręczony jestem jedynie nowymi, jeszcze trudniejszymi niż poprzednie pytaniami.

Szczególnie interesuje mnie problem kontynuowania stosunków Zelowa (łącznie z Kucowem, Faustynowem i innymi okolicznymi wsiami), z ośrodkami śląskimi, z tym, co można by w tym przypadku nazwać „metropolią". Kontakty te były znacznie dłuższe niż się przypuszcza. Oto parę dowodów: w 1844 roku 25-letni Jan Duszek z Piotrówki pod Strzelcami Opolskimi otrzymuje od landrata „książkę wędrowniczą" (nr 52) i osiedla się w dwa lata potem jako czeladnik tkacki w Ignacowie. Dalej — stosunkowo późno, gdyż po 1850 roku, pojawiają

się w dokumentach archiwalnych nowe czeskie nazwiska: Dedecjuszów, Janków, Moziszów. A propos Moziszów: w 1860 roku 24-letni tkacz Paweł Mozes zgłasza urodzenie mu przez Zofię z Kiedajów syna, który otrzymał imię ojca. Nie był on jednak krewnym pastora zelowskiego, lecz przybył — zapewne tuż przed 1860 rokiem — z okolic Strzelina. Możliwe, że był to potomek lub krewny pastora husynieckiego. Mojžiša, którego zaraz po osiedleniu się Braci Czeskich w Zelowie chciano pozyskać dla nowopowstającej parafii. Urzędujący ks. Mozes poprawił wówczas w księdze stanu cywilnego podane przez ojca nazwisko z Mozes na Mozisz... Nie ulega więc wątpliwości, że napływ ze Śląska trwał co najmniej 60—70 lat. Inną sprawą jest jego intensywność w różnych okresach czy nawet w poszczególnych latach.

Ciekawym aspektem tej sprawy jest zagadnienie: kto przybywał ze Śląska — czy ludzie chcący ulokować w Zelowie zebrany tam kapitalik, czy młodzież z przeludnionych rodzin, czyli wreszcie „zbędne ręce do pracy"? Faktem dla mnie niezbitym jest pewnego rodzaju hegemonia intelektualna ośrodków śląskich nad „zelowskim satelitą", dłuższa od hegemonii demograficznej, gospodarczej (wymiana produktów i surowców) czy jeszcze jakiejś innej.

Zelów przez długie lata sprowadza ze Śląska zarówno wydawnictwa czeskie (głównie religijne) jak i nauczycieli. Pierwsza sprawa — sprawa wydawnictw. W kilkanaście lat po śmierci ks. Mozesa w petycji parafian z Pożdżenicy do konsystorza czytamy o zmarłym pastorze te słowa (ważne jest tylko zakończenie, ale cytuję całość, bo jest moim zdaniem bardzo ciekawa, rzekłbym, nawet urocza):

...który nam otwierał Bramę Raju, Bramę Niebios, Wykładał nam Ewangeliją Stą w Języku polskim a jednakowoż Nauki Religijne Wykładał nam w Języku Czeskim i starał się o ile możności ażeby katechizmy Macierzyńskiego Języka Były u niego do nabicia.

Nie był to pośmiertny panegiryk. Już w *Księdze obra-*

chunkowej przychodu i rozchodu Kościoła ewang.-reform. zelowskiego, założonej od dnia pierwszego stycznia 1831 roku (sam tytuł wskazuje na chęć zaprowadzenia porządków w gospodarce parafialnej przez młodego pastora) znajdujemy notatkę, że 9 lipca 1836 roku kupiono za 9 złp 13 gr dwanaście egzemplarzy katechizmu czeskiego.

Mija sześć lat pilnych wydatków innej natury i 3 maja 1842 roku znowu z kasy kościelnej zakupiono za 50 złp 100 egzemplarzy elementarzyków w czeskim języku, zaś ostatniego grudnia tegoż roku za oprawienie pięćdziesięciu egzemplarzy zapłacono 22 złp.

Z 1841 roku pochodzi list ks. Mozesa do superintendenta, którym pastor prosi o zawiadomienie wahającego się pana introligatora Karola Kessela, iż:

...skoro z Wrocławia sprowadzi sto exemplarzy katechizmów *Mleko cziste Prawdy Bożj to gest katechysmus aneb negprwnegsi počatky křestynskeho učenj s kratičkym Wyswětlenjm k rvzdělanj Mladeže Cyrkwj Bożjej Ceskych Bratskych wytisteny w Wratislawié 1828* takowe natychmiast od niego odebrane i zapłacone będą.

Warto też przypomnieć trochę inny, bardzo znamienny dokument:

Pasterz Parafii Ewangelickiej Zelowskiej wzywa niniejszem Urząd Wójtowski, aby w przeciągu godziny na piśmie niżej podpisanemu złożył odpowiedź:
1. Kto tutaj książki z zagranicy przyniósł?,
2. Jakiej osnowy są te książki?,
3. W jakim celu są tu do Zelowa przynieszone?,
4. Na czyje żądanie i za czyjem pozwoleniem?,
5. U kogo są te książki złożone i jak wiele ich jest?

Urząd Wójtowski zechce na te pięć pytań w przeciągu jednej godziny pisemnie odpowiedzieć, abym umiał raport Władzy wyższej pod tym względem złożyć. Jeśliby Urząd Wójtowski powyższemu wezwaniu nie uczynił za dość, bez zwłoki Komisarzowi Obwodowemu doniesionym zostanie.

Zastępujący nieobecnego wójta Jan Cejnar znał już mores przed pastorem, więc z uszanowaniem i pośpiesznie odpisał:

Jan Andersz przyniósł Testamenty czeskiego języka dwie biblie i kilka malich książek, to pismo przyniósł dla sprzedaży tu do Zelowa — na czyje żądanie i na czyje pozwolenie tego nie wiem te książki on przenoszy z miejsca na miejsce a teraz ich przynosi do mie jest ich wszystkich Testamentów 21 a malich książek jest 20. Te Biblie są sprzedawane i po tę książki Ludzie przychodzą i kupuią.

W zelowskiej bibliotece parafialnej zachował się do dziś *Kancyonał to gest Kniha Žalmu y Pjsnj Duchownjch od rozličných Mužu Božich Bratnj Českych y ginnych k Wzdělanj Probuzenj a Potessenj Cyrkwe Krystowé w Bazni Božj složenych, sebranych a wydanych. W Berlině w Wratislawě u Jana Frydrycha Korna, starssiho. Leta Pane 1791*, ręcznie zaś, na wewnętrznej stronie okładki wpisano: „Ten Kancjonał należj Annie Zaunarowej Psano dne 11 listopadu Anno 1822”.

Wydaje mi się, że warto by wśród Czechów, którzy po 1945 roku wrócili do ojczyzny, przeprowadzić odpowiednią kwerendę na temat posiadanych przez nich starych książek, gdyż mogłaby ona rzucić sporo światła na owe kontakty wydawnicze między Śląskiem a Zelowem.

Z późniejszych lat — już po 1860 roku — zachowały się spisy książek zakupywanych jako nagrody dla najlepszych uczni. Przeważają w nich polskie, takie jak *Ludgarda czyli skutki wychowania*, *Księga natury o stworzeniu świata*, *Robinson*, *Okrutne skutki pijaństwa*, *Gawędy warsztatowe dla rzemieślników i robotników polskich*, *Cnota chłopczyka*, *Zwierciadło dziecięcego wieku*, ale też... *Wybór pism* Franklina i *O związku moralności z ekonomią polityczną!* Są też jednak książki czeskie, głównie biblie i kancjonały, trafia się *Co ja mam cziniti abych spasen byl* czy też Władywoja Tomka *Krótka gramatyka czeska* (przełożona w 1865 roku przez Ludwika Krzywickiego).

A jak wyglądała sprawa z nauczycielami, a zarazem kantorami? Ze Śląska sprowadzony został po śmierci Boetchera Jan Duszek, który ustępując zaprotegował Kaczora z Czermina. Potem był (od 1840 do 1844 roku) urodzony

w Lubinie pod Opolem i uczący w Greczu Bogumił Jeleń, który również leczył ludzi (bez uprawnień lekarskich) i który musiał ustąpić, ponieważ ks. Mozes uznał jego sprawowanie się za „nieprzyzwoite". Skandalem zakończyło się również nauczanie zelowianina Ferdynanda Fibicha, którego miejsce zajął w 1866 roku Wilhelm Jandik, dotychczasowy pomocnik kantora w Szydłowicach pod Brzegiem nad Odrą. Zmarł on na suchoty w 1870 roku i znów oczy zelowian skierowały się w stronę Śląska. Tym razem pastor husyniecki de Tardy dzięki swym znajomościom wiedeńsko-czeskim wynalazł Antoniego Kořena, który mając wówczas zaledwie 17 lat nie zdążył jeszcze w Časlaviu skończyć proseminarium nauczycielskiego. Po wyeksmitowaniu go (tak!) z Zelowa starano się w 1873 roku o Józefa Krejči z Grecza. W tym samym czasie następcą ks. Mozesa został Ślązak Hugo Teodor Sikora.

Dopiero tuż przed 1900 rokiem zaistniały możliwości drukowania wydawnictw w języku czeskim — z myślą o Zelowie — w Łodzi, a dopiero po pierwszej wojnie światowej pastorem zelowskim został rodowity zelowianin. Wydaje mi się jednak, że po 1860 roku zarysowała się jeszcze jedna alternatywa. Wpływy ośrodków śląskich były najpierw uzupełniane, a następnie zastępowane przez wpływy protestanckich organizacji w samych Czechach. Na pewno zna Pan Doktor pierwszy reportaż, a właściwie korespondencję z Zelowa, w 23 numerze pisma „Hlasy ze Siona" z 1867 roku. Autorem był Jandik, tak mi się wydaje. Pisze on, że „ve škole vyučuji se ditky hlavne česky potom i polsky, něco malo německy a rusky", kancjonały zaś sprowadza się ze Śląska, w dopisie od redakcji czytamy, że nauczyciel z Kucowa prosi o przysłanie mu czeskiej postylli.

Przypuszczam, że od tej publikacji w „Hlasach ze Siona" datuje się zainteresowanie i opieka protestantów z Czech nad ośrodkiem zelowskim, szczególnie intensywna od 1902 roku, kiedy to rocznica zakupienia Zelowa przez

Braci Czeskich odbiła się dość dużym echem w Czechach. Co było powodem tej „zmiany warty"? Temat ten „zahaczyliśmy" w naszych rozmowach u Pana Doktora w Pradze. Obecnie mogę poprzeć swoje argumenty konkretnymi liczbami.

Dynamika rozwojowa Braci Czeskich na Śląsku wyraża się w drugiej połowie XVIII i na początku XIX wieku kupowaniem całych wsi lub ich zakładaniem, a także indywidualnym osiedlaniem się we wsiach niemieckich lub polskich. Ostatnim przejawem tej dynamiki, a nawet ekspansji jest dla mnie założenie w 1832 roku Piotrówki (Petrovice, Petersgrätz) pod Strzelcami Opolskimi. Była to, jak Panu wiadomo, inicjatywa ks. Piotra Sikory (dziadka późniejszego pastora zelowskiego Hugona), od którego poszła nazwa nowej wsi posiadającej nawet swój herb... sikorkę na jodle. Inicjatywa była pastora, lecz realizacja przede wszystkim Czechów z Grecza, który w owym czasie był chyba najprężniejszym ośrodkiem gospodarczym Braci Czeskich na Śląsku.

W tym samym szczytowym okresie pojawiły się pierwsze (jeśli nie liczyć zamachów na szkołę czeską w Taborze pod koniec XVIII wieku) i od razu ostre próby germanizacji. W kronice husynieckiej w 1835 roku zanotowano „Co jsme byli od vyšších úžadu přetrpěli, to vi jen Buh a my".

Choć po 1832 roku Czesi nie zakładali już nowych osad, to jednak nadal wzrastali liczebnie. Oto konkretne dane, uzyskane z różnych niemieckich opracowań statystycznych z pierwszej połowy XIX wieku:

Liczba mieszkańców Lubina pod Opolem wzrosła z 241 mieszkańców w 1820 roku do 435 w 1848 roku. W obu Taborach natomiast w tym samym okresie panuje raczej stagnacja. Liczba mieszkańców Wielkiego Taboru wzrasta jedynie o 17 osób (319 na 336), podobnie jest w Małym Taborze (wzrost z 104 do 114 osób), lecz w 1885 roku jest już w Taborach 830 mieszkańców (w tym tylko 13 kato-

ników, zapewne Polaków). W Husyńcu pod Strzelinem liczba mieszkańców w latach 1820—1848 wzrasta z 780 do 998 osób, w Podiebradach z 639 do 928. Główna wieś czeska pod Opolem, Grecz, w tym samym okresie staje się najludniejsza, jako że liczba jej mieszkańców wzrasta z 752 do 1117. Huhn dodaje, że w połowie XIX wieku produkowano tu płótna lniane i bawełniane kartuny. Chlebowski w swym słowniku z 1895 roku wylicza w Greczu 42 szewców i 136 tkaczy. Piotrowice w kilkanaście lat po założeniu liczyły blisko 400 mieszkańców.

Ale Czesi mieszkali również i mniejszymi grupami w wielu innych wsiach w pobliżu Strzelina, Sycowa i Opola. I tak np. w Penczu pod Strzelinem liczba Czechów wzrosła od 1821 do 1848 roku ze 161 do 229 osób, w Bachowicach pod Sycowem z 207 do 239, a w Czerminie w 1848 roku było 347 mieszkańców, w Kuropatniku w 1836 roku żyło 47 Czechów.

Dosyć trudno jest wyrobić sobie zdanie na temat „sumy ośrodków czeskich" na Dolnym Śląsku. Richard Böckh w swej książce *Der Deutschen Volkszahl und Sprachgebiet in den europäischen Staaten* wydanej w Berlinie w 1869 roku, a opartej na wynikach spisu z 1861 roku pisze, że w powiecie strzelińskim czeska „wyspa" w siedmiu miejscowościach liczyła około 2600 osób, natomiast czeskie „wyspy" na „polskim morzu" miały zawierać wg niego około 6200 osób. Razem więc około 8800.

Do pruskich statystyk narodowościowych należy jednak podchodzić z dużą rezerwą, ponieważ w XIX wieku posługiwano się w Prusach dość podejrzanej wartości kryteriami przynależności do jakiegoś narodu. Przedstawiam ten problem w *Szkicach olsztyńskich* i w monografii powiatu iławskiego, wykazując również „cuda" zawarte w książce Boeckha. Czytając tę pracę naukową w aspekcie „śląsko-czeskim" znajduję obecnie dalsze „rodzynki". Jest np. w książce Boeckha tabela, z której wynika, że w Piotrówce w powiecie Strzelno Opolskie było w 1849 roku 369

Czechów, w trzy zaledwie lata potem tylko 47, natomiast w 1855 roku znów dużo (408). Jeszcze bardziej radykalny „zanik" — a potem powrót do „normy" — wystąpił w czterech wsiach czeskich w powiecie opolskim w latach 1849—1852—1855, a mianowicie: 1556 — nic! — 1600.

Zrozumiałe, że w 1852 roku urzędnicy pruscy zastosowali specjalnie radykalne kryterium spisowe, z którego potem musieli się wycofać, jako że nazbyt szybko realizowało marzenia germanizatorów. Nie tylko zresztą w 1852 roku niemieckie statystyki „kombinowały". Praktykowały to również i w innych okresach, bardziej jednak dyskretnie.

Krytycznie patrząc na pruskie statystyki musimy jednocześnie pamiętać, że po 1870 roku narzucenie zarówno Czechom jak i Polakom śląskim szkoły z niemieckim językiem wykładowym poważnie ułatwiało działalność germanizacyjną. Problem ten jednak należy rozpatrywać głównie w aspekcie przemian ekonomiczno-społecznych, jakie niósł z sobą do wschodnich prowincji państwa Hohenzollernów kapitalizm niemiecki.

Tak więc, chociaż w połowie XIX wieku czeskie ośrodki na Śląsku były pod względem liczby ludności kilkakrotnie większe od ośrodka zelowskiego, to jednak przestały utwierdzać poczucie odrębności etnicznej, odrębność ta zaczęła się właśnie wyostrzać w Zelowie. W sprawozdaniu szkolnym za rok 1860 ks. Mozes stwierdza:

Jan Wesołowski nie dał się uczyć w polskim [...]. Dzieci uczęszczające do szkoły w upłynnionym roku szkolnym zaniedbywały nauki w języku polskim twierdząc, że im rodzice uczyć się czytać i pisać w polskim języku zakazują. Istotnie było kilka ojców familii, którzy nauczycielowi religijnemu polecili, żeby ich dzieci polskiego języka nie uczył. Wypada koniecznie, żeby wyższa władza wkroczyła w to i wydała polecenie pod zagrożeniem kary, ażeby w szkole religijnej w Zelowie dzieci i polskiego języka pouczane były, ponieważ zrodzone są i żyć chcą w Polsce, a zatem ten język dla nich nieodzownie konieczny, zwłaszcza gdy i nauka religijna nie w innym, jak w polskim języku onymże wykładaną

bywa, i jak się spodziewać należy i nadal w tymże języku wykładaną będzie tak w kościele jak i przy katechizacji.

Dziwnym się wydaje ten „antypolski strajk szkolny" z 1860 roku, gdyż faktycznego wówczas inspektora szkolnego, ks. Mozesa, trudno posądzić o prowokacyjne w tym względzie tendencje. Jego racje przekreślone zresztą zostały wkrótce, gdy po stłumieniu powstania styczniowego rozpoczęła się rusyfikacja szkolnictwa — nie ominęła ona również — po zeświecczeniu i upaństwowieniu szkoły w 1875 roku — Zelowa.

I tu dochodzimy do ciekawych wniosków. Wprawdzie pod koniec XIX wieku po zaprowadzeniu targów Zelów przestał być wyłącznie osadą czeską, wprawdzie osiedliło się w nim sporo Żydów, Polaków i Niemców, mimo to Czesi zachowali nadal swoją odrębność etniczną, nawet wówczas, gdy część z nich przeszła do baptystów, część zaś do wolnego kościoła reformowanego. Mimo tej zwartości i wierności etnicznej zelowscy Czesi o ile wiem nie spieszyli z pomocą w tym względzie swym krewnym, którzy na pruskim Śląsku musieli walczyć z germanizacją. I w końcu jej — generalnie rzecz biorąc — ulegli.

No, ale to szersze zagadnienie, jako że już w 1875 roku ukazała się w Pradze broszura zwracająca uwagę społeczeństwa czeskiego na sytuację potomków Braci Czeskich na Śląsku słowami: „oni wegetują, nie żyją". Czytałem późniejsze prace na ten temat (Mičana, Auerhana, Kubina), niektóre z nich zaimponowały mi bogactwem materiału, ale nie znalazłem w nich pełnej odpowiedzi na pytanie: dlaczego ulegli jednak germanizacji?

Mam nadzieję, że nie weźmie mi Pan Doktor za złe tak wielkiej epistoły, ale niestety w Pradze nie zdążyliśmy się wygadać na zelowskie tematy, a poza tym nie miałem tam pod ręką swoich notatek.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku, dla Pani ukłony.

List dwudziesty dziewiąty

Wielebny Księże Pastorze,

proszę wybaczyć, że odpisuję dopiero teraz, ale list Ks. Pastora przyszedł, gdy byłem w Czechach, naturalnie „po linii Zelowa". Swoje wrażenia pozwolę sobie opisać przy okazji spotkania się w Łodzi, obecnie zaś odpisuję na list.

Postać Karola Kulhawego należy na pewno do najciekawszych w historii Zelowa. O ile naturalnie myślimy o tym samym człowieku. Bo „zgodnie ze zwyczajem", było w Zelowie kilku Karolów Kulhawych. Ten, który zwrócił moją uwagę i o którego — jeśli się nie mylę — pyta Ks. Pastor w swoim liście, urodził się w Czerminie pod Sycowem 2 kwietnia 1820 roku w rodzinie Macieja i Joanny z Niewieczerzałów. Tam też od szóstego do piętnastego roku życia chodził do szkoły, a po konfirmacji uczył się stolarstwa, młynarstwa, rolnictwa i tkactwa. Był widać pracowity, skoro mając 23 lata okupił się w Faustynowie, który właśnie dwa lata wcześniej, w 1841 roku, założony został na porębie leśnej przez Czechów i częściowo Polaków.

Nowa osada potrzebowała kantora i nauczyciela. Po chlubnym zdaniu egzaminu u ks. Mozesa i po trzech latach praktyki w Faustynowie Kulhawy okazał się godny przeniesienia do Kucowa, gdzie — z powodu dużego oddalenia od Warszawy, skąd dojeżdżał ks. Cerawski — potrzebny był kantor w pełni odpowiedzialny, taki, któremu można było zawierzyć dużą samodzielność. Ks. Cerawski (a od 1856 roku ks. Mozes) przyjeżdżał więc dla udzielania ślubów, przeprowadzania konfirmacji, odprawienia solennych nabożeństw, ale ktoś musiał doraźnie chrzcić (zwłaszcza słabe dzieci) i odprowadzać zmarłych na wieczny spoczynek... A w latach 1856—1865 urodziło się w Kucowie 156 dzieci, zmarło zaś 87 osób.

Kantor i nauczyciel Karol Kulhawy szybko zdobył sobie zaufanie ks. Mozesa. Już w 1857 roku pisał on:

...z całym poświęceniem zajmuje się obowiązkami kantora i nauczyciela religijnego i prowadzi naukę nie tylko z dziećmi do wieczora, ale i z dorosłymi, którzy do niego w środę, sobotę i niedzielę nad wieczorem zbierają się dla dokładniejszego obznajmienia się z pismem świętym i całą nauką religii chrześcijańskiej, a że z szczupłej swej pensji, z której opłaca kosztownego najemnika do gruntu utrzymać się nie może, zatem dla zarobienia jakiego grosza po nocach pracuje nad warsztatem tkackim. Takie życie przechodzące siły człowieka, nie mały i szkodliwy wpływ wywiera na jego zdrowie. Oświadczył przeto członkom filiału Kuczew, że okoliczności wyżej powołane zmuszają go podziękować z obowiązków, podać się o uwolnienie i wrócić do Faustynowa, gdzie ma chałupę i cokolwiek gruntu, aby mógł spokojnie, nie będąc nikomu odpowiedzialnym, pracować dla siebie i swojej rodziny. Po tem oświadczeniu większa część słuchaczów dała się do płaczu. Starałem się przemawiać go, żeby jeszcze był cierpliwy, że Konsystorz dobrze z nim i z całym filiałem myśli, że wkrótce przy pomocy Bożej obecne nieprzyjemności dadzą się uchylić.

Karol Kulhawy zgodził się zostać, a ks. Mozes — jako inspektor szkolny — wpisywał do sprawozdania co roku taką ocenę: „nauczyciel dokłada wzorowej pilności i prowadzi się najmoralniej". Nie wiem, czy dałoby się znaleźć w sprawozdaniach ks. Mozesa większe superlatywy.

Dopiero w 1863 roku słowo „najmoralniej" zostaje zamienione na „wzorowo". Opinia jednak znakomita w dalszym ciągu — któż z nas dziś nie chciałby się prowadzić wzorowo?

Ta zmiana przysłówka nie była jednak bez kozery. Ks. Mozes zaczął zdaje się powoli dochodzić do wniosku, że ten Kulhawy... No, ale niech przemawiają fakty. W maju 1862 roku Kulhawy złożył prośbę o zwolnienie, motywując ten krok koniecznością większego zadbania o dom i zdrowie skarżąc się na niskie i nieregularnie wypłacane wynagrodzenie. Istotnie — 25 rubli rocznie, 5 sążni drzewa, 3 korce żyta i 6 mórg do uprawy — to nie było dużo. Gdy jednak konsystorz postanowił podnieść mu pensję, Kulhawy we wrześniu najpokorniej podziękował za to wyróżnienie, twierdząc zarazem, że na nie nigdy nie liczył, albowiem zawsze pracował ku większej chwale Boga. No i... po kilku miesiącach znów złożył wymówienie, a w 1864 roku chyba już po raz czwarty:

Wiadomo JPanu Pastorowi, ale daleko więcej Bogu niebieskiemu, że od roku 1850, dnia 15 Października jestem w tej służbie a to nie ze sławy szukania jakiej od świata, ani korzyści dóbr cielesnych, ale tylko dóbr dla sławy braciom swoim Ewangelicko--Reformowanym, aby poznać mogli prawdę, sprawiedliwych sądu Boga naszego; ale z tem wszystkim jestem tylko wyśmiany od każdego, jeżeli nie w oczy, to tak jak prorok Ezechiel w rozdziale 33 od wiersza 30 do 33, to tylko stawię za najgłówniejszą przyczynę, z której się staram o dymisję. Pokorny sługa Karol Kulhawy.

Po liście z lutego — list z maja 1864 roku:

Szanowny Panie Pastor! Jeszcze raz odzywam się z prośbą moją [...]. Ponieważ ja w żaden sposób zostawiać w tej służbie nie będę a żebym i przyobiecał się pozostać w ten moment znowu jestem tak zniepokojony, aż mi się żywot uprzykrza a śmierć mi jest słodszą. Dlatego Jeżeli już Wny Pan Pastor kiedy zakosztował boleści Ducha, które idą nad boleści ciała, proszę więc przyjąć w takim razie prośbę moją, albowiem żebym tym służył Bogu, to bym to sobie umiał jako osładzać, ale wydzę, że to nie jest wolą Bożą, aby człowiek na ziemi tylko próżnował a z głodu umierał, ale pracował. A ja na tem stanowisku jestem co próżnujący, a głód mam służyć w dobrem Bogu i ludziom, ale nie koniecznie w Kucowie, a Jeżeli tego JPan Pastor ztrzyma, ja od tęsknoty ducha będą podobny ludziom umarłym, a ani dla Kuczewa, ani dla innych ludzi nie będę korzystnym, tylko chlebem moim będzie ból duszy. Mój Kochany Ojcze Duchowny! jako oślica Baałamowi nie miała tego zwyczaju robyć, tak ani ja; ale teraz się dam być, chocz więcej niżeli trzy razy a będę przecież jedno mówił iż pragnę uwolnienia od służby kuczewskiej ani tego niech niepomyśla Pan Pastor żebym się uspokoił w duchu, żebym miał większą pensję, jam się przekonał o duchu swoim że nic tylko moment trwa taki pokój we mnie a znowu całkiem gwałtem mie to ból sprawia a wolności duch mój sobie pragnie.

Boże bądź miłościw duchu memu! i Pana Pastora o miłość proszę.

Pokorny sługa Karol Kulhawy.

Z lipca tegoż roku:

Kuczew, dnia 15 Lipca 1864

Szanownemu Xiędzu, Panu Łaskawemu!
życzę zdrowia, i Pani oraz też pannie Ewci. Ja dzięki Bogu z mojemi domowemi jesteśmy zdrowemi, na widok ludzi, a ani nam najmniejszej rzeczy nie braknie. Ale jednak co się tyczy mojej postaci więdne na zdrowiu co dzień, jestem bardzo utrapionym w duchu swoim. Lata moje przependziłem w Kuczewie podług świata mówiąc marnie, ale podług Boga wiernie. A teraz się przybliża moje się oddalenie ze Służby, a ja nic pewnego nie wiem czy będę wolnym, lub nie będę. Lękam się tego, jeżeli mnie Pan Pastor by miał długo o tem niedonieść, przeto ja będę jeszcze więcej w nędze wsunięty, której już mi się widzi by za dosyć. Przetoż niech się serce Pańskie nie odwraca ode mnie, jakobym co lekko miślnie wziął w swoje miśli, albowiem, że mię żaden wierzyć nie chce, mógłbym się to i Państwa za występek widzieć przy mnie. [...] Najcięższe a jako ze wszystkich sił mię z służby tej wypychające jest nierozumność rodziców, którą mają do swoich dziatek, a i ku mnie ich dobroczyńcy, bo turbują dzieci i mię zdrowie odbierają tem; albowiem ja dokładam wszystkie siły, ażebym mógł w postęp dzieci przyprowadzać, ale rodzice mają zawsze jakie wybiegi, dla których nie mogą dzieci przysyłać do szkoły, jeżeli przyjdzie raz, dziesięć razy nie i więcej. Przetoż już ani mądrości ani cierpliwości nie mam to wszystko znoszyć, a osobliwie kiedy potem mam słyszeć posyłałem do szkoły. Miałbym jeszcze pisać wiele, ale mądry Salomon miał w przysłowiu swoim że i błaźń za mądrego bywa uznany, kiedy milczy.

Ostatnia prośba Karola Kulhawego o zwolnienie ze stanowiska kantora pochodzi z dnia 3 września 1866 roku:

Ja niżej podpisany Kantor w Kuczewie proszę o uwolnienie najprzód Boga którego rządzeniem się to ze mną dzieje, potem WJX Pastora Parafii Zelowskiej, oraz Wysoki Konsystorz Ewangelicko-Reformowany w Królestwie Polskim Warszawie, aby mnie mojej prośbie nie odrzucano jako nieważnej, którą jako z Głębi Piekła wołać muszę a nie dochodzi do usz Wyższych Władz, ani porusza sercem nad utrapionem, chociaż wiem iż mię Bóg wolnem czyni tych niewdzięcznych ludzi, którzy się mię za dobre moje a zwątlałe siły pokpieństwem oddawają, a Pan Pastor pragnie abym dali w takiem więzieniu był, czegoż ufam nieda Pan Bóg, bo on kocha każdego a nie tylko Kuczewian.

Ginie wzrok, słuch, zdrowie, idzie starość lat moich a wchodzi nędza w dom mój każdem oknem i drzwiami, a Pan Pastor mówi zostań w Kuczewie, a oni nienawydzą mię nienawyścią jadowytą, jeżeliż to nie jest dosyć że pragnę bydź wolnym? Cóż mam pisać innego? Jak to co wiem iż każden proszący dojść może, ja jestem winien, że tego pragnę. Tylko wolność! o wolność! o wolność! do Boga i Ludzi odsyłam głos mój niech mi jest dana od Kuczewian.

Nie pomogły perswazje kolegium kościelnego, Kulhawy stanowczo odpowiada, że „gdyby nawet sam Anioł, z nieba do mnie przemówił, to prośbie waszej zadość uczynić nie mogę i nawet za postąpieniem Zp. 1000 w obowiązku tem nie pozostanę".

I tak oto cztery tygodnie później kolegium w Kucowie ogłasza wybory nowego Kantora, właściwie plebiscyt. Na czternastu obecnych czternastu oddaje głos na Karola Kulhawego, ani jeden nie głosuje na kontrkandydata Tomesza. Nie jest to jednak klęska Tomesza, raczej próba przekonania Kulhawego, że cieszy się pełnym zaufaniem kucowskiej społeczności.

Jeśli zebranie z początku października 1866 roku było pomysłem ks. Mozesa, to okazało się wkrótce, że doświadczony pasterz tym razem omylił się. Kulhawy wycofał wprawdzie swe rezygnacje i został w Kucowie, ale...

Już w 1877 roku nie było innego wyjścia — trzeba było zgodzić się na zwolnienie. Jego miejsce zajął Karol Słama z Poździenic (otrzymał lepsze warunki, ale i on po trzech latach postanowił opuścić Kuców). Wolny nareszcie Karol Kulhawy nabył 27 mórg ziemi w pobliskich Łuszczanowicach. Stamtąd w październiku 1868 roku, już jako gospodarz, odpowiada na jakieś pismo kolegium kościelnego — krótko, a mimo to mętnie, tylko zakończenie jasne, olśniewająco jasne:

...Religii z wami jednakowej nie jestem. Koniec. Karol Kulhawy.

Choć dictum było acerbum ks. Mozes stara się bronić Kulhawego w liście do członków kolegium kościelnego:

...proszę, aby cokolwiek cierpliwymi byli, nieunaginali się w niczym, Karola Kulhawego pominęli a polegając na szacunku dobrze myślących współwyznawców swoich o chwałę Bożą i duszne dobro współbraci i nadal pieczę i starania mieli. Pan Bóg pomoże i wyprostuje wszystko ku chwale swojej i nas wszystkich pociesze.

Wielebnemu WPanu Pastorowi odpowiedź od Karola Kulhawego z Łuszczanowic na zapytanie z dnia 10 lutego 1869 na No 24.

Niech będzie Wielebny X. łaskawy zajrzeć w Registr komunikujących a się przekona, że jako Reformowany nieznajdowałem się już od dnia 14 Października 1866 r. przetoż nie wiem jaką pretensję kościelni Filiału Kuczew mogli zrobić sobie odemnie, że mnie w moim domostwie w pokojności z ludźmi żyjącego ciągle prześladują.

[...]

Doszło do tego, że się W Xiądz musiał doznać jak sam niegodziwie ze mną postępował a jeszcze dali postępuje. Ponieważ to prawda jest, że W Xiądz kazał siać i kościelnych namawiał, aby dozwolone było siać [...]

Zarzuciwszy pastorowi, że w swoim czasie kłamał, Karol Kulhawy ciągnie:

...Ponieważ kto swoje uchylenie zapiera a tego niewynowatego stroi się wynowatym zrobić, ma w sobie jeszcze coś więcej niżeli kłamstwo. [...] Ma W Xiądz gorzką zawiść a kłamie przeciwko prawdzie. [...] To samo, że jestem Dziecię Boże, a Syn Pokoju nie skarżę się tylko temu Ojcu Niebieskiemu co mi ubliżają a za oszusta najgorszego wyzywają. Wiem dobrze, że on wie, że nie jestem żadnym oszustem, ale sprawiedliwym dziecięciem w Chrystusie. [...]

Jeżeli przyjęte od mnie pozdrowienia
to pozdrawiam

Karol Kulhawy

Ks. Mozes znalazł się w położeniu wielce kłopotliwym. W maju 1869 roku musiał zawiadomić oficjalnie konsystorz, że Karol Kulhawy przeszedł do anabaptystów „exystujących" w Kurówku, że odprawia w swoim domu w Łuszczanowicach nabożeństwa, na które przychodzą z Kucowa trzy rodziny — Jana Pośpiecha (Pospiszyła), Pawła Tomesza i Jana Konteckiego oraz, że w filiale kucowskim powstało z tego powodu zamieszanie i „rozerwania obawiać się należy". Mija kilka miesięcy, baptysta Kulhawy zdobywa sobie dalszych zwolenników w Faustynowie, i odprawia nabożeństwa według nowego obrządku w podzelowskich Pożdżenicach, w samym zaś Zelowie już 21 listopada 1869 roku, gdy Karol Libał przyjeżdża specjalnie po niego własną furmanką. A już 5 grudnia tego roku odbywa się następne...

Wezwany przez pastora wójt Rajchert melduje w grudniu: na 2009 mieszkańców Zelowa, Ignacowa, Weroniki i Nowej Woli jest tylko 13 baptystów. Ale w lutym następnego roku stwierdza, że ich grono powiększyło się o Karola Jersaka z rodziną, Karola Dedecjusza, zięcia Samuela Pośpiecha (Pospiszyła) z rodziną, Franciszka Dedecjusza z rodziną, Macieja Jersaka z rodziną, Karola Pośpiecha (Pospiszyła) z Ignacowa także z rodziną. „Oprócz powyższych — dodaje — jest wiele innych osób, ale nie występują otwarcie, bo nie są ochrzczeni".

Śmierć ks. Mozesa i wakat na stanowisku pastora przyczyniły się niewątpliwie do umocnienia pozycji baptystów w Zelowie. W 1878 roku został baptystą również członek kolegium kościelnego w Kucowie, Józef Niemeczek, pociągając za sobą kolejną, liczną grupę osób i wywołując tym zaniepokojenie konsystorza w Warszawie.

W 1881 roku na czele zelowskich baptystów stanął Karol Jersak, który podobno już w 1866 roku usłyszawszy w Kurówku głośne śpiewy tamtejszych baptystów-Niemców został przez nich w 1870 roku jako pierwszy — razem z Kulhawym i Dedecjuszem — ochrzczony ponownie (zgodnie z poglądami baptystów prawidłowo, bo już jako dorosły i świadomy człowiek). Gdy w 1882 roku gmina zelowskich baptystów powiększyła się o dalszych 60 osób, postanowili zbudować razem z Niemcami wspólny dom modlitwy. W cztery lata potem baptyści zelowscy usamodzielnili się jako gmina wyznaniowa, kierowana już wówczas przez wyszkolonego w Hamburgu J. Harta. W 1891 roku stanął na jej czele Jan Pospiszył a w parę lat potem zbudowano nowy dom modlitwy, pomimo braku zezwolenia władz. Dokonano tego chytrze, okładając stare drewniane ściany cegłami, a stary dach nakrywając nowym. Pewnej nocy rozebrano tylko to, co znalazło się wewnątrz...

Dzięki staraniom Jana Pospiszyła wydrukowany został (podobno w samym Zelowie, ja jednak z dowodami na istnienie tu w owym czasie drukarni nie zetknąłem się) zbiór pieśni religijnych *Harfa Sionská*, przetłumaczony z niemieckiego przez Jana Tuczka. Możliwe, że tłumaczem był ten sam Tuczek, tkacz z Pożdżenic, któremu zelowska gmina ewangelicko-reformowana wytoczyła w 1883 roku proces o bluźnierstwo (Tuczek został uniewinniony, ponieważ sąd doszedł do wniosku, że jego wypowiedź na temat chrztu nie miała znamion przestępstwa).

Wróćmy jednak do Karola Kulhawego. Po 1867 roku Kulhawy trudnił się wszystkimi rzemiosłami, które poznał za czasów swej młodości w Czerminie. Poza tym był również wójtem w Kucowie. W 1870 roku zgłosił wprawdzie przyjście na świat swego nowego dziecka, ale nie pozwolił na jego chrzest. Potem jednak... wrócił do kościoła ewangelicko-reformowanego, a wraz z nim wróciła do zboru część dawnych parafian.

W 1881 roku, a więc w wieku 61 lat, kandydował Kulhawy ponownie na stanowisko kantora w Kucowie, ale Konsystorz pamiętając wieloletnie swe z nim kłopoty mianował go jedynie pełniącym obowiązki kantora. W parę lat później powstała przedziwna sytuacja, w której syn Karola Kulhawego, Józef, został zastępcą p.o. kantora... Ta sytuacja spowodowana została chęcią ominięcia przepisów stawiających przed nauczycielami religii twardy warunek zdania egzaminu ze znajomości języka rosyjskiego. Obaj Kulhawi nie byli w stanie tego uczynić, a gmina nie mogła znaleźć innych kandydatów! W 1887 roku okazało się ostatecznie, że Józef Kulhawy nie złożył i nie złoży egzaminu z języka rosyjskiego. Zginęło wówczas nazwisko Kulhawych ze spisów parafian kucowskich.

Prawdopodobnie Karol Kulhawy powrócił do Faustynowa, w którym się dokładnie przed czterdziestu laty okupił i rozpoczął swą niezwykłą drogę życiową kantora i nauczyciela. W archiwum zelowskim jest kwit z 8 lipca 1890 roku,

w którym siedemdziesięcioletni Karol Kulhawy potwierdza odbiór jedenastu rubli i dwudziestu pięciu kopiejek „jako płacę kantora w Faustynowie Etatem Zboru Zelowskiego Wyznaczoną za pierwsze półrocze roku 1890". Zachowała się także ostatnia, tym razem naprawdę ostatnia prośba Karola Kulhawego o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska, którą w całości przytaczam:

Do Wielebnego Imci Xiędza
i Administratora Parafii Zelowskiej
Prośba
od Karola Kulhawego, kantora
w kolonii Faustynowie
z dnia 11/23 Maja 1893 roku

Ja niżej podpisany kantor Karol Kulhawy Proszę o łaskawe przyjęcie mojej prośby i o przedstawienie takowej Wysokiemu Konsystorzu Ewangelicko-Reformowanemu w Królestwie Polskim w Warszawie, o zwolnienie mnie od służby i obowiązku kantora w kolonii Faustynowie, a to z przyczyny słabości zdrowia mojego, które wydze że co raz więcej nie tylko wewnątrz ale i zewnątrz się schyla ku końcu 73 letniemu starcu.

Ufam odnieść pomyślnego skutku
Pokorny sługa Karol Kulhawy.

Tyle archiwum. A co z ludźmi? Co z tradycjami rodzinnymi? Nie spotkałem dotychczas ani wnuków ani prawnuków Karola. Możliwe, że wyjechali do Czech, a ja w Czechach byłem tylko kilka dni. Mówi się trudno.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

List trzydziesty

Vážená Paní Doktoře,

skoro rozmawiając w Czeskiej Akademii Nauk doszliśmy do porozumienia, chociaż Pani mówiła po czesku a ja po polsku, mam nadzieję, że również mój list będzie dla Pani zrozumiały, choć tylko zaczyna się po czesku (oby bez błędu!).

Zgodnie z Pani życzeniem przeszukałem Kolberga, ale

Dzięki staraniom Jana Pospiszyła wydrukowany został (podobno w samym Zelowie, ja jednak z dowodami na istnienie tu w owym czasie drukarni nie zetknąłem się) zbiór pieśni religijnych *Harfa Sionská,* przetłumaczony z niemieckiego przez Jana Tuczka. Możliwe, że tłumaczem był ten sam Tuczek, tkacz z Pożdżenic, któremu zelowska gmina ewangelicko-reformowana wytoczyła w 1883 roku proces o bluźnierstwo (Tuczek został uniewinniony, ponieważ sąd doszedł do wniosku, że jego wypowiedź na temat chrztu nie miała znamion przestępstwa).

Wróćmy jednak do Karola Kulhawego. Po 1867 roku Kulhawy trudnił się wszystkimi rzemiosłami, które poznał za czasów swej młodości w Czerminie. Poza tym był również wójtem w Kucowie. W 1870 roku zgłosił wprawdzie przyjście na świat swego nowego dziecka, ale nie pozwolił na jego chrzest. Potem jednak... wrócił do kościoła ewangelicko-reformowanego, a wraz z nim wróciła do zboru część dawnych parafian.

W 1881 roku, a więc w wieku 61 lat, kandydował Kulhawy ponownie na stanowisko kantora w Kucowie, ale Konsystorz pamiętając wieloletnie swe z nim kłopoty mianował go jedynie pełniącym obowiązki kantora. W parę lat później powstała przedziwna sytuacja, w której syn Karola Kulhawego, Józef, został zastępcą p.o. kantora... Ta sytuacja spowodowana została chęcią ominięcia przepisów stawiających przed nauczycielami religii twardy warunek zdania egzaminu ze znajomości języka rosyjskiego. Obaj Kulhawi nie byli w stanie tego uczynić, a gmina nie mogła znaleźć innych kandydatów! W 1887 roku okazało się ostatecznie, że Józef Kulhawy nie złożył i nie złoży egzaminu z języka rosyjskiego. Zginęło wówczas nazwisko Kulhawych ze spisów parafian kucowskich.

Prawdopodobnie Karol Kulhawy powrócił do Faustynowa, w którym się dokładnie przed czterdziestu laty okupił i rozpoczął swą niezwykłą drogę życiową kantora i nauczyciela. W archiwum zelowskim jest kwit z 8 lipca 1890 roku,

w którym siedemdziesięcioletni Karol Kulhawy potwierdza odbiór jedenastu rubli i dwudziestu pięciu kopiejek „jako płacę kantora w Faustynowie Etatem Zboru Zelowskiego Wyznaczoną za pierwsze półrocze roku 1890". Zachowała się także ostatnia, tym razem naprawdę ostatnia prośba Karola Kulhawego o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska, którą w całości przytaczam:

Do Wielebnego Imci Xiędza
i Administratora Parafii Zelowskiej
Prośba
od Karola Kulhawego, kantora
w kolonii Faustynowie
z dnia 11/23 Maja 1893 roku

Ja niżej podpisany kantor Karol Kulhawy Proszę o łaskawe przyjęcie mojej prośby i o przedstawienie takowej Wysokiemu Konsystorzu Ewangelicko-Reformowanemu w Królestwie Polskim w Warszawie, o zwolnienie mnie od służby i obowiązku kantora w kolonii Faustynowie, a to z przyczyny słabości zdrowia mojego, które wydze że co raz więcej nie tylko wewnątrz ale i zewnątrz się schyla ku końcu 73 letniemu starcu.

Ufam odnieść pomyślnego skutku
Pokorny sługa Karol Kulhawy.

Tyle archiwum. A co z ludźmi? Co z tradycjami rodzinnymi? Nie spotkałem dotychczas ani wnuków ani prawnuków Karola. Możliwe, że wyjechali do Czech, a ja w Czechach byłem tylko kilka dni. Mówi się trudno.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

List trzydziesty

Vážená Paní Doktoře,

skoro rozmawiając w Czeskiej Akademii Nauk doszliśmy do porozumienia, chociaż Pani mówiła po czesku a ja po polsku, mam nadzieję, że również mój list będzie dla Pani zrozumiały, choć tylko zaczyna się po czesku (oby bez błędu!).

Zgodnie z Pani życzeniem przeszukałem Kolberga, ale

nie znalazłem w nim ani słowa o zelowskich Czechach. Podobnie Ignacja Piątkowska w swych pracach drukowanych w „Wiśle", a poświęconych ziemi sieradzkiej, nie dostrzega ich istnienia. J. Szaniawski w „Bibliotece Warszawskiej" w 1851 roku pisze, że w sieradzkim są tylko Polacy, Niemcy, Żydzi i Cyganie... Tak więc Pani praca o zwyczajach i obyczajach zelowskich jest pierwszym, naukowym opracowaniem tego tematu. Wydaje mi się jednak, że nie można poprzestać na ich zarejestrowaniu i opisaniu, koniecznym wydaje mi się zorganizowanie w Zelowie czeskiego muzeum regionalnego. Napisałem już na ten temat artykuł, który posłałem do „Tygodnika Kulturalnego".

Uważam, że w takim muzeum powinny się znaleźć stare kołowrotki (parę archaicznych okazów ściągnięto dla mnie ze strychów w Zelowie, abym mógł je sfotografować), najstarszy typ warsztatu tkackiego, pluszowe kapy, które przed pierwszą wojną światową były specjalnością zelowskich chałupników, oraz czepce, noszone do dziś w Zelowie przez starsze kobiety, ale głównie przez Polki.

Wracając do czeskich czepków noszonych dziś przez Polki — okazuje się, że te, które mi pokazano, różnią się znacznie od tych, które znalazłem na starych zdjęciach (również nagrobkowych), wobec tego nasuwa się wniosek, że czepki przywiezione ze Śląska w okresie „przedfotograficznym" musiały się od nich różnić. Warto byłoby chyba pokusić się o fachowe opracowanie tego tematu zwłaszcza, że zgodnie z polskim powiedzeniem „szewc bez butów chodzi", zelowscy tkacze nie wyróżniali się swym ubiorem. A może jednak? Ludzka pamięć sięga w takich przypadkach zaledwie kilkadziesiąt lat wstecz, a więc w okresie, gdy w Zelowie byli tylko Czesi, mogła jednak istnieć jakaś odrębność w tym względzie.

W muzeum widziałbym ponadto stare czeskie książki, reprodukcje najciekawszych dokumentów archiwalnych (np. mapy okolic Zelowa wykonane przez ks. Mozesa) i w ogóle dużo zdjęć powiększonych przez dobrego fotografa, gdyż

te pocztówki, które się zachowały mogą być oglądane wyłącznie z małej odległości. Większym grupom zwiedzającym to muzeum można by odtwarzać z taśmy magnetofonowej śpiewane niegdyś w Zelowie ludowe piosenki czeskie. Jaka szkoda, że nie zostały niegdyś nagrane na płytę gramofonową śpiewy słynnego zelowskiego chóru. Ba, ale w owych „dawnych, dobrych czasach" nikomu coś takiego nie wpadło do głowy z bardzo prostego powodu: kto by za to chciał płacić? Kogo by zresztą było stać na taką zabawę?

Nie wątpię, że zarówno Pani, jako „rzeczniczka Zelowa" w Czeskiej Akademii Nauk, jak i wielu zelowian mieszkających dziś w Czechosłowacji pomoże w urządzeniu takiego muzeum, które uczyniłoby z Zelowa „atrakcję turystyczną", a jednocześnie stałoby się symbolem przyjaźni polsko-czeskiej. Cała rzecz więc w tym, czy zelowski oddział Czechosłowackiego Stowarzyszenia Kulturalnego oraz zelowskie i łódzkie władze zechcą zrealizować ten projekt.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku.

List trzydziesty pierwszy

Szanowny Panie Doktorze,

nie przypuszczałem, że tak szybko otrzymam odpowiedź od ks. Trandy z Zelowa, bo wstrzymałbym się z wysłaniem pierwszego listu z opisem demografii zelowskiej w XIX wieku.

Otóż pierwotny napis nad frontalnymi drzwiami kościoła został najpierw... zrusyfikowany (zapewne pod koniec XIX wieku) a w 1924 roku, na żądanie władz polskich, zastąpiony nowym: „Nemylme se, Buh nebude oklaman, nebo cožkoli rozsival by člověk tot' bude žiti. Ep. sv Pavla k. Gal. K. 6. V. 7."

A oto *Pieśń główna, czyli śpiewać się mająca po Modlitwie lub Przemowie* ułożona przez ks. Głowackiego z okazji poświęcenia kościoła zelowskiego w 1825 roku:

O radości nad radości! Bóg nasz i Ojciec wieczności, wielce nas umiłował. Kościół imieniowi swemu wystawił przenayświętszemu i nas nim udarował. Sławcie, prawcie Bóg iest wielki, żywioł wszelki niech go chwali, czciycie go wielcy i mali.

Osobliwie wy Czechowie, co dufacie w iego słowie, i na nim spolegacie. Raduycie się, bo widzicie, że nas wspomógł należycie, gdy dom chwały iego macie. Każdy zawdy tu mu służyć i wynurzyć swe żądności może przed Bogiem litości.

Gdzie dawniey tylko swawola była, teraz wola Boska iawnie się opowiada. Brzmią pienia Boga chwalące, ducha ku niebu wznoszące, ustała potwarz, zwada, Bóg dał, zesłał nam dobrego, laskawego i zacnego Króla i Pana Naszego.

Alexander iego imię, co po wszystkich krajach słynie. On Polskę uszczęśliwia, bo gruntuie w niéy pobożność Boga i bliźniego miłość. Przykładem swym obżywiał, przeto, gdy to postrzegamy zostawamy tem wzruszeni i do cnoty pobudzeni.

I to mieysce Boskiej chwały, którem nas nieba nadały, za iego łaską mamy. On nam ze skarbu swojego udzielił do dzieła tego pomocy, przeto znamy wielkość, zacność łaski jego, szanownego i dobrego, Króla od nas kochanego.

Wołamy zatém do ciebie, oycze święty, któryś w niebie. Błogosław Boże twego pomazańca, i udzielay mu łaski twéy w dobrem wspieray, ochraniay od złego. Prowadź, prowadź go we wszelkiem szczęściu wielkiem, w setne lata, we wszelkiej sławie u świata.

Nagródź Boże i Rządowi, Oświecenia Ministrowi, i wszystkim Przełożonym ich staranie o Twą chwałę, a dayim pociechy trwałe mieć w dziele ukończoném. Tyś Pan spraw nam, aby Twego, przyiemnego i wdzięcznego słuchano słowa świętego.

Przypadek sprawił, że stulecie zbudowania kościoła uczczone zostało w 1925 roku, również wierszem napisanym jednak nie przez pastora, ale przez znanego już wówczas pisarza (tłumacza i publicystę) Pawła Hulkę-Laskowskiego z Żyrardowa, którego przodkowie pochodzili z Zelowa. Przypuszczam, że Pan Doktor nie zna tego wiersza, więc również go przesyłam:

Jedno za drugim idą pokolenia
i wszelki zda się po nich mija ślad,
a tylko Bóg, co wszystkich zna z imienia
zna też każdego czyn i brzemię lat.

Świat przed nim cały jak rozwarta księga,
widna mu każda z najtajniejszych dróg,
a oko Jego, co skroś wieki sięga,
patrzy na stadko małe swoich sług.
I widzi: oto garść wygnańców mała
idzie, a w oczach drga im gorzka łza;
przemoc im wrogów wszystko odebrała
i w obcy świat ich na tułaczkę gna.
Idą samotni, smutni, opuszczeni,
jak wichrem z drzewa oderwany liść.
W duszach łka żałość, świat jest pełen cieni,
a skroś te mroczne cienie trzeba iść...
Ostatnia gorzka łza w milczeniu spłynie,
na ich ojczyzny pokonanej łan...
Zaliż ich Bóg opuści w tej godzinie?
Zaliż ich smutkom pozostawi Pan?
Idą wygnani spod ojczystej strzechy,
ojczyznę wydarł im skrwawiony miecz,
i nikt nie rzucił im słowa pociechy,
gdy załzawionym okiem patrzą wstecz.
Obcego świata pustka ich przestrasza
i śmiechem ściga ich zwycięski wróg...
Wtem pieśń się ozwie: Bóg ucieczka nasza!
Któż przeciw nam, gdy z nami Wielki Bóg?!
W duszę wstępuje wiara i otucha,
serce nadzieją słodką tknięte drży,
że Bóg wołania dzieci swych wysłucha
i po dniach smutku da wesela dni.
Przed okiem jego wieki mkną jak chwile,
ból pierzcha przed nim, jak przed słońcem cień,
słaby okrzepnie w Jego boskiej sile
i wieczne trwanie ma, kto wierzy weń.
Jakże są dziwne drogi Twoje, Boże!
Oto wygnańców osuszyłeś łzy,
otoś zjednoczył ich w miłości zborze
i znów im słońce łaski Twojej lśni.
Ty obdarzyłeś siłą słabe ręce,
Ty swym obliczem zajaśniałeś nam,
gdyśmy za wielką miłość Twą w podzięce
tam budowali Tobie święty chram.
Niechże Ci będzie wieczna cześć i chwała,
żeś był wygnańcom jak warowny gród,

że gdy ich wraża moc pochłonąć chciała,
Tyś ich z niewoli domu w wolność wiódł.
Niechaj się, Panie, święci Imię Twoje
we wszystkich sercach i po wszystkie dni,
iżeś zwycięstwem koronował boje,
żeś opuszczonych nie opuścił Ty!

Wiersz Hulki-Laskowskiego jest bez porównania lepszym prezentem jubileuszowym niż inaugurujący wiersz ks. Głowackiego — ale tylko pod względem formalnym, bo lojalność wiernopoddańczą zamieniał w martyrologiczny zaułek, w jaki w XIX wieku weszli zelowscy Czesi. Angażując się na płaszczyźnie politycznej po stronie PPS wolał Hulka-Laskowski nie uczestniczyć osobiście w religijnej uroczystości, posłał jedynie depeszę i ów wiersz, który moim zdaniem był takim samym błędem i wypaczeniem, jak polski romantyczny mesjanizm, głoszony przez Towiańskiego i Mickiewicza. Nie jestem pewien, czy Pan Doktor zgodzi się pod tym względem ze mną, gdyż zauważyłem, że poglądy wyrażone wierszem przez Hulkę-Laskowskiego są do dziś wyznawane przez wielu zelowian, również przez tych, którzy w 1945 roku wrócili do ojczyzny opuszczonej przez przodków. W tym właśnie sęk: opuścili, czy zostali wygnani? A może: zmuszeni byli opuścić? Jeśliby przyjąć tę najbardziej mi odpowiadającą formułkę, to koniecznym stanie się dalsze uściślenie pojęć: zmuszeni byli opuścić Czechy przez własne przekonanie, czy też przez kogoś? Uważam, że w większości przypadków w 1741 roku występował ten pierwszy powód. Gdy postępuję tak, a nie inaczej, bo tak każą mi moje przekonania, czyż powinienem czuć się skrzywdzony brakiem tego, z czego w imię pryncypiów zrezygnowałem?

Czekając na zdanie Pana Doktora w tej sprawie łączę wyrazy szacunku, dla Pani ukłony.

List trzydziesty drugi

Wielebny Księże Pastorze,

trudno mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ks. Hugo Sikora po siedmiu latach pobytu w Pstrążnej pod Kudową „byl zbaven úřadu". Wiem tylko, że urodził się w 1837 roku w Greczu, a ożenił się z Katarzyną de Roel po ukończeniu teologii na uniwersytecie wrocławskim. Może, gdyby poszperać w archiwum uniwersyteckim, znalazłoby się coś więcej o jego dzieciństwie i młodości, ja jednak jestem już zmęczony łapaniem nitek w nadziei, że to właśnie ta, a nie inna doprowadzi mnie do czegoś niezwykle ciekawego. Uważam, że wystarczy mi to, co już wiem o ks. Sikorze od chwili jego przyjazdu do Zelowa.

Wybrano go dwustu pięcioma głosami przeciwko trzydziestu pięciu, tak więc po próbnym okresie administrowania nie cieszył się jeszcze pełnym zaufaniem nowych parafian. Został jednak pastorem, chyba głównie dlatego, że nie był Polakiem. Po śmierci ks. Mozesa zborem zelowskim administrował ks. Karol Henkel z Żychlina, parafianie natomiast gorączkowo szukali pastora Czecha. Nie udało im się pozyskać Jana Santručka i Antoniego Lata z Czech, ani też Babowicza z Kobylej Góry w powiecie ostrzeszowskim, tak więc na placu boju pozostał ks. Hugo Sikora...

W Zelowie od samego początku procesował się ks. Sikora z gminą o uposażenie, a właściwie o deputat drzewny, który chciał otrzymywać w naturze i z dostawą do domu a nie w przeliczeniu na gotówkę. Po sześciu latach musiał się wprawdzie pogodzić z propozycjami gminy, zażądał jednak ekwiwalentu za zwózkę. Nie cieszył się zbytnią sympatią parafian, niektórzy (Jan Rajchert, Bogumił Jelonek, Jan Jersak) już w 1872 roku złożyli w konsystorzu prośbę o zabranie go z Zelowa, petycja została jednak załatwiona w Warszawie odmownie. Mimo ich niezbyt miłego przyjęcia ks. Hugo Sikora był pastorem zelowskim do chwili śmierci

(w dniu 1 kwietnia 1887 roku). Na cztery lata przed zgonem otrzymał od władz Królestwa „krzyż złoty na łańcuchu, na piersiach nosić się mający", ale w kilkanaście miesięcy później władze powiatowe wymierzyły mu karę 75 rubli za to, że w dniu urodzin cara siedział w zakrystii, podczas gdy dzieci śpiewały w kościele *Bożе caria chrani* (pieśń ta wprowadzona została do kościoła zelowskiego dopiero w 1866 roku). Kara wydawała się ks. Sikorze zbyt surowa; po apelacji w konsystorzu zapłacił w końcu 50 rubli.

Za czasów kadencji ks. Sikory, w 1879 roku, odrestaurowano kościół głównie dzięki ofiarności kantora Engla, ekspedytora poczty Józefa Gąsiorowskiego i gospodarza Jana Matejki. Wierni zakupili także nowe dzwony, stare zaś, sprowadzone niegdyś przez ks. Mozesa z Turska Wielkiego, przekazane zostały parafii kalwińskiej w Serejach, na południe od Kowna. Nowe dzwony kosztowały gminę 690 rubli i 77 kopiejek, a zrobił je ludwisarz Jan Neugebauer z Ozorkowa. Większy, zabrany przez Niemców w czasie pierwszej wojny światowej, ważył 737 funtów, mniejszy — 377 i pół funta.

Po wyremontowaniu plebanii w 1886 roku trzeba było znowu doprowadzić ją do stanu używalności po pożarze spowodowanym uderzeniem pioruna w 1890 roku. Również w 1886 roku rozebrano starą murowaną dzwonnicę (nowe dzwony zawieszone zostały w wieży kościelnej). Już po śmierci ks. Sikory umieszczono na chórze kościoła nowe organy na jedenaście głosów i strukturę w pięciu kolumnach.

Z akt archiwalnych wynika, że konsystorz cenił sobie ks. Sikorę, jako gorliwego i sumiennego pracownika, natomiast niektórzy parafianie byli zdania, że „ulegał nałogowi" (chyba pijaństwa?) oraz, że „jego kazania nie przemawiały do duszy" (choć mówił je wyłącznie po czesku). Płomiennym mówcą był natomiast ks. Adolf Górawin Garczyński, którego pobyt w Zelowie, jak Ks. Pastorowi wiadomo, skończył się głośnym skandalem. Ks. Garczyński przybył jednak do Zelowa dopiero w 1895 roku, do tego czasu przez siedem lat parafia administrowana była tymczasowo przez dojeżdżających księży — najpierw przez zięcia ks. Mozesa Adolfa Szefera, następnie przez pochodzącego z Czech Fryderyka Jelena. Obaj wymienieni nie godzili się na warunki dyktowane im przez zbór: Szefer nie czuł się na siłach, by nauczyć się w dostatecznym stopniu języka czeskiego, Jelen natomiast nie widział dla siebie w Zelowie przyszłości. Nie udało się też pozyskać dla parafii ks. Semadeniego, który gotów był nauczyć się czeskiego, ale nie chciał zrezygnować ze stałego przebywania w Żychlinie. Natomiast ks. Józef Mandzelewski z Niepokójczyc, podobnie jak Szefer, „nie czuł się na siłach". Konsystorz był wyraźnie niezadowolony z „tak jawnie okazanej (przez zelowian — przyp. mój) niechęci ku Duchownym Ewangelicko-Reformowanym, obecnie urzędującym w kraju".

Z sytuacji, jaka zapanowała w Zelowie korzystali nie tylko baptyści. Na jesieni 1895 r. Włodzimierz Matiatko, właściciel sklepu z bronią i amunicją w Łodzi, przedstawił zborowi życzenie łódzkiego arcybiskupa prawosławnego Flawiana oraz popa Antoniego Rudlewskiego, którzy chcieli przyjechać do Zelowa, aby w dzień św. Szczepana porozmawiać z tamtejszymi chrześcijanami. I choć Matiatko zapewniał w liście, że nie mają zamiaru nawracać zelowian na prawosławie, starsi gminy odpisali, że „Vase laskavé zavitani k nam bylo by marné a neprospěšné (niekorzystne)".

Myślę, że to wewnętrzne osłabienie zboru zelowskiego miało wpływ na przyśpieszenie starań o budowę kościoła w Kucowie. Naturalnie stało się to przede wszystkim w związku z rozwojem „czeskiego Kucowa", a właściwie całego już ośrodka „ze stolicą w Kucowie".

Wydaje mi się, że tylko w Kucowie, Nowym Folwarku, Złobnicy i Aleksandrowie siedzieli Czesi na swoich gospo-

darstwach, w innych wsiach natomiast — byli rzemieślnikami i wyrobnikami mieszkającymi na komornem (Kleszczów, Karolów, Łuszczanowice, Faustynów, Trząs, Huta, Chorzenice, Dziepłocie, Gadki, Jewiec). Z tego co wiemy o Karolu Kulhawym Czesi „okupywali się" również w Łuszczanowicach i Faustynowie, ale zdaje się nie były to trwałe zasiedzenia. Tak czy owak liczba członków filiału stale rosła. Rosła też ilość ziemi w rękach czeskich, zatrzymując się w latach 1867—1872 na 1179 morgach. Charakterystyczne przy tym, że powiększyła się znacznie grupa bogaczy i komorników, mniej natomiast „średniaków".

Podstawowym źródłem dochodu było dla kucowian rolnictwo, tkactwo stało wyraźnie na drugim miejscu (w notatce z 1887 roku tylko trzy osoby uważane są za tkaczy).

No, dosyć tych dygresji, na które zszedłem odpowiadając na pytania Ks. Pastora w sprawie następców ks. Mozesa. Proszę absolutnie się nie krępować i stawiać dalsze. Do odpowiedzi na nie — w miarę możliwości — jestem zobowiązany zarówno materiałami, które od Ks. Pastora otrzymałem jako i „patriotyzmem zelowskim", który sprawił, że do późnej nocy dyskutowaliśmy w Łodzi o pasjonujących nas sprawach.

Przesyłam wyrazy głębokiego szacunku i miłe pozdrowienia.

List trzydziesty trzeci

Drogi Towarzyszu,

pięknie dziękuję za informacje i wycinki prasowe dotyczące Waszego przodownika pracy Jana Dedeciusa, pochodzącego z Zelowa. Interesowałoby mnie również, gdzie mieszka obecnie, czy zdobył wyższe wykształcenie itd. Z tego, co od Was otrzymałem wynika, że Jan Dedecius pracując w zakładach przemysłu włókienniczego „Nizan" w Cvikowie od stycznia 1949 roku do 30 listopada następnego roku wy-

konał w całości swój plan pięcioletni. Zaczęło się to od „kawalerskiej fantazji" (Dedecius miał wówczas 18 lat) a potem — przypuszczam, że dzięki Waszej pomocy, zaczął tak umiejętnie rozkładać sobie poszczególne czynności, że był w stanie obsłużyć początkowo osiem warsztatów, aż doszedł w końcu do dwudziestu. Za swój wyczyn dostał Order Pracy, pisano o nim w gazetach. Wtedy postanowił się kształcić, zostać inżynierem. I tu wszystko się urywa. Dlaczego? Jakie były losy młodego „údarnika" w ostatnich kilku latach?

A teraz parę słów o powieści Miloslawa Bureša *Marie a my všichni*. Zarzucacie jej niedostateczny stopień autentyzmu, a więc nieznajomość faktycznej topografii okolic Faustynowa czy też podawanie nazwisk, których ani w Faustynowie, ani w Zelowie nigdy nie było. Wprowadzenie niezelowskich nazwisk jest chyba raczej słuszne, bo po co robić z *Marii* powieść z „kluczem", budząc nie zawsze zdrową ciekawość. Darowałbym również nieznajomość topografii Faustynowa, skąd ma pochodzić bohaterka powieści Maria Lazarova (po polsku należałoby raczej powiedzieć Maria Lazarówna, bo chodzi przecież o dziewczynę, a nie mężatkę). Wydaje mi się natomiast, że poważnym mankamentem powieści jest nieumiejętność uchwycenia specyficznej mentalności zelowskiego Czecha, który nagle zjawia się w ojczyźnie pradziadków, któremu zdaje się, że mówi po czesku, a tymczasem okazuje się, że zamiast „lužko" trzeba mówić „postel" a zamiast „murař" — „zedník". Lecz dziwność zelowian w Czechach polegała nie tylko na śmieszności ich gwary. Podobnie jak ich czeski język nasiąkł obcą — głównie polską — mową, również ich obyczaje i styl bycia ulegały z pokolenia na pokolenie zmianom. W Polsce uważani byli za oszczędnych i pracowitych, uwierzyli w to, ale po przyjeździe do Czech okazało się, że pojęcie oszczędności czy pracowitości jest pojęciem bardzo względnym...

Wielu Czechów zelowskich wyjechało w 1945 roku i w

latach następnych z Polski, może więc Miloslaw Bureš pisząc swą książkę w 1953 roku chciał ułatwić przybyłym integrację w nowym środowisku, stąd te retusze likwidujące realizm obyczajowy i zastępujące trudną rzeczywistość gładszymi schematami patriotycznymi i klasowymi.

Ze świadomością narodową u zelowian różnie przecież bywało. Było to przede wszystkim poczucie własnej odrębności w stosunku do Polaków, Żydów czy Niemców, co nie znaczyło jednak, że wiedziano dobrze, co to są właściwie Czechy. W jednej z książek znalazłem taką anegdotę: na przełomie XIX i XX wieku pewna zelowianka pojechała do Pragi i po powrocie bardzo się dziwiła, że w Czechach są sami Polacy. Stwierdziła bowiem, że większość Czechów to katolicy, a dla niej — ewangeliczki reformowanej — katolikami byli wyłącznie Polacy.

Naturalnie w późniejszym czasie działalność takich ludzi jak pastor Radechovsky, w okresie międzywojennym opieka ze strony ambasady czechosłowackiej, częste odwiedziny pastorów z Czech nie tylko obudziły poczucie narodowe, ale i zbliżyły zelowianom rzeczywisty obraz ojczyzny. Mimo to ludzie są tylko ludźmi i każdy dysponuje nieco inną wyobraźnią, inaczej przyswaja sobie te same wiadomości. Wydaje mi się, że tu właśnie należy szukać przyczyn porażki artystycznej Bureša, zwłaszcza, że na powieści zaciążyły obowiązujące wówczas koncepcje ideowe. Poszczególne osoby stały się symbolami ilustrującymi różne postawy światopoglądowe. W myśl założeń autora integracja etniczna miała być połączona z szybkim i pozytywnym „dojrzewaniem ideowym" zarówno jednostek, jak i całej wsi. Bo przecież akcja powieści rozgrywa się w czasach, kiedy to również u nas sojusz robotniczo-chłopski realizowały przede wszystkim brygady robotnicze wyjeżdżające z miast do wsi, aby tam naprawiać narzędzia rolne biedakom i średniakom oraz brać udział w żniwach i wykopkach. A tymczasem — jak o tym mówiliśmy podczas mojego pobytu w Cvikovie — wielu zelowian w pierwszej chwili wybrało zawód rolnika i osiedliło się na gospodarstwach, gdy jednak zaczęto u Was tworzyć spółdzielnie produkcyjne większość wolała wrócić do tkactwa, albo przejść do innych zawodów, raczej w mieście.

Zarzucając to i owo powieści Bureša — nie takiej znów strasznej, czytałem gorsze — trzeba przede wszystkim żałować, że później żaden pisarz czeski nie podjął zelowskiego tematu.

Waszych wspomnień z działalności rewolucyjnej w okresie międzywojennym jeszcze nie otrzymałem. Podobno są już w drodze z Zakładu Historii Partii przy Komitecie Centralnym do archiwum KW w Olsztynie.

Serdecznie Was i Waszych bliskich pozdrawiam.

List trzydziesty czwarty

Szanowny Panie Doktorze,

szkoda, że nie znajduję w Pana liście odpowiedzi na nurtujące mnie wątpliwości w sprawie martyrologicznego mitu jaki krzewiony był wśród Braci Czeskich aż do ostatnich czasów. Mit o wygnaniu z Czech przystawał do religijnego mitu o wygnaniu z raju, tak więc wierność dla wyznania religijnego utożsamiano zwykle z wiernością dla Ojczyzny. I vice versa. Gdyby zaś zamiast przekonania o przymusie przewagę uzyskało w swoim czasie przekonanie o wyjściu z Czech z własnej woli, to wówczas regułą postępowania życiowego, tak jednostkowego jak i społecznego, stałoby się ugruntowane na wolnej i nieprzymuszonej woli wybieranie takiego a nie innego losu.

Hulka-Laskowski tak pisze w swojej autobiografii:

Gdy miałem za sobą dobre siedem lat w fabryce i zarabiałem już cztery ruble i pięćdziesiąt kopiejek tygodniowo, do kantoru naszego przyjęto młodego Czecha, Prochazkę. Wiedziałem o tym, że jestem potomkiem wygnańców czeskich, którzy po nieszczęśliwym powstaniu przeciwko Ferdynandowi II musieli wyemigrować na początku wieku XVII-go, ale dopiero od Prochazki dowie-

działem się szczegółów o początkach wojny trzydziestoletniej, o straszliwych prześladowaniach powstańców czeskich, a przede wszystkim o głębokim szacunku, jaki Czesi współcześni żywili do emigrantów wieku XVII-go, którzy dochowując wierności przekonaniom swoim porzucili wszystko i zdecydowali się pójść na tułaczkę.

Proszę zauważyć woltę Hulki-Laskowskiego dokonaną w jednym i tym samym zdaniu: najpierw — musieli wyemigrować, potem — dochowując wierności porzucili i zdecydowali się. Logicznie rzecz biorąc, powinien był napisać: zdecydowali się (dokonali wyboru), następnie zaś porzucili wszystko.

Hulka-Laskowski wyraźnie miesza z sobą drugą i trzecią emigrację Braci Czeskich. W przypadku drugiej (w XVII wieku) istotnie można było mówić o konieczności zewnętrznej, o przymusie, ale przecież zelowianie wywodzą się z trzeciej emigracji, o której Hulka-Laskowski zdaje się nic a nic nie wie. Bezkrytycznie przyjmowane bałamutne informacje Prochazki sprawiły, że budując swoją historiozofię Hulka-Laskowski woli nie pisać we własnej biografii o tym, czy „był zmuszony", czy też „dochowując wierności porzucił wszystko i zdecydował się". A może jednak wybrał kompromis: został polskim pisarzem, wszedł całkowicie w polskie społeczeństwo, stając się zarazem orędownikiem przyjaźni polsko-czeskiej (a nie czesko-polskiej, ponieważ czuł się Polakiem). W *Moim Żyrardowie* pisze tuż po zacytowanych już zdaniach:

Tacy właśnie emigranci, którzy zrazu mieszkali na Śląsku, przybyli na początku zeszłego wieku do Królestwa i osiedlili w powiecie łaskim, gdzie założyli kwitnącą kolonię Zelów. Znałem ich i stykałem się z nimi, gdy przybywali do Żyradowa za pracą. Mówili, jak mniemali, po czesku, ale język ich był tak już spolonizowany, że całe niemal słownictwo i składnia były polskie.

Ponieważ dobrze ich rozumiałem, byłem przekonany, że umiem po czesku i prosiłem Prochazkę, aby pożyczał czeskie książki i gazety. Przy tej sposobności przekonałem się, że co innego gwara kolonistów zelowskich, a co innego współczesny czeski język literacki. Zabrałem się chętnie do nauki tego języka.

Można więc powiedzieć, że dzięki zelowianom — pośrednio — rozpoczęła się kariera pisarska Pavla Hulki, autora przemilczanego w autobiografii wiersza z 1902 roku drukowanego w kalendarzu *Mir*, tego Pavla Hulki, który wolał jednak zostać Pawłem Hulką-Laskowskim i jako tłumacz debiutować przekładami z czeskiego. Mając dziewiętnaście lat Hulka przełożył utwór Svatopluka Čecha *Jestrab contra Hrdlička* (zarobił wówczas w Bibliotece Dzieł Wyborowych 50 rubli — a już trzykrotnie większe honorarium otrzymał za przekład utworu Ignata Herrmanna *Otec Kondelik a ženich Vejvara*). Przyswoił potem literaturze polskiej utwory tak wybitnych pisarzy jak Jarosław Hašek *(Przygody dobrego wojaka Szwejka)* czy Karol Čapek. Tłumaczył również *Podróże Guliwera* Swifta, *Rodzinę Thibault* Rogera Martin du Gard, książki J. F. Coopera. Zmarł parę lat po drugiej wojnie światowej. Niewątpliwie — jest to jedna z najbardziej oryginalnych postaci wśród polskich pisarzy dwudziestolecia międzywojennego, a jak się okazuje — posiadająca również swój wkład w historię „czeskiego Zelowa".

Skoro woli Pan nie podejmować dyskusji na temat zelowskiego mitu martyrologicznego, może jednak zechce Pan przedstawić mi swój (i „zelowski") punkt widzenia na decyzję Pavla Hulki, który stał się Pawłem Hulką-Laskowskim?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku, dla Pani ukłony.

List trzydziesty piąty

Szanowni Państwo,

uprzejmie dziękuję za obietnicę skontaktowania mnie z zelowianami, którzy dysponują materiałami na temat Zelowa i ze swej strony przekazuję dalsze informacje na temat Pani pradziadka, nauczyciela i kantora Wilhelma Engla.

Podobnie jak i jego poprzednicy — z wyjątkiem Ferdy-

nanda Fibicha i Antoniego Kořena — nie posiadał on specjalnego przygotowania do zawodu nauczycielskiego, a wyższy poziom umysłowy uzyskał wyłącznie dzięki samouctwu. W 1873 roku to jednak nie wystarczało już. Pani pradziadek uzyskał warunkową aprobatę konsystorza uzależnioną od zdania egzaminu w gimnazjum piotrkowskim. W grudniu 1874 roku pojechał do Piotrkowa i... egzamin oblał. Po powtórce w marcu 1875 roku, która skończyła się pomyślnie, otrzymał zatwierdzenie na stanowisku nauczyciela.

Okazało się jednak, że nie był to zbyt dobry chleb, bo już w 1878 roku Pani pradziadek napisał do konsystorza: „unikając ciągłych nieporozumień z członkami zboru Ewangelicko-Reformowanego w Zelowie, wynikłych w skutek niedostatecznego wynagradzania spełnianych przeze mnie obowiązków, stanowczo postanowiłem uwolnić się od takowych". Dymisja została przyjęta dopiero w 1880 roku, bo znowu nie było odpowiedniego człowieka na to stanowisko. A o szkole zelowskiej można powiedzieć, że miała pecha — najgorzej cierpiały na tym dzieci.

Pani pradziadek był pierwszym nauczycielem, do którego nie miano w Zelowie pretensji. A bywały one czasem bardzo poważne, choćby na przykład sprawa Ferdynanda Fibicha. Zapowiadało się wszystko bardzo ładnie: osiemnastoletni syn wójta otrzymał odpowiednie przygotowanie w ciągu dwu lat nauki w ewangelicko-augsburskiej szkole w Kaliszu i od 1849 do 1864 roku uczył w Zelowie ku dużemu zadowoleniu ks. Mozesa (sądząc z jego sprawozdań), a prawdopodobnie również całej społeczności zelowskiej. Liczba dzieci zapisywanych do szkoły była niewiele tylko wyższa od liczby faktycznie uczęszczających, co świadczyłoby albo o sprawnym egzekwowaniu podjętych zobowiązań, albo o atrakcyjności nauki szkolnej. Wątpić jednak należy, czy do szkoły zapisane zostały wszystkie dzieci objęte obowiązkiem nauczania. Przyjmuje się bowiem, że dzieci w wieku szkolnym stanowią na ogół 20 procent wszystkich mieszkańców. Oznaczałoby to, że przy 1500 mieszkańcach

w 1864 roku w wieku szkolnym powinno być przynajmniej 300 dzieci, natomiast do szkoły zelowskiej zapisano tylko 192 (i tak dużo, w porównaniu z innymi latami), a uczęszczało zaledwie 168 dzieci.

W archiwum zelowskim zachował się jednak protokół, spisany 29 lipca 1866 roku, który wyjaśnia, dlaczego po kilkunastu latach pracy Ferdynand Fibich musiał odejść ze stanowiska nauczyciela. W obecności pastora, czeladnika tkackiego Józefa Szrajbera, gospodarza Jana Harta i tkacza Jana Pośpiecha (Pospiszyła) spisane zostały zeznania posiniaczonej Anny Szrajber, służącej pana nauczyciela:

Wczoraj wieczór, mogła być godzina dziesiąta, kazała mi pani kantorowa iść po mąkę do komory. Gdym weszła do komory wszedł za mną pan Kantor i zadzierżgnął mi na ręce nad łokciami powróz mówiąc: „teraz powiedz, czyś wzięła pieniądze", a wziąwszy książkę, co to za książka była tego nie wiem, utkwił w niej klucz i wziął klucz na koniec palca mówiąc, że to jest świadek. Gdy wzięłam także klucz na koniec palca, rzekł: „skoro się ta książka obróci to tyś wzięła pieniądze" i mówił po trzy razy „na początku było słowo, a to słowo było u Boga i to słowo był Bóg", książka się obróciła a pan kantor rzekł: to jest świadek, żeś ty pieniądze wzięła. A gdym odrzekła, żem ja pieniędzy nie wzięła, tędy wziął drzewo i kręcił, aby lepiej powróz przycisnął. Gdy zaczęłam płakać, zdjął powróz z rąk nad łokciami i uwiązał mi obie ręce przy piędziach, przełożył mi ręce przez głowę i związał mi nogi. Zacząwszy krępować zemknął się powróz przez plecy i dostałam ręce na przód, ale krępując mnie musiałam głowę aż do nóg schylić. Nie mogąc od bólu wytrzymać zaczęłam głośno płakać, ale on kazał mi być cicho, a gdy nie przestałam płakać uderzył mnie ręką w twarz aż mi się krew z nosa puściła. Gdy jeszcze bardziej płakać zaczęłam, wziął kopyść i rzekł, że jeśli nie będę cicho, to mnie zabije. Nie mogąc już od wielkiego bólu wytrzymać prosiłam go z płaczem, aby mnie puścił i że moje zasługi może sobie zatrzymać, lecz on tego nie chciał, tylko nalegał, żebym mu jego pieniądze, które mu, jak mówił ukradłam, zwróciła. Powtarzając mu, że mu żadnych pieniędzy nie wzięła, wziął śrubę i ześrubował mi duży palec u ręki. Gdy bardzo płakałam, zdjął śrubę z palca i ześrubował mi nos, abym mu powiedziała, żem pieniądze wzięła. A gdy się przyznać nie mogłam, bom pieniędzy nie wzięła, zdjął mi śrubę z nosa i zostawił mnie powiązaną mówiąc, że tak do rana powiązana leżeć będę i odszedł.

Po niejakiej chwilce przyszedł znowu a za nim przyszła i jego żona mówiąc do niego: jeszcze ją lepiej skrępuj i zostaw do rana, tedy się ona przyzna. To powiedziawszy odeszła. On zaś został i mówił: lepiej się przyznaj, to cię puszczę. Ja płakałam mówiąc, że się przyznać nie mogę, bo pieniędzy nie wzięłam. Teraz mnie rozwiązał i przyszłam do stancji i powiedziałam, żeby pojechał do wróżki, a ta mu powie, czym pieniądze wzięła albo nie. Na to odpowiedział, że pójdzie w czwartek do wróżki i mnie z sobą weźmie. Jego żona zaś rzekła, żeby ze mną taką świnią nie gadał, bo jestem kamienna, a i tak nic nie powiem. To wszystko działo się w nocy, gdy już parobek i chłopak położyli się spać a dziewka myła sobie nogi, aby także spać poszła. Dziś kazali mi iść żąć owies, lecz zamiast do owsa poszłam z ojcem do wójta poszukując dla siebie sprawiedliwości. Wójt powiedział, że dziś sądzić nie będzie aż za tydzień, bo dziś pojedzie z ławnikami na odpust do Łobudzic.

Przypuszczam, że w czasach, gdy mieszkali Państwo w Zelowie, odpusty w Łobudzicach były jeszcze bardziej atrakcją niż ten, na którym ja w ubiegłym roku byłem. Ale mimo wszystko ani wójta ani ławników nie mogło to usprawiedliwiać. Właściwym powodem przewlekania sprawy było zapewne pragnienie dobrego współżycia z kantorem, który nie poczuwał się do winy i choć 11 sierpnia 1866 roku złożył dymisję, to jednak inaczej przedstawił całą sprawę:

Gdy otrzymałem posadę [...] miałem wielki niedostatek i nędzę, gdy zaś [...] Bóg mi błogosławił i błogosławić nie przestaje, bo mam w nim wielką nadzieję [...], ludzie zaczęli mi zazdrościć i zazdroszczą coraz bardziej tak jak mamy przykład na Jakubie i Józefie patriarsze to samo dzieje się ze mną, ponieważ wiele prześladowań, wiele różnych wyrzutów cierpieć muszę, a to wszystko pochodzi z tego powodu, iż prawie wszystkie oddali się nałogowi wielkiemu, że nawet w Niedzielę, Soboty i Święta uroczyste od rana aż do jutrzejszego dnia zasiadają w Karczmach, i tam kłócą się i biją...

Mimo to rezygnacja Ferdynanda Fibicha została przyjęta ponieważ:

...ościenni (a więc nie Czesi — przyp. mój) natrząsali się, że człowiek podobnych postępków do czynności kościelnych i szkolnych w Zelowie używany bywał.

Rzecz charakterystyczna, że gdy w 1873 roku szukano następcy po Jandiku, jeszcze zanim pojawiła się kandydatura Pani pradziadka, grono zelowian poparło starania Ferdynanda Fibicha, wysyłając do konsystorza szeroko umotywowaną petycję. Naturalnie bez skutku.

Jeszcze gorzej bywało z kantorami w Faustynowie, Kucowie czy Pożdżenicach, którzy często zastępując pastora, zaczęli uzurpować sobie prawo do przypominania nad grobem całego życia zmarłego, nadużywając je czasem dla osobistych porachunków.

Jeśli chodzi o Pani pradziadka, to w okresie pełnienia przez niego funkcji nauczycielskich miały miejsce bardzo brzemienne w następstwa wydarzenia w życiu szkolnym. Niewątpliwie na życzenie władz wyższych wójt Jelinek zwołał 22 marca 1877 roku zebranie 210 mieszkańców posiadających prawo głosu. Ponieważ stawiły się 153 osoby uchwała została prawomocna:

...wziąwszy pod uwagę — czytamy w niej — że egzystujące obecnie szkoły początkowe nie zaspokajają potrzeb gminy i że utrzymanie tych szkół przy obecnej drożyźnie wszystkich wogóle produktów nie odpowiada warunkom miejscowym i potrzebom nauczycieli — na mocy punktów b, e i d art. Najwyższego Ukazu o ustroju gmin wiejskich z d. 19 lutego 1864 i art. 18 tegoż Ukazu, a jak również art. 12, 13, 14, 24 i innych art. postanowienia b. Izby Edukacyjnej z d. 12 stycznia 1808 r. jednogłośnie uchwalili i postanowili:

1. Dotychczas była w gminie Zelów tylko jedna szkoła początkowa we wsi Pożdżenicach, wobec czego chcemy przemianować Zelowską szkołę duchowną na początkową wiejską, żeby w tejże gminie były dwie szkoły.

2. Na utrzymanie tej szkoły ustanowić podatek po 10 gr z każdego morga ze wszystkich gruntów uprawnych, należących do wsi Zelowa i Bujn, podlegających powyższemu podatkowi. Brakującą kwotą 28 rb zostaną opodatkowani kupcy, rzemieślnicy, zamieszkujący w obrębie Zelowskiej gminy szkolnej, przyczem nawet utworzy się remanent około 21 rb. Dołączona do niniejszego repartycja podatku wyjaśnia powyższe. (Niestety — repartycja w archiwum nie zachowała się, a byłby to bardzo ciekawy zestaw — przyp. mój).

3. Wyznaczamy na utrzymanie Zelowskiej szkoły, oprócz innych świadczeń w naturze, 210 rubli, a mianowicie: na pensję nauczyciela 150 rubli, a na inne wydatki szkolne 60 rubli.

4. Uchwalamy budowę odpowiedniego budynku szkolnego, składającego się z jednego dużego pokoju na klasę i dwu z kuchnią na mieszkanie dla nauczyciela z niezbędnymi przybudówkami, a mianowicie: śpichrzem, chlewem, drwalnią, ustępem oraz studnią w podwórzu i urządzenie podwórza i ogródka szkolnego.

5. Dzieci płci obojga w wieku od 8 do 15 lat winny obowiązkowo codzień uczęszczać do szkoły w okresie od dn. 1 października do dnia 2 kwietnia z wyjątkiem dni świątecznych, galowych i imieninowych. W razie nieusprawiedliwionego uchylenia się przez dzieci od tego obowiązku, rodzice opłacają karę na rzecz funduszu szkolnego w wysokości 1 i pół kopiejki za każdy dzień niestawienia się w szkole ich dziecka. Nauczyciele zobowiązani są sporządzać specjalne wykazy dzieci, które nie były obecne w szkole w ciągu tygodnia i przedstawić takowe do Urzędu gminnego dla ściągnięcia grzywny od rodziców.

6. Co się tyczy obecnego nauczyciela Wilhelma Engla mamy zaszczyt prosić Waszą Ekscelencję o zatwierdzenie go na tym stanowisku, ponieważ on dobrze naucza dzieci.

Wreszcie podaje się do wiadomości wszystkich mieszkańców gminy, że rok szkolny i przyjmowanie uczniów i uczennic do szkoły rozpoczyna się 3/15 sierpnia jednego roku kalendarzowego, a nauka kończy się 18/30 czerwca następnego roku.

Uchwała ta oznaczała w praktyce przejście szkoły zelowskiej w gestię rosyjskich władz szkolnych (powiatowych i gubernialnych). Miały one zaś — jak to dobrze wiemy z historii — własne założenia programowe i kadrowe. Kantor-Czech, który uczył nadal w szkole, ale tylko religii, z roku na rok stawał się w niej coraz niemilej widzianym gościem, aż doszło w końcu do wyłączenia nauki religii z programu szkoły zelowskiej. Nastąpiło to zresztą w okresie, gdy po osiedleniu się Polaków, Żydów i Niemców religia przestała być w Zelowie pojęciem jednoznacznym. Wg statystyki szkolnej w 1882 roku na 105 dzieci (a więc zmniejszyła się ich liczba w porównaniu choćby z okresem, w którym uczył Ferdynand Fibich!) było w Zelowie 3 uczniów prawosławnych, 10 katolików, 5 Żydów i 87 ewangelików. Mniej więcej te same proporcje wystąpiły w następnych dwóch latach, tylko liczba dzieci żydowskich wzrosła do piętnastu — co i tak jest

mało, jeśli wg spisu mieszkańców płacących składkę szkolną w 1885 roku miało tu być aż trzech nauczycieli żydowskich uczących w chederze (ciekawe, że spis ten nie wymienia nauczycieli ewangelickich i katolickich).

Tak czy owak szkoła zelowska po zeświecczeniu i wprowadzeniu języka rosyjskiego jako wykładowego służyła niewątpliwie tylko i wyłącznie posiadaczom, z pominięciem biedoty. Widać to choćby na przykładzie Żydów. Już w 1879 roku starali się oni o pozwolenie na utworzenie własnego okręgu bożniczego (bez skutku, zresztą). W podaniu znajdujemy informację, że w Zelowie mieszkało wówczas 250 Żydów, a dziesięciu z nich było posiadaczami własnych domów (przyjmując nawet bardzo wysoką przeciętną liczbę członków rodziny — dziesięć osób — trzeba stwierdzić, że było wśród nich co najmniej 150 osób mieszkających na komornem). Wśród tych 250 Żydów zelowskich w 1879 roku musiało być około 50 dzieci w wieku szkolnym. W parę lat potem do szkoły chodziło jednak tylko kilkanaście. Jeśli nawet w innych grupach wyznaniowych było lepiej, to i tak ówczesny ustrój szkolny skazywał na analfabetyzm prawdopodobnie więcej niż połowę dzieci.

Znacie Państwo z własnego doświadczenia zelowskie stosunki szkolne z okresu międzywojennego. Rozmawialiśmy o tym nieco w Libercu. Może jednak jeszcze coś ważnego mogliby Państwo mi „podrzucić"?

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia.

P.S. O tym, jak niechętnie przyjmowali Zelowianie rusyfikację swojej szkoły może zaświadczyć fakt, że dopiero w 1883 roku zawieszono w niej — po inspekcji i pod groźbą nieprzyjemności — portret cara.

List trzydziesty szósty

Szanowny Panie,

Pański list sprawił mi dużą przyjemność. W pierwszej chwili byłem zaskoczony tym, że mieszkaniec Sulejówka pisze do mnie po czesku, ale okazało się, że źle odczytałem stempel pocztowy — zamiast Sulejovice — Sulejówek.

Cieszę się, że książka, którą przygotowuję, odczuwana jest przez zelowian mieszkających obecnie w Czechach jako coś ważnego i potrzebnego. Naturalnie chciałbym, aby zainteresowała ona również Polaków, zarówno tych, którzy stanowią obecnie większość mieszkańców Zelowa, a niewiele lub zgoła nic nie wiedzą o jego ciekawej przeszłości, jak i tych moich rodaków spoza Zelowa, którzy nie słyszeli dotychczas nic o „Czechach w środku Polski". Dlatego proszę mi wierzyć, chętnie udzielę Panu i innym zelowianom mieszkajacym w Czechach odpowiedzi na stawiane mi pytanie. O ile, naturalnie, potrafię, bo sam jeszcze szukam, a szukając nie zawsze znajduję.

Moja wiedza o Faustynowie jest dość skromna. Udało mi się ustalić jednak kilka faktów o istotnym — jak sądzę — znaczeniu. A więc: przede wszystkim okoliczności w jakich doszło w 1841 roku do założenia tej wsi, w której nie pozostał dziś ani jeden Czech, a w której już w dwadzieścia lat po założeniu zarysowała się stagnacja, powiedziałbym nawet kryzys rozwojowy. W marcu 1864 roku ks. Mozes zawiadomił swoje władze, że kantor Józef Pojman z Faustynowa wyjechał, natomiast „wszyscy mieszkańcy Ewangelicko-Reformowani w koloni Faustynowie mają zamiar wyprowadzić się do Rosji, wyprzedają swoje ruchomości i nieruchomości".

Z innych dokumentów wynika, że jeszcze w dwa miesiące później faustynowiacy czekali na powrót łódzkiego Niemca Taufmanna, który pojechać miał do samego Petersburga i uzyskać w nim pomoc ze strony rządu dla tych wszystkich, którzy chcieli przesiedlić się na żyzne ziemie

w gubernii Saratowskiej, Symbirskiej lub Orenburskiej. Ale już we wrześniu okazało się, że sprawa ta jest nieaktualna (możliwe, że była to jakaś oszukańcza afera, ale brak mi na ten temat szczegółów).

Liczba mieszkańców Faustynowa nie przekroczyła w owym okresie 130 osób — to był „szczyt możliwości". W odróżnieniu od Kucowa nie było w nim „wielkiej własności ziemskiej". Początkowo przeważali półhubnicy, potem ćwierćhubnicy, a ponieważ paru tylko mieszkańcom na krótki okres czasu udało się zgromadzić w swoich rękach trzy czwarte huby lub całą hubę, więc i komornicy nie mieli się przy kim „zaczepić", a liczba ich w latach 1847—1889 wahała się stale od 1 do 4 osób.

Od Kucowa różnił się Faustynów również tym, że łączenie tkactwa z uprawą roli było w nim przez długi czas zasadą wypływającą z konieczności życiowej. W 1847 roku faustynowianie płacili składkę kościelną z 310 mórg, a w dwa lata potem już tylko z 255 mórg. Gdy w 1864 roku łudzili się nadzieją na wyjazd do Rosji, wielu sprzedało swoją ziemię tak, że w rękach czeskich zostało zaledwie 145 mórg. Na osobę przypadały wówczas przeciętnie tylko dwie morgi (piasku!), więc nic dziwnego, że rodziny mogły wegetować tylko dzięki dorabianiu tkactwem. W kilkanaście lat potem, w 1881 roku, Czesi faustynowscy opłacali składkę kościelną z 210 mórg. A ponieważ w Faustynowie byli wówczas i baptyści, więc możliwe, że w rękach czeskich było więcej ziemi.

Na skutek biedy szkoła w Faustynowie powstała dopiero w 1850 roku. Pierwszymi nauczycielami byli Kulhawi — najpierw Karol, potem jego (bodajże przyrodni) brat Paweł, od 1860 roku natomiast Paweł Rajchert. Ponieważ wieś była bardzo biedna, więc utrzymanie szkoły przejął na siebie konsystorz ewangelicko-reformowany w Warszawie. Na początku XX wieku (może Pan zna dokładną datę?) wybudowano w Faustynowie (zdaje się z pomocą otrzymaną z Czech) szkołę murowaną, która spłonęła w

czasie działań wojennych w 1939 roku. O tym, że tuż po pierwszej wojnie światowej 35 rodzin faustynowskich gotowych było sprzedać ziemię, zapewne Pan wie od rodziców. Liczono się wówczas z możliwością powrotu do Czech, które odzyskały właśnie niepodległość. Gdy okazało się jednak, że w republice nikt na nich nie czeka i że z takimi sumami, jakie uzyskaliby ze sprzedaży ziemi nie mają czego szukać w Czechosłowacji — wielu wyjechało do Francji, gdzie znalazło się dla nich miejsce w kopalniach węgla.

Wspominałem parokrotnie, że Faustynów różnił się zasadniczo od Kucowa. Najbardziej widomym tego znakiem było niewątpliwie „dorobienie się" kościoła w Kucowie, ale gdy przyjrzeć się tej sprawie „od podszewki", to okaże się, że w Kucowie nie było lepiej. Pomysł zbudowania tam kościoła powstał już jesienią 1858 roku. Marzono wówczas że będzie on 25 łokci długi, 15 łokci szeroki a 10 łokci wysoki, z małą wieżyczką tworzącą zarazem przysionek. Obliczywszy koszta przekonano się, że murowany, pod dachem gontowym, kosztować będzie mało co więcej niż drewniany. „Między sobą zrobili już składkę — czytamy — ...Mniemają, że za 7000 złp potrafią sami bez budowniczego postawić..."

Takie były marzenia — ale minęło dziesięć lat zanim sfinalizowano... zakup gruntu. Dopiero gdy w 1888 roku dokonano zamachu na cara Aleksandra II ówczesny administrator filiału ks. Adolf Szefer poradził kolegium kościelnemu, aby wystosował do władz oświadczenie, że z wdzięczności za to, że łaskawy Pan Bóg ocalił monarsze życie kucowscy Czesi chcą zbudować kościół.

Rada w oczach Polaków mogła budzić pewne wątpliwości, ale była na pewno „chytra". Władze carskie umiały ocenić rzekome przywiązanie kucowian do tronu i już w 1893 roku można było położyć kamień węgielny, a 17 listopada 1896 roku odbyło się poświęcenie kościoła:

Z uderzeniem godziny dziewiątej uroczystość rozpoczęta została w starym domu modlitwy śpiewem wykonanym przez chór kościelny czeski pod dyr. p. Meinera, który w tym celu umyślnie przybył z filiału żyrardowskiego, poczem administrator filiału ks. Jelen przemówił w języku czeskim do zgromadzonych, dziękując Bogu Najwyższemu za Jego łaskę i opiekę, jaką otaczał niezamożny i nieliczny, bo zaledwie 440 dusz liczący zbór kucowski.

Śpiewano potem pieśni z czeskiego kancjonału, duchowieństwo przyniosło dwie biblie, polską i czeską, zabrzmiało *Te Deum* w języku czeskim, a następnie wygłoszono w tejże mowie kazanie.

Do zbudowania kościoła kucowskiego przyczyniła się nie tylko sprytnie pozyskana życzliwość władz, ale też hojność warszawskiego bogacza barona Kronenberga, który oprócz ofiary pieniężnej dał również drzewo potrzebne do budowy. Na liście ofiarodawców znaleźli się także liczni kalwini z Warszawy, Żyrardowa i Łodzi, przede wszystkim aż 57 osób z Zelowa.

Kościół kucowski ucierpiał bardzo w trakcie działań wojennych w 1914 roku. O jego odbudowie mówi niezbyt widoczny napis nad głównymi drzwiami wyryty w kamieniach. Zapewne w trakcie odbudowy, już pod okupacją niemiecko-austriacką (dała ona kucowianom okazję do spotkań z żołnierzami czeskimi służącymi w wojsku austriackim), wyjęto ze ściany marmurową tablicę z napisem: „„Kościół ten postawiony na pamiątkę cudownego ocalenia w dniu 17/29 Października 1888 roku drogocennego życia Jego Cesarskiej Mości Aleksandra III wraz z Cesarską Rodziną". Tablica ta stoi do dziś pod ścianą w kucowskiej zakrystii informując ponadto, że głównym dozorującym przy budowie kościoła był Tomasz Semeradt, że przewodniczył w akcji budowy kościoła Pasterz Friedrich Jelen, a płytę wykonał w 1895 roku Zakład Kamieniarski Wł. Karbowskiego w Piotrkowie.

Biorąc pod uwagę, że nie wszystko zostało zapisane na papierze (i nie wszystkie papiery ocalały) dużo szczegółów o przeszłości Kucowa znaleźć można również na miej-

scowym cmentarzu. W Faustynowie i pod tym względem jest źle — cmentarz został wchłonięty przez otaczający go las, a ponieważ nie ma w nim obecnie ani jednego Czecha, więc gdy nieliczne kamienne nagrobki pokryje ostatecznie mech (bo płotu dawno już nie ma), trudno będzie ustalić miejsce, w którym spoczywają Pańscy przodkowie. Proszę wybaczyć mi to stawianie kropki nad i, ale nie widzę realnych szans zatrzymania tego procesu. Zostaje właściwie tylko wierna pamięć ludzka. Jeśli to, co udało mi się znaleźć w archiwach, pobudzi pamięć Pana i Pańskich ziomków — to już dużo, to już dobra zapowiedź. Ale liczę na więcej.

Kreślę się z głębokim poważaniem.

List trzydziesty siódmy

Drogi Władku,

poruszona w Twoim liście sprawa udziału zelowskich Czechów w walce narodowowyzwoleńczej narodu polskiego musi być chyba rozpatrywana w dwu niejako różnych rozdziałach. Inaczej musiało być w okresie, gdy Zelów zamieszkany był w dziewięćdziesięciu kilku procentach przez Czechów, inaczej zaś, gdy stał się „wieżą Babel".

Niewątpliwie ciekawym byłoby dowiedzieć się, jaki był stosunek Braci Czeskich do Napoleona i stworzonego przez niego Księstwa Warszawskiego. Niestety, nie natrafiłem na żadne w tym względzie przekazy pisemne czy ustne. Za lasami, w dość znacznej na owe czasy odległości przebiegał niemal do naszych czasów „trakt napoleoński", pozostałość po nieudanej wyprawie na Moskwę.

W 1831 roku doszło do potyczki pod Piotrkowem, ale że armaty tam nie grały, bo ich nie było, więc do Zelowa mogła dotrzeć tylko późniejsza wieść, o tym, że oddział

Bobowskiego wziął do niewoli generała rosyjskiego, lajb-medyka Tyszyna.

Podobno ks. Mozes sympatyzował z rządem rewolucyjnym — Alina Barszczewska nie wymienia go wśród pastorów, którzy odmówili złożenia przysięgi na wierność władzom powstańczym, wynikałoby więc, że ją złożył. W archiwum pozostała jedynie wzmianka — i to na marginesie zupełnie innych spraw — o Pawle Millerze, który „poszedł do wojska rewolucyjnego i dotychczas nie wrócił". Pozostał też list ks. Mozesa, w którym donosi on swojemu znajomemu, że niektórzy jego parafianie kryją się po lasach, aby uniknąć poboru do wojska powstańczego. Ponieważ w tym okresie do parafii zelowskiej należeli również luteranie — niemieccy osadnicy z okolicznych wsi, głównie z dóbr kociszewskich, przypuszczać można, że to właśnie z ich grona rekrutowali się owi dezerterzy.

Możliwie, że jacyś zelowianie znaleźli się w oddziale Marcina Urbańskiego, zorganizowanym we wsi Brodnia między Zelowem a Łaskiem, w tej samej wsi, której ludność w 1831 roku nie chciała mieć nic wspólnego ze szlachecką rewolucją (właśnie w Brodni toczy się akcja powieści Leona Kruczkowskiego *Kordian i cham!*). Pod Brodnią oddział Józefa Oxińskiego stoczył 1 marca 1863 r. potyczkę, ale w Zelowie na pewno wówczas nie był. Jeszcze dalej, bo w Sędziejowicach, między Łaskiem a Widawą, Taczanowski zniszczył niemal doszczętnie rosyjski oddział złożony z arystokratycznej młodzieży Petersburga i Moskwy. Na pewno głośniejszym echem odbiły się operacje oddziałów Kopernickiego i Lütticha w rejonie rzeki Widawki — nie tyle w Zelowie, co w znacznie bliższym Kucowie.

W zelowskiej proboszczówce miano wówczas opiekować się rannym powstańcem, ale na ten temat jedynie „mówi się" — na dokumenty dotychczas nie natrafiłem. Podobnie zresztą brak mi archiwalnej dokumentacji do „sprawy Waryńskiego", który miał podobno przemawiać w Zelowie (stąd też ulica jego imienia). Od działacza rewolucyjnego

z Zelowa, Bolesława Kamińskiego, dowiedziałem się, że przed 1900 rokiem dwaj zelowscy tkacze Marek i Świątek wywiezieni zostali na Sybir. Wrócił tylko Marek i w parę tygodni potem zmarł. Ponieważ wśród Czechów zelowskich byli również Markowie, mielibyśmy w tym przypadku do czynienia ze swoistym symbolem wspólnej, polsko-czeskiej walki z caratem i z kapitalistycznym wyzyskiem.

Pewnym jest, że w 1903 roku zelowscy tkacze postanowili zrzeszyć się we własnym cechu. W imieniu 600 tkaczy-rzemieślników starali się wówczas o odpowiednie zezwolenie władz Józef Swoboda, Jan Czap, Józef Matejka, Karol Pospiszył, Emil Czap, Jan Smolny, Paweł Smolny, Jan Reinsz, Wilhelm i Jan Faflakowie. W 1905 roku zebrali oni kilkadziesiąt dalszych podpisów pod stosowną petycją. W dalszym ciągu były to nazwiska czeskie, wśród nich tylko parę polskich (Kazimierz Przepiórkowski, Wincenty Pniewski). Ostatecznie generał-gubernator odmówił, ponieważ w miastach Królestwa Polskiego wprowadzony został właśnie stan wyjątkowy. Rewolucja 1905 roku dotarła również do Zelowa.

Ze wspomnień Stanisława Pestkowskiego — później uczestnika walk Rewolucji Październikowej i przewodniczącego KC MOPR — wynika, że w 1903 roku robotnik z fabryki K. Benicha, Franciszek Kowalski, już jako członek SDKPiL stracił pracę w Łodzi i przeniósł się do Zelowa, gdzie pracował jako tkacz ręczny i gdzie nadal chciał działać dla sprawy rewolucji. Z tego, co mówił mi tow. Bolesław Kamiński, wynikałoby, że oprócz Kowalskiego pierwszą zelowską komórkę SDKPiL utworzyli również Antoni Stanicki, Ignacy Zelmozer i Antoni Sopor.

1 czerwca 1905 roku tkacze zelowscy — w liczbie około pięciuset zapowiedzieli strajk, jeśli liweranci (czyli poddostawcy surowca) nie podwyższą im płacy zarobkowej. Z inicjatywy naczelnika powiatu łaskiego doszło wówczas do pertraktacji, w wyniku których zarobki tkaczy zostały podwyższone. Mimo to wrzenie rewolucyjne nie ustawało.

17 lipca tegoż roku wjechał do Zelowa na czele banderii konnej złożonej z dziesięciu jeźdźców ks. Jan Żak z Łobudzic. Powiewały nad nimi dwa czerwone sztandary. Przyznasz, że ksiądz pod czerwonymi sztandarami musiał stanowić niecodzienny widok. Ale na tym się nie skończyło...

Pierwszy raport urzędowy w tej sprawie lekceważył raczej całe zajście, lecz w październiku okazało się, że zelowianie poważnie związali się z katolickim księdzem-rewolucjonistą. W dniu 22 października przemawiał on do mieszkańców Zelowa, wskazując na konieczność usunięcia urzędników carskich i zniszczenia w mieście wszystkich rosyjskich napisów. Wkrótce po przemówieniu ks. Żaka ktoś zerwał szyld z budynku urzędu gminnego.

W dwa dni potem ks. Żak był znów w Zelowie, a tłum urządził mu owację, wiwatując i strzelając w powietrze. Po wiecu, niosąc sztandary z białymi polskimi orłami i śpiewając polskie pieśni odprowadzili zgromadzeni ks. Żaka do Łobudzic. W pochodzie brali udział nie tylko Czesi i Polacy, ale także i Żydzi... śpiewający po żydowsku. Musiał to być malowniczy i... „głośny" widok! Następnego dnia wieczorem ks. Żak zjawił się w Zelowie na czele orkiestry i gromady ludzi, która śpiewała pieśni i niosła dwa sztandary, tym razem o barwach narodowych. Jeden z nich zaniesiono do Józefa Bogusławskiego, drugi do Karola Pospiszyła. Do Polaka i do Czecha. Nie wiedziano wówczas jeszcze o tym, że generał-gubernator Skałłon wydał już polecenie zamknięcia ks. Żaka w klasztorze karmelitów w Oborach pod Rypinem, że 27 października zostanie on zgodnie z tym poleceniem aresztowany i odesłany pod konwojem do klasztoru.

W Zelowie pozostały jednak wyniki działalności ks. Żaka, pozostały kolportowane przez niego pisma i broszurki. Część z nich dostała się potem w ręce władz, które w trybie urzędowym spisały ich tytuły. Gdyby nie to, najstarsi ludzie nie wygrzebaliby ich z osłabionej wiekiem pamięci. Tymi rewolucyjnymi publikacjami dostarczonymi policji w

Zelowie były odezwy *Do ludu wiejskiego* i *Kontrrewolucja idzie*, proklamacja zaczynająca się od słów: *Towarzysze robotnicy!...*, egzemplarze pism „Czerwony Sztandar", „Z pola walki", „Trybuna Ludowa", „Socjaldemokrata", wydana w Krakowie broszura *Rzut oka na postępy rządu rosyjskiego w Polsce.* Nie zanotowano natomiast tytułu kolportowanej wówczas proklamacji w języku żydowskim.

W kwietniu 1906 roku znowu doszło do zorganizowania wiecu, na którym nie grożono strajkiem, ale go proklamowano. Strajkujący wyszli na ulice i nie pozwolili wywieźć liwerantom zelowskim wyprodukowanego towaru. Grożono liwerantom, że jeśli nie zgodzą się na podwyżkę, to będą musieli zapłacić tkaczowi po 50 kopiejek za każdy nieprzepracowany dzień. Potem stu tkaczy poszło do Urzędu Gminnego, prosząc wójta o wezwanie liwerantów na dzień następny (7 kwietnia) dla rozpatrzenia żądań strajkujących. Pertraktacje trwały długo, ale w końcu spisano umowę, która przewidywała wyższą płacę. Zaniepokojone tymi wydarzeniami władze powiatowe wysłały 8 kwietnia do Zelowa oddział kozaków uralskich w sile ośmiu ludzi, dowodzonych przez chorążego Polenowa.

W tym miejscu kończą się informacje o wrzeniu rewolucyjnym 1905—1906 roku w Zelowie i jego najbliższej okolicy. Ale rzecz ciekawa — zachował się numer „Czerwonego Sztandaru", który pokazuje wydarzenia wiosną 1906 roku od innej strony. Otóż nieznany z nazwiska agitator socjaldemokratyczny wysłany został pod koniec kwietnia do Zelowa, a po powrocie do Łodzi tak opisał na łamach „Czerwonego Sztandaru" swoje przeżycia:

...Udaliśmy się następnie do folwarku Herbertowa pod Zelowem lecz mało tam ludzi pracuje. Znaleźliśmy tylko dwóch fornali, kryjących się od deszczu za wozami i opowiedzieliśmy im o sprawie robotniczej i do czego dążą socjaliści. Potem okropny deszcz zagnał nas do Zelowa o 7 godzinie wieczór. Poszliśmy do jednego znajomego włościanina-tkacza. Przywitaliśmy się z nim i żoną i kazaliśmy ich synowi, żeby poprosił dwóch sąsiadów; ci sprowadzili jeszcze dwóch i dwie kobiety i jednego starego Żyda. Wszyscy napili się po

trochu wódki, ja ich przeprosiłem, że wódki nie pijam i zacząłem mowę. Potem syna gospodarza zwołałem do sieni i dałem mu cały pakiet bibuły, z czego część kazałem rozlepić i oddać, a część schować na 1 Maj. Chłopak wziął bibułę i chodził do drugiej godziny w nocy, rozlepiał w każdym zakątku odezwy, a znajomym dawał do ręki. Nazajutrz miała się odbyć demonstracja, lecz niestety o godz. 8 wieczór zjawiło się we wsi 8 kozaków, którzy upiwszy się bili i rozpędzali ludzi, dwóch braci okropnie pobili, przyczym i mnie o mało się nie dostało. Poszedłem znowu do tego znajomego, urządziło się zebranie i agitowałem, jak należy, do godziny 3 w nocy. Nazajutrz (1-go Maja) wstaliśmy o 6-tej rano. Odezwy były rozlepione, a sam widziałem, jak dwaj strażnicy chodzili i zdejmowali je. Ludzie w ogóle byli niepewni, jedni pracowali, drudzy nie; lecz wszyscy mówili, że chyba Bóg już wysłuchał biednych i dał rozum ludziom, że chodzą uczyć lud i uświadamiać po wsiach.

Prosili mnie też o pomoc w zamierzonym strajku i o odezwy, bo tu w Zelowie strasznie gnębią ich fabrykanci. Urządziłem zebranie organizacyjne i wybór przedstawiciela. Po południu poszliśmy do innej wsi obok Zelowa, zwanej Pożdżenice, gdzie zeszło się kilkunastu tkaczy-rolników. Przemawialiśmy obaj z towarzyszem, ja po polsku, on po niemiecku. Potem ruszyliśmy niby ku domowi w liczbie trzynastu mężczyzn. Przy końcu wsi wyciągnąłem nasz znak czerwony z wypisanymi kredą hasłami S.-D. i zatknąłem go na kiju — szliśmy tak przez cały las, śpiewając pieśni rewolucyjne i rozmawiając o socjaliźmie.

Przepisałem tę relację z 1906 roku do końca, ponieważ w zakończeniu jest szczegół moim zdaniem bardzo charakterystyczny. Myślę o agitowaniu po polsku i po niemiecku. Na zebraniu w Pożdżenicach musieli być więc oprócz Polaków i Czechów również i Niemcy. Ci ostatni byli potomkami kolonistów saskich, przybyłych w okresie Księstwa Warszawskiego. Synowie i wnukowie tych przybyszów-czynszowników „okupili" się dotychczasowemu dziedzicowi z 1841 roku i stali się wolnymi chłopami. Część ziemi kupili wówczas również Czesi i w mniejszym stopniu Polacy. Czesi-kalwini i Niemcy-luteranie należeli do jednej i tej samej parafii (zelowskiej), ponieważ w owym czasie oba kościoły protestanckie w Królestwie Polskim stanowiły jedną organizację. Rozpadła się ona w kilka lat potem,

ale jeszcze przed tym faktem w Poźdżenicach rozpoczęła się — z powodu szkoły — wojna między Czechami i Niemcami, w której ci ostatni mieli pod każdym względem przewagę.

Cała sprawa jest bardzo skomplikowana, ponieważ — trudno mi określić w jaki sposób wśród ewangelików-reformowanych znalazło się w 1858 roku prócz Czechów aż siedemnaście rodzin niemieckich (może było to wynikiem małżeństw mieszanych?). Luteranie egzekwując sądownie świadczenia na rzecz swojej szkoły w której nauka odbywała się po niemiecku, nie szczędzili również swych współplemieńców innego obecnie wyznania. Między innymi prześladowana była „biedna uboga wdowa" Luiza Ketnerowa, której poborca „otworzył skrzynkę i zabrał kawałek płótna i sukienkę dziecka, mimo najrzewniejszych próśb tej biednej staruszki i jej gospodarza-katolika Łukasza Jawolskiego".

Poźdżeniccy Czesi uzyskali wreszcie w 1860 roku prawo do własnej szkoły („żeby dzieci nasze w języku ojczystym, w jakim katechizmy i książki nabożne mamy, uczone i w religii wyznania ojców swoich ćwiczone i sposobione były") a pierwszym nauczycielem został Karol Słama. Urodził się on w Zelowie, w 1839 roku, w rodzinie Józefa i Ludwiki z Jersaków. Do piętnastego roku życia chodził do szkoły zelowskiej, potem — przy ojcu — trudnił się tkactwem i rolnictwem. Gdy wystawiono jego kandydaturę na nauczyciela, musiał poddać się egzaminowi. Ks. Mozes dał mu wówczas do czytania książki czeskie, polskie i niemieckie. Z czytania po czesku i po polsku otrzymał Słama bardzo dobry, z czytania po niemiecku tylko dobry. Jego sposób czytania polskich i niemieckich rękopisów uznany został za dobry, niemieckich — za mierny. Z pisania w każdym z trzech języków otrzymał kandydat na nauczyciela tylko dostateczne stopnie. Wykazał się ponadto bardzo dobrą znajomością katechizmu i dobrą biblii, natomiast tylko dostateczną arytmetyki. Wystarczyło jednak, aby zdał. Wydaje mi się,

że także wyniki tego egzaminu mają w sobie coś symbolicznego.

Gdy Słama odszedł do Faustynowa, następcą jego został Karol Radzimirski z Grecza pod Opolem, który jednak nie chciał przyjąć obywatelstwa rosyjskiego, a poza tym popadł w zatarg z gminą. Od 1871 roku uczył w Poźdżenicach zelowianin Fryderyk Paweł Miller, a od 1875 roku Samuel Rychecki z Faustynowa.

W ciągu kilkunastu lat po uzyskaniu separacji szkolnej Czesi w Poźdżenicach mieli już pod tym względem hegemonię. Odnoszę wrażenie, że mimo to musieli być tolerancyjni, skoro w okresie prowadzenia czeskiej, tj. kalwińskiej szkoły przez Millera uczęszczało do niej aż 86 poźdżenickich dzieci „czworga wyznań" (również dzieci katolickie, luterańskie i żydowskie). W kilka lat później, gdy szkoła w Poźdżenicach, podobnie zresztą jak i zelowska, dostała się pod zarząd carskich władz szkolnych zapisanych było do niej zaledwie 33 dzieci (a uczęszczało tylko 28 — dane dla roku szkolnego 1879/1880).

Czechizowanie Poźdżenic nie było naturalnie dziełem szkoły. Polegało ono przede wszystkim na przechodzeniu ziemi w ręce czeskie. W 1844 roku Czesi mieli tu 375 mórg, w 1866 roku natomiast już 477 — ale Niemcy jeszcze ponad 700 mórg...

Gdy w 1939 roku Wehrmacht wkroczył do Zelowa, część kolonistów niemieckich z Poźdżenic zaczęła wysługiwać się nowym panom. Ale nie wszyscy. Bo w okresie międzywojennym — według relacji Bolesława Kamińskiego — KPP w Zelowie miała obok siedmiu komórek polsko-czeskich i pięciu żydowskich rówież jedną niemiecką. No, ale to już inne czasy, a Twoje zainteresowania sądząc z listu — kończą się na pierwszej wojnie światowej. Tak więc dorzucę jeszcze tylko jedną informację, a właściwie ciekawostkę. W 1925 roku postawiono na zelowskim rynku pomnik Tadeusza Kościuszki (usunęli go naturalnie hitlerowcy w czasie okupacji). Na cokole widniał napis:

Kościuszki święte hasło głęboko wryjcie w serce,
by Polska nie zagasła w bratniej rozterce.

A pomnik stał się właśnie powodem „bratniej rozterki", zwłaszcza, że termin jego odsłonięcia ustalony został bez porozumienia z pastorem Fibichem, który musiał być obecny w tym samym czasie (14 czerwca) na synodzie kościoła ewangelicko-reformowanego w Warszawie. Kierownik szkoły (Polak) był wówczas zdania, że termin odsłonięcia nie kolidowałby z synodem, gdyby nie opór i niechęć Czechów. Zaostrzenie się stosunków polsko-czeskich w Zelowie spowodowało, że oskarżeni wystosowali do władz memoriał, w którym zarzuty stawiane Czechom nazwane zostały obelgą, jednocześnie przypomniano w nim, po zamachu majowym! — że w 1905 roku w domu Pawła Niewieczerzała w Zelowie ukrywał się Józef Piłsudski. Próbowałem naturalnie pójść tym tropem — i w Zelowie i będąc w Czechach — bo teoretycznie rzecz biorąc mogą dziś jeszcze żyć ludzie, którzy wówczas zetknęli się z Piłsudskim, a byłoby interesującym ustalić, czy nie dlatego właśnie w Zelowie szukał schronienia, ponieważ sam był kalwinem.

Wracając jeszcze do sprawy pomnika — w Libercu usłyszałem kolejny, dość oryginalny komentarz: Polacy dziwili się, że Czesi też są za postawieniem pomnika Kościuszce, bo nie wiedzieli, że Naczelnik również był ewangelikiem...

Antagonizmy polsko-czeskie — nie ma powodu ich przemilczać, ale tym bardziej nie należy ich wyolbrzymiać — są w Zelowie chyba dość świeżej daty. W okresie zaboru na pewno przeważała zdecydowanie solidarność, jeśli już nie wspólnota działania, rzecz tylko w tym, że nie łatwo jest dotrzeć do ludzi, którzy coś konkretnego pamiętają, a z dokumentami archiwalnymi też nie jest najlepiej. Poza tym — na upartego można by poświęcić parę dni i przewertować *Pisma* Piłsudskiego. Bardzo możliwe, że po to tylko, aby móc ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że dla Piłsudskiego epizod zelowski nie zasługiwał na jedno choćby słowo wspomnienia. A może być i tak, że gdzieś w

Czechach mieszka człowiek, który pamięta nie tylko epizod i Piłsudskim, ale też — „przy okazji" — naprawdę ważne i ciekawe fakty.

Wybacz mi to „filozofowanie", lecz — ulżyło trochę. Życzę Ci powodzenia w zbieraniu materiałów do nowej powieści historycznej. Nie wątpię, że Ci „wyjdzie".

Serdecznie ściskam Twoją dłoń.

List trzydziesty ósmy

Kochani,

dziękuję za list i wiadomości. Jeśli chodzi o mnie, to zabrałem się już do pisania książki o Zelowie. Nie będzie to monografia, jak sądzicie i jak sam początkowo planowałem. Między innymi gotowy jest rozdział o „Waszym" Nowickim. A właściwie nie rozdział tylko szkic. Książka bowiem będzie zbiorem esejów.

Chociaż zrezygnowałem z ambicji monograficznego wyczerpania tematu to przyznaję, że przydałoby się coś na temat higieny i służby zdrowia w dawnym Zelowie. Szkopuł w tym, że to co znalazłem w archiwum jest zbyt mizerne. Skoro jednak ciekawią Was te sprawy, to je opiszę. Was zaś poproszę o radę: czy warto tego rodzaju przyczynki skomasować i zaproponować (w ramach „produkcji ubocznej") jakiemuś pismu? Widziałem w kioskach „Służbę Zdrowia". Nie mam pojęcia co to za pismo, czy warto mu proponować taki artykuł? A może znacie jakiś inny periodyk z Waszej „branży", w którym by tego rodzaju materiał przyjęto?

Już w najstarszych zelowskich księgach stanu cywilnego jest trochę medycyny. Notują one bowiem przyczyny zgonów. Diagnoza często gęsto podejrzana, bo pierwszy lekarz zamieszkał w Zelowie dopiero gdzieś koło 1900 roku. W 1825 roku zelowianie nie zgodzili się na sprowadzenie lekarza, ponieważ dostateczne sposoby ratowania chorych znał jeden z mieszkańców, niejaki Bogumił Jeleń (przez pe-

wien czas również nauczyciel). Do stosowanych przez niego sposobów należało przystawianie pijawek, nacieranie ciała mieszaniną octu, spirytusu, pieprzu (tak zwyczajnego jak i tureckiego), kamfory i gorczycy. Jeleń znał się nie tylko na „cholerycznej biegunce i samej cholerze bez biegunki". W 1849 roku skierowano do niego przygotowaną do konfirmacji Mariannę Łabant, którą ks. Mozes kazał „odosobnić, ponieważ jest francowata. Mam zaszczyt Wielmożnego Wójta wezwać uprzejmie, aby rzeczoną Mariannę Łabant zrewidować polecił przez osobę rzecz znającą". Uczynił to wówczas właśnie Bogumił Jeleń i „znalazł ją niezdrową i zupełnie zanieczyszczoną".

Nie wiem, czy w 1852 roku zastosowano w praktyce urzędowe zalecenia w związku z grasującą wówczas cholerą:

...przed wyjściem z domu wypić kieliszek wódki, a zwłaszcza gorzkiej, lub szklankę grzanego piwa, albo przynajmniej ciepłego kleiku, nie jadać wędzonych mięsiw, tudzież wieprzowiny ani kiełbas, osobliwie starych, niemniej chleba z zakalcem, twardo gotowanych jaj, kwaśnego mleka, niedojrzałych owoców, ogórków, itp. i nie pić niewyrobionego i kwaśnego piwa, tudzież unikać przeładowania żołądka, osobliwie na noc, to jest nie jeść tyle, aby się zupełnie nasycić.

Bez względu na to, czy stosowano się do tych urzędowych zaleceń czy też nie, gdy piętnastego sierpnia przyszło największe nasilenie epidemii cała gmina zelowska „komunię św. przyjęła uroczyście, zdając się na wolę Najwyższego Boga".

Epidemia z 1852 roku spowodowała, że cmentarz przy kościele, o którym ks. Mozes już w 1835 roku pisał: „dla wyziewów swoich szkodliwy się staje, gdy nadto zabiera miejsce, które wedle zeznania niektórych, jako grunt obsiewany kościołowi na fundusze oddane zostało", wreszcie zamknięto. Paweł Hoffman i Fryderyk Swoboda dali wówczas swoje kawałki gruntu „pod borem" (dziś — tuż za miastem), zasadniczo bezpłatnie, gdyż tylko Hoffmann zawarował sobie, że on i jego spadkobiercy zostaną pochowani bez żadnych opłat.

Skoro już mowa o pogrzebach — po rozpowszechnieniu się sztuki fotografowania zwyczajem zelowskim, dziś już chyba nie praktykowanym, stało się robienie familijnych zdjęć przy otwartej trumnie, w której złożono zwłoki (mężczyzn dorosłych ubierano na ostatnią drogę w szaty duchownego, kobietom zakładano na głowy tradycyjne czepce). Ale to już raczej folklor, a nie medycyna. Bardziej zbliżone do Waszych zainteresowań będzie — podobno autentyczne — wydarzenie sprzed pierwszej wojny światowej, które zdarzyło się w pobliskim Kurówku, w gospodarstwie Kujata. Kopano tam właśnie nową studnię, a gdy już była prawie gotowa, spuszczono do niej syna gospodarza. W pewnym momencie chłopak wypuścił linę z ręki. Spuszczono więc na ratunek drugiego syna, ale spotkał go ten sam los. Trzeci został mocno przywiązany, lecz gdy go wyciągnięto był nieprzytomny. Po ocuceniu powiedział, że w dole są jakieś gazy, które go omroczyły. Zachowując odpowiednie środki ostrożności wyciągnięto ze studni ciała obu braci i pochowano na miejscowym cmentarzu. W nocy matce przyśniło się, że obaj wzywają ją na pomoc. Wybiegła na cmentarz, rozkopała świeży grób i gdy uchyliła wieko trumny ujrzała okropny widok. Jej syn już nie żył, ale widać było, że zmarł dopiero w grobie. Gazy w studni spowodowały jedynie coś w rodzaju letargu, z którego obudził się pod ziemią.

Najbardziej pobożni leczyli wkładaniem biblii pod poduszkę chorego, mniej pobożni parzyli zioła, wywarem z maku zaś uspokajali kapryszące w chorobie dzieci. Dorosłym najchętniej stawiano bańki, używając do tego celu szklanek i garnuszków (?!), przystawiano pijawki lub puszczano „złą krew". Popularnym środkiem leczniczym było też branie na poty, kąpiele w naparze z siana lub szyszek sosnowych, a opuchliznę zwalczano okładami ze świeżego krowieńca, który nie zdążył jeszcze upaść na ziemię...

Choroby weneryczne stały się groźne w Zelowie przed pierwszą wojną światową, kiedy to w sporej już osadzie

tkaczy-chałupników część dziewcząt znalazła „lekki chleb". W 1915 roku Austriacy zrobili na nie obławę i wywieźli do Łasku trzydzieści cztery młode kobiety, cztery skierowane zostały do szpitala na leczenie. Wśród zwolnionych kilka dostało czarne książeczki.

Pod koniec pierwszej wojny światowej groziła Zelowowi epidemia tyfusu. Trudno się dziś dziwić — ponad sześć tysięcy mieszkańców korzystało wówczas z zaledwie 285 studni. Radykalne zmiany, zwłaszcza lepsze zaopatrzenie w wodę oraz lepsze warunki mieszkaniowe nastąpiły w Zelowie dopiero po drugiej wojnie światowej. W latach międzywojennych stopa życiowa była tu bardzo niska.

Jeżeli o którejkolwiek porze dnia czy nocy wjechać do Zelowa — pisał w 1928 roku Józef Żółtaszek — to daje się słyszeć miarowy stuk warsztatów, a przez zamglone szyby widzi się pochylone w nieustannym, monotonnym ruchu, śledzące zmęczonym wzrokiem ruch czółenka...

Chałupnik nie zna ograniczenia czasu pracy, pracuje kiedy chce. Zdawałoby się, że to idylla pracować, kiedy ochota przyjdzie, a w przerwach zająć się gospodarstwem i ogrodem. Położenie chałupnika jest jednak tak ciężkie, że na rozkoszowanie się ogródkiem i polem, o ile je posiada, czasu nie ma. Nieustannie wytężona praca przy krośnie zaledwie na chleb wystarczy.

Zimą musiało też starczyć na opał. Ponieważ jednak z lasu zelowskiego zostały mizerne resztki, a węgiel był drogi, więc palono torfem z pobliskich łąk, a kogo stać było na lepszy — sprowadzał torf z Lubca (leżącego dwanaście kilometrów na południe od Zelowa). Pokłady zelowskiego torfu były grube na osiemdziesiąt centymetrów. Po wydobyciu go w dołach zbierała się woda, umożliwiając w ten sposób kąpiel dzieciom. Nieco mniej brudnym kąpieliskiem były glinianki przy ul. Cegielnianej, tak zwane „propadlisko". Nie było roku, żeby się ktoś w ich ciemnej, zimnej i głębokiej wodzie nie utopił. Zelowianie twierdzili, że nazwa „propadlisko" pochodziła stąd, iż zapadła się tam pod ziemię stara karczma, będąca niegdyś siedliskiem zelowskiej rozpusty.

Przyjemniej było już przy młynie Bary (na południe od drogi do Łobudzic), gdzie w niedziele łowiono ryby i raki, oraz przy starym młynie Niewieczerzałów, na granicy Zelowa i Bujen, gdzie oprócz rzeczki był również las i piaszczyste pagórki. Dziś planuje się zbudowanie tu dużego ośrodka rekreacyjnego, który w planach ojców miasta ma stać się konkurencją dla Kolumny i ściągnąć tłumy łodzian.

Ponieważ do lasu i piasku „na Patykach" jest dość daleko, więc na co dzień dzieci zelowskie wolały bawić się w piasku wydm za cmentarzem. W pogodne dni na wydmach tych wysiadywali też zelowscy suchotnicy, przekonani, że słońce im pomoże. W upalne dni wracali tak spaleni, że skóra z nich schodziła...

Myślę, że wystarczy Wam to dla wyrobienia sobie poglądu na sytuację higieniczno-sanitarną w przedwojennym Zelowie. I choć dziś sporo jest jeszcze do zrobienia (brak na przykład szpitala na miejscu), to jednak trzeba stwierdzić, że pod tym względem ostatnie dwudziestolecie przyniosło z sobą rewolucyjne zmiany na lepsze. Nie zabraknie więc mojemu artykułowi pozytywnego zakończenia, rzecz jednak w tym, że zebrany przeze mnie materiał na temat przeszłości jest mimo wszystko zbyt fragmentaryczny, bo przecież nie można jednej miarki przykładać i do okresu międzywojennego i do początków XIX wieku. Zelów rozwijał się ze wsi w osadę, a następnie w miasto, przechodził różnego rodzaju zmiany w strukturze demograficznej, więc trudno zebrany przeze mnie materiał określić inaczej, jak przyczynki. Inna sprawa, że nikt mi ich nie podał na talerzu, ale to nie jest tłumaczenie.

Czekając na Wasze rady, no i na wiadomość jak się Wam powodzi, serdecznie Wszystkich całuję.

List trzydziesty dziewiąty

Drogi Towarzyszu,

w tym samym dniu, co Wasz list, otrzymałem również Wasze wspomnienia zdeponowane w Zakładzie Historii Partii. Natychmiast zabrałem się do nich i „zatkało mnie". Dwa razy czytałem Wasz życiorys i nie mogłem zrozumieć dlaczego data urodzenia trochę inna, dlaczego konkretne fakty inne, dlaczego działaliście w Pabianicach, skoro z Waszych relacji w Libercu wynikało, że nie wyjeżdżaliście z Zelowa, że nawet okres okupacji tam przebyliście, a tu nagle wyjazd do Mińska w Białoruskiej SSR, potem Białystok...

Dopiero gdy sięgnąłem po dalsze materiały zawarte w teczce przekonałem się, że macie rewolucyjnego sobowtóra — to samo imię, to samo nazwisko i nawet w mniej więcej tym samym czasie siedzieliście w więzieniu na Gdańskiej — tylko, że z innego wyroku.

A teraz wracając do spraw, o które pytacie w swoim liście. Otóż gdy wyjeżdżaliście w 1946 roku do Czechosłowacji, Zelowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego zatrudniały tylko 336 osób. W następnym roku już 791, w 1948 — 1250, wreszcie w 1950 roku 2102 osoby. Produkcja wzrosła z 881 000 metrów w 1946 roku do 8 126 300 metrów w 1949 roku. Potem bywało różnie — i pod względem zatrudnienia i pod względem produkcji. A także pod względem racjonalnej gospodarki — aż do wielkiego, głośnego na całą Polskę procesu, w którym na ławie oskarżonych posadzono wiele osób z kierownictwa, a którego echa dotarły również do Was.

Ten drugi okres w historii ZZPB był konsekwencją błędów kadrowych i organizacyjnych popełnionych wówczas i w innych, większych i ważniejszych ośrodkach włókienniczych. W Zelowie był wspaniały zryw pierwszych lat powojennych. Na pewno pamiętacie, że w tkalni należącej przed wojną do Jana Słamy drzwi były bez zamków, osnowy na wałach pozrywane, lampy bez żarówek, w tkalni na ulicy Kościuszki w pustym pomieszczeniu z połamanymi drzwiami tylko silniki Diesla. W Herbertowie ocalał kocioł parowy i zdewastowana turbinownia, w dawnej tkalni Józefa Jersaka, zamienionej przez Niemców na więzienie, kocioł parowy, klejarka, magiel parowy, łóżka...

Mimo to pod kierownictwem Jana Hajka grupa robotników złożona z Wilhelma Pospiszyła, Władysława Jersaka, Władysława Mojżesza, Józefa Pospiszyła, Michała Glinkowskiego i Waszego brata Emila jako pierwsza uruchomiła tkalnię niegdyś Jana Słamy. Druga, kierowana przez Zenona Wojciechowskiego, a złożona z tkaczy: Sudaka, Słamy, Czecha, Dytrycha i innych oraz maszynisty Stanisława Zajdy uruchomiła cztery krosna w dawnej fabryczce Pawła Recława. Wreszcie Otton i Emil Rajchertowie, Józef Paprocki, Józef Walczak, Józef Pospiszył i Antoni Kłysik zmontowali i uruchomili w Herbertowie trzydzieści krosien.

Po tym zrywie odbudowy, po wyjeździe wielu Czechów a napłynięciu z okolicznych wsi nowych, niedoświadczonych pracowników okazało się, że łatwiej było połączyć dawne prywatne fabryczki w jeden duży zakład produkcyjny, łatwiej go też unowocześnić pod względem technicznym, trudniej natomiast jest wykrzesać z ludzi nowy, socjalistyczny stosunek do pracy. Nie muszę Wam przypominać, czym w dawnym Zelowie była „macówka" i sami chyba rozumiecie, że czym skorupka za młodu nasiąknie...

W 1953 roku łódzki tygodnik społeczno-kulturalny „Wieś" zamieścił reportaż Mirosławy Łojewskiej *Miasteczko zmieniających się tkaczy*, typowy dla ówczesnego, publicystycznego ujmowania tych spraw:

Tkacz-rzemieślnik wyrastał z jednej strony w atmosferze nienawiści do skupywacza, chytrego liweranta, z drugiej jednak marzył w skrytości o własnym, choćby niewielkim zrazu przedsiębiorstwie i chłonnym rynku. To też kiedy Polska Ludowa przepędziła miasteczkowych fabrykantów i pośredników, wyprostował tkacz zelowski plecy i spojrzał wstecz. Tkał potajemnie z kradzio-

nej w fabryce przędzy, wywoził towar do sklepów łódzkiej prywatnej inicjatywy, bogacił się w trybie kapitalistycznym.

Mirosława Łojewska uznała za przełom ostatnie — wówczas — lata („początek naszej wspaniałej sześciolatki"). W rzeczywistości jednak jeszcze jakiś czas trzeba było niektóre sprawy rozpatrywać na sali sądowej. A za „przełom" może należałoby uznać dopiero ową „pokazówkę". Może?

Łojewska kończyła swój reportaż wizją ofensywy kulturalnej:

Mała, szczupła, żywa jak srebro Ernestyna Tosik, robotnica fabryczna, pochodzenia chłopskiego, informuje mnie o planach kulturalnych młodzieży.

— Na naszych zakładach książek było ponad 1000, ludzi przychodziło do pracy dobre kilkaset, a czytelników — 23. U strażaków podobno trochę lepiej, bo tam książki inne, podobnież sensacyjne i kryminały. Ostatnio złe książki zabrali, ludzie przestali czytać.

— No, a jakie szanse widzicie na ożywienie życia kulturalnego miasteczka?

Ernestyna widzi wiele możliwości. Powiada, że przede wszystkim ludzie nie mają tu prawie żadnych rozrywek. Imprezy „Artosu" są jedyną atrakcją a dostać się na nie jest niezwykle trudno. Młodzież rozpoczyna walkę o kino i radiowęzeł...

Poznałem Zelów w paręnaście lat po Łojewskiej i spotkałem się z tym samym narzekaniem na brak rozrywek. Z tym tylko, że „Artos" zastępuje obecnie nie tylko „Estrada", ale też Teatr Ziemi Łódzkiej przyjeżdżający tu parę razy w roku, a także zespoły artystyczne z Czechosłowacji (ostatnio np. zespół pieśni i tańca „Zemplin" z Michalovec). „Walka" o radiowęzeł zakończyła się pełnym sukcesem, i obecnie należy do zamierzchłej przeszłości, ponieważ komu w Zelowie potrzebny dziś głośnik radiowęzła? Wystarczy spojrzeć na las anten telewizyjnych na dachach.

Gorzej z kinem, wywalczono wprawdzie jedno, ale gdy byłem w Zelowie skarżono się, że od lat czeka na modernizację i pozbycie się swej trzeciej kategorii. Można by

mówić jeszcze o Klubie „Ruchu" czy Bibliotece Publicznej, ale można by też pomarzyć o Domu Kultury...

Wróćmy jednak do spraw, które Was, tkacza z dziada pradziada, najbardziej interesują.

W 1954 roku wydzielono Zelów i Herbertów jako odrębną gromadę, po to tylko, żeby dosłownie w trzy dni potem nadać jej nazwę i uprawnienia osiedla. W ten sposób zaczęto zrywać z fikcją wsi, kilkutysięcznej wprawdzie, ale wsi. W niecałe trzy lata później, 28 stycznia 1957 roku, otrzymał Zelów prawa miejskie.

Parę tygodni wcześniej, w ZZPB, w wyniku wprowadzonych wówczas reform w zarządzaniu gospodarką, powstała Rada Robotnicza, a nieco później dyrektorem Zakładów został Stefan Chrapkiewicz, który postanowił uczynić z tego przedsiębiorstwa coś, czego nie trzeba się wstydzić.

Rozmawiałem z dyr. Chrapkiewiczem kilka ładnych godzin, ale że nie znam się na przemyśle włókienniczym, trudno mi ocenić, o ile jego koncepcje są realne i słuszne. Przekonał mnie jednak co do jednego: Zelów jest dziś ściśle uzależniony nie od chałupnictwa, jak to było za Waszych czasów, przed wojną, ale od ZZPB. Nie tylko ze względu na to, że w Zakładach pracuje ponad dwa tysiące osób (a w Zelowie jest teraz 7500 mieszkańców). Wiele inwestycji miejskich może być zrealizowanych jedynie dzięki współdziałaniu z Zakładami. A ludzie kierujący losami „nowomianowanego" miasta są wielkimi patriotami lokalnymi i robią co mogą, aby zakasować historyczny Łask, stolicę powiatu...

Wiele wskazuje na to, że ZZPB doczekają się wreszcie obiecywanych od dawna w Łodzi, a nawet w Warszawie, inwestycji perspektywicznych. Przede wszystkim przędzalni w Herbertowie. Można nawet powiedzieć, że Zakłady zasłużyły sobie na te poważne inwestycje, utrzymując bowiem liczebność załogi bez zmian rozwinęły znacznie produkcję w porównaniu z latami 1949—1950. Trzykrotnie, jeśli liczyć wyprodukowane metry — ponad dwukrotnie,

jeśliby liczyć wątkami. Dotychczas ZZPB musiały zadowolić się inwestycjami na mniejszą skalę: magazyny, hydrofornie, kotłownia, świetlica.

Jeśli zaś chodzi o tradycje chałupnicze, to najbardziej przywiązani do tej formy pracy mogą ją kontynuować w spółdzielni. W 1947 i w 1949 roku powstały w Zelowie dwie spółdzielnie pracy, które w 1952 roku połączyły się we Włókienniczą Spółdzielnię Pracy im. Okrzei (w 1958 roku zmieniono jej nazwę na „Krosno"). Obecnie Spółdzielnia pracuje na eksport, co dobrze świadczy o jakości jej wyrobów.

Jak więc widzicie, współczesny Zelów wprawdzie powoli, ale rozwija się. Możliwe, że nie na miarę potrzeb mieszkańców, ale przecież nie jeden Zelów jest w województwie łódzkim. Poza tym — jak dotąd — koncepcje planistów jeszcze się nie wykrystalizowały. Dyr. Chrapkiewicz na przykład widzi Zelów i „swoje" Zakłady jako ważny element „osi przemysłowej" Bełchatów—Zelów—Łask—Zduńska Wola. Miałaby to być naturalnie „oś włókiennicza", coś w rodzaju gigantycznej taśmy produkcyjnej łączącej kilka miast specjalizujących się w poszczególnych fazach przerobu surowca.

No, czas na dziś kończyć, zwłaszcza, że nie przewertowałem jeszcze teczki z Waszymi wspomnieniami, a z drugiej strony kolejne rozdziały książki czekają na napisanie.

Serdecznie Was i Waszych pozdrawiam. Pozdrowienia też dla zelowian w Cvikowie!

List czterdziesty

Szanowny Panie Doktorze,

dziękuję za wyłożenie Pańskich racji za słusznością i potrzebą wiązania wierności dla wiary ojców z wiernością dla mowy i narodowości. Postaram się przedstawić je w swojej książce lojalnie, choć nie bezkrytycznie. Wychodzimy z różnych założeń światopoglądowych i byłoby niesłusznym ukrywać ten fakt. Wymiana poglądów, choćby i diametralnie różnych, prędzej doprowadzi do jakiegoś zbliżenia niż głuche milczenie.

A teraz sprawy poruszone w ostatnim liście Pana Doktora. Mičan — jak Pan może zauważył — twierdzi, że osiedlanie się Zelowian w Żyrardowie rozpoczęło się w 1871 roku, tymczasem wykaz wójta pożdżenickiego z czerwca 1863 roku wylicza również tkacza Karola Kupca, który „mieszka obecnie w Żyrardowie", a w jedenaście lat potem ewangelicko-reformowana parafia w Żyrardowie ma kantora nazwiskiem Karol Kulhawy — niewątpliwie pochodzącego z Zelowa. Za czasów jego następcy, Pawła Kamińskiego (również z Zelowa), zbór żyrardowski składał się już z 670 dusz. W ostatnich latach XIX wieku wielu z nich wyjechało jednak do Ameryki i Rosji.

Przypuszczam, że mieszkając od lat w Pradze, nie zetknął się Pan z notatkami policji carskiej, które opublikowała Żanna Kormanowa w 1958 roku w czasopiśmie „Z pola walki". Wynika z nich, że jeden z uczestników słynnego żyrardowskiego strajku z kwietnia 1883 roku, Paweł Stelik (transkrypcja z pisowni rosyjskiej — powinno być niewątpliwie Stehlik), wyznania ewangelickiego, „imuszczestwa nie imiejet, zarabywajet ot 6 do 7 rub. w dwie niedieli, uczestnik w prokopanii rwa dla spuska wody. Złoj i rasputanyj czeławiek". Wiele przemawia za tym, że Stehlik nie był jedynym Czechem zelowskim, który w Żyrardowie czy Łodzi przyłączył się do rewolucjonistów.

Druga sprawa poruszona przez Pana Doktora: dlaczego Czesi w połowie XIX wieku musieli opuszczać Zelów i dlaczego inni (Żydzi, Polacy, Niemcy) mogli jednak w Zelowie znaleźć utrzymanie.

Zjawisko to występuje nie tylko w połowie XIX wieku. Obliczyłem na podstawie sprawozdań urzędnika stanu cywilnego, że w latach 1871—1880 przyszło w Zelowie na świat 1253 dzieci ewangelików-reformowanych, zapisano

zaś zgon 656 osób. Dodając — w przybliżeniu — nadwyżkę Czechów-baptystów możemy powiedzieć, że liczba zelowskich Czechów wzrosła wówczas o prawie siedemset osób. Tymczasem liczby mówiące o ogólnym wzroście ludności Zelowa wykazują co innego.

Liczba ewangelików obejmuje również przynajmiej kilkudziesięciu Niemców w samym Zelowie oraz co najmniej 500 Niemców w Pożdżenicach czyli, że Czechów zostaje zaledwie około 2500. A w 1870 roku było ich w całej parafii 2274 osób. Ponieważ granice parafii nie pokrywały się z granicami gminy, więc potrzebne są może i znaczne korektury. Skoro jednak w dziesięcioleciu 1871—1880 nadwyżka urodzin nad zgonami wynosiła u Czechów do 700 osób, to do 1887 roku powinna była wynosić około 1000 osób, a nie 226 jak podały ówczesne władze.

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że po 1860 roku rozpoczął się exodus Czechów z Zelowa i że trwał on długo. Jakie jednak były tego powody?

Z Faustynowa na pewno wypędzała Czechów bieda, ale Faustynów to przecież mała wioska. Z Kucowa i Zelowa także szli ludzie „za chlebem". Ale czy zawsze za suchym chlebem? Odnoszę wrażenie, że należałoby rozpatrzyć całą sprawę również w aspekcie uwłaszczenia chłopów polskich oraz ukraińskich — na Wołyniu.

Zofia Cichowska w swej monografii *Kolonie czeskie na Wołyniu* twierdzi, że kilka rodzin czeskich z Zelowa wyemigrowało na Wołyń już w latach 1859 i 1861, zakładając tam dwie kolonie — Pogorzelec i Podhaje Czeskie. A Vladimir Mičan w książce *Česka emigrace v Polsku a na Volyni* dodaje, że w 1860 roku siedem czeskich rodzin z Zelowa osiedliło się w gminie Nemery, w okolicy Kowla, zakupując tam ziemię od dziedzica Radziewicza. Wreszcie według B. Procházki *(Čeští vystěhovalci* w kalendarzu „Mir" na 1903 rok) w 1861 roku dwie zelowskie rodziny wyjechały do guberni chersońskiej.

Wszystko to — proszę pamiętać! — działo się przed

uwłaszczeniem chłopów w Rosji. W 1863 roku próbowali takiej eskapady po złote runo również i Czesi z Faustynowa, nie doszło to jednak do skutku. Czy przypadkiem nie dlatego, że byli za biedni? A może w takich sytuacjach z okazji korzystają tylko silniejsi?

Uwłaszczenie chłopów w Królestwie Polskim zniwelowało dotychczasowe, „wyższe" położenie Braci Czeskich. Zelów przestał być atrakcyjny jako oaza wolnych chłopów dorabiających tkactwem. Z drugiej strony zarówno gromadne (Kuców, Faustynów, Pożdżenice), jak i indywidualne (tu można by wymienić z kilkanaście wsi) lokowanie oszczędności w uwłaszczanych właśnie wsiach polskich przestało się opłacać. Tak więc czeska biedota szła do Łodzi i Żyrardowa (a kobiety jeszcze w okresie międzywojennym bywały często służącymi w Warszawie, zwłaszcza u tamtejszej plutokracji wyznania ewangelickiego). Bogatsi i bardziej przedsiębiorczy zaczęli rozglądać się za innymi stronami. Kapitalizm mniej jednak sprzyjał zbiorowemu działaniu, toteż Bracia Czescy nie utworzyli na Wołyniu tak zwartych ośrodków, jak śląskie czy zelowsko-kucowski.

Użyłem określenia „Bracia Czescy" celowo, bo pojęcie to wówczas zaczęło ginąć. Na Wołyń pojechały już tylko nieliczne grupki baptystów i ewangelików-reformowanych z Zelowa i z Kucowa, dopiero po nich napłynęła wielotysięczna rzesza katolickich osadników bezpośrednio z Czech. Warto by prześledzić, jak przebiegało to spotkanie na obczyźnie dwu czeskich fal osadniczych — starej i nowej.

Według Jana Šebesty (w artykule *Polonia restituta* w „Kalendař českobratrský" na 1931 rok) zelowianie w kilkadziesiąt rodzin przybyli w 1864 roku do wsi Lutardówka, a po czternastu latach kupili Michajłówkę w latyfundiach ks. Radziwiłła, Česky Haj (pierwotna nazwa Chorostowo) od niejakiego Piątkowskiego, Czeski Zawidów w powiecie równieńskim, wreszcie w 1902 roku Mirotyn (zwany też Czeskim Hlupaninem) — w powiecie ostrogskim.

Autorzy prac poświęconych Czechom na Wołyniu twier-

dzą, że „Zelovák" odróżniał się od katolickich osadników z monarchii austro-węgierskiej nie tylko wyznaniem, ale też pewnym separatyzmem i surowością obyczajów. Jan Auerhan w książce *Česke osady na Volyni, na Krymu a na Kavkaze* pisze, że w Michajłówce nie ma karczmy, a młodzież nie zna tańców. Tę ostatnią „rozpustę" uprawiali tylko ci, którzy jakiś czas przebywali poza rodzinną wsią. Wprawdzie w Zelowie tańce były także na indeksie, ale karczem nigdy nie brakowało. Wygląda więc na to, że w nowym miejscu pobytu nastąpiło „usztywnienie" obyczajów.

Wytykając „zelovákom" (w 1920 roku!) trzymanie się na uboczu czeskiego życia na Wołyniu Jan Auerhan musiał jednak przyznać, że byli oni bardziej odporni na próby ich wynarodowienia.

Czytałem w Michajłówce — pisze — list przysłany tam przez jednego z obywateli zelowskich w związku z wycieczką do Pragi i Białej Góry. Ileż w tych paru linijkach było miłości do starej ojczyzny, ileż miłości dla czeskiej przeszłości, ileż wreszcie cierpienia i bólu zrodzonych wspomnieniem tragedii białogórskiej... A do domu przywiózł z tej wycieczki na pamiątkę grudę czeskiej ziemi, aby ją tu przechować jak najdroższy klejnot.

Napis na jednym z nagrobków zelowskiego cmentarza mówi, że spoczywa pod nim Józef Valasek, który zmarł w Zelowie w marcu 1942 roku mając 66 lat, a urodził się „v Plosce na Volyni". To był na pewno rzadki wyjątek, więcej było takich, którzy urodzili się w Zelowie, a umarli na Wołyniu. Lecz przecież ten wołyński exodus musiał się kiedyś skończyć. Kiedy konkretnie — nikt tego nie określił. Mnie się wydaje, że jeszcze w XIX wieku. A nastąpiło to być może w związku z tym, co nazwałbym dostosowaniem się zelowskich Czechów do nowych warunków życia w rejonie Łodzi. To dostosowanie się sprawiło, że ludność polska w Zelowie wzrosła wprawdzie ośmiokrotnie, a żydowska pięciokrotnie (w latach 1887—1909), ale Czesi zachowali jednak w osadzie hegemonię.

Nie ulega wątpliwości, że pod koniec XIX wieku musiało zaistnieć w Zelowie to dostosowanie się miejscowych Czechów do nowych, kapitalistycznych warunków ekonomiczno-społecznych. Szkoda, że nie natrafiłem dotychczas na jakieś konkrety, które potwierdziłyby moją hipotezę. Pośrednim dowodem mogłaby być sprawa Żydów w rozwoju produkcji zelowskiej. Otóż Czajkowski podaje, że pod koniec XIX wieku przedsiębiorcami zelowskimi byli: (zapewne Polak) Łubiński, Czesi — Hajek, Niewieczerzał, Rajchert, Błazejus, Frezewitte oraz Żydzi — Fiedler, Mac, Tajtelbaum, Freindt, Libermann, Brandt. Natomiast według spisu z 1885 roku (obejmującego mieszkańców płacących składkę szkolną) „fabrykantami" płacącymi najwięcej (proporcjonalnie do dochodów) byli kolejno: Szaja Rozenblum, Abram Lindermann, Abram Icek Kupferwasser, Sucher Lewi, Wigdorowicz, Czaklower, Poznersohn.

Tak więc trzeba to sobie powiedzieć: w ciągu 10—15 lat wśród Żydów zelowskich nastąpiło całkowite „przetasowanie", jeśli chodzi o najbogatszych. W życiu gospodarczym Zelowa byli oni „meteorytami", natomiast „ciała stałe" to na pewno Czesi.

Wołyński exodus zelowian był ostatnią próbą zrealizowania marzeń o własnej ziemi jako podstawie egzystencji. Wynikiem zaś zelowskiego dostosowania się do „nowej rzeczywistości" stało się zdegradowanie ziemi-rodzicielki do roli pomocniczej. Sama adaptacja nie była jednak na pewno wyłącznie aktem woli. W wyniku rozwoju łódzkiego ośrodka włókienniczego zaistniały „marginesy" w produkcji maszynowej. Owe „marginesy" nieopłacalne z „fabrycznego punktu widzenia" stały się niezwykle korzystne dla tkaczy ręcznych. Tak więc chałupniczy Zelów zaczął żyć z tego, co nie mieściło się w wielkiej strukturze ekonomicznej Łodzi.

Na przełomie XIX i XX stulecia specjalnością zelowską stała się produkcja satyny (ceniono zwłaszcza satynę dostarczaną przez Brandta), którą w stanie surowym wywożono do Łodzi, dla wykończenia i farbowania w apreturze

Benicha. Produkcja jej zaczęła zanikać, gdy zaprzestano sprowadzać odpowiednie gatunki wełny z Rosji, a później z Anglii. Oprócz satyny produkowano w Zelowie materiały wełniane na palta (Łubiński i Niewieczerzał), „bojki" czyli barchany, bawełniane chustki, materiały na kożuchy, sienniki i materace. Już około 1900 roku wytwórnia Fidlera, a później Maca zaczęły specjalizować się w produkcji pluszu. Na mniejszą skalę produkowali go wówczas Jankiel Libermann, Światłowski, Rozenblum, Kohn, Paluch i Frydman.

Już wkrótce jednak, bo w latach 1906—1914 zelowianie zaczęli przerzucać się na produkcję poszukiwanego i modnego wówczas pluszu o bawełnianej osnowie i wełnianym wątku. Stosowano go na suknie damskie oraz jako materiał dekoracyjny (kapy na łóżka, zwane w Zelowie „kołdrami", portiery, tapicerka meblowa itp.).

Na 1200 warsztatów ręcznych połowa wyrabiała plusz, połowa tkaniny wełniane i bawełniane. Ponieważ jeden warsztat mógł tygodniowo wyprodukować 70—80 arszynów pluszu, wartość produkcji ogólnej wynosiła około 63 tysięcy rubli. Odpowiednie przeliczenie dla tkanin bawełnianych i wełnianych daje wskaźnik zaledwie 29 tysięcy rubli, można więc śmiało powiedzieć, że to plusz zadecydował o rozwoju Zelowa, w którym tygodniowy przypływ gotówki wyrażał się teraz liczbą około ośmiu tysięcy rubli.

W kilkutysięcznej osadzie nastąpił znaczny wzrost budownictwa. Trzy nowopowstałe cegielnie ledwie nadążały z produkcją (w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Zelów posiadał już 550 domów). Pojawiły się także pierwsze fabryki mechaniczne zatrudniające robotników, były jednak małe i nie odgrywały większej roli w życiu osady. Rozszerzyły się kontakty ze światem — pierwszą linię telefoniczną uzyskał Zelów już w 1907 roku (jedyny zresztą aparat znajdował się w urzędzie gminnym).

Wojna rosyjsko-japońska powodowała okresowy zastój w przemyśle łódzkim, co odbiło się niepomyślnie na życiu

uzależnionych od Łodzi ośrodków tkackich. Bezrobocie pogłębił jeszcze nieurodzaj i wielu zelowian zmusiła wówczas bieda do wyjazdu na sezonowe roboty do Prus. Niektórzy próbowali szczęścia w Rosji. Pożdżenicki kantor Karol Jersak wiosną 1904 roku prosił o zwolnienie go ze stanowiska, motywując to stanięciem fabryki tkackiej, „z której to profesji jest moim i rodziny mojej głównym utrzymaniem, gdyż szczupła pensja nie wystarcza mnie ani na połowę mojego utrzymania". Gdy minął kryzys i zdławiona została rewolucja, życie w Zelowie polepszyło się i w 1907 roku Karol Jersak powrócił z Rosji znów na stanowisko kantora.

Ponieważ w wojsku plusz nigdy nie miał zastosowania, wybuch wojny w 1914 roku stał się katastrofą dla zelowskich tkaczy. Wielka Wojna zaczęła się w Zelowie nie zamachem sarajewskim, lecz rozstrzelaniem przez Rosjan podejrzanego o szpiegostwo, w rzeczywistości jednak zupełnie niewinnego, jednego z Anderszów. Przejście frontu pociągnęło za sobą spalenie kilku domów. Gdy w Łodzi stanęły fabryki — również w Zelowie zabrakło przędzy. Zaczęło się bezrobocie — bieda — głód...

Tuż pod Zelowem wytyczona została granica między niemiecką i austriacką strefą okupacyjną. Wielu tkaczy „przekwalifikowało się" wówczas na przemytników. Zgodnie z zelowską tradycją do nowej „pracy" nadawały się również dzieci. Opowiadała mi jedna z mieszkanek Zelowa, jak to niby pasąc krowy na łące, po kilka razy dziennie przechodziła granicę, kryjąc pod przyodziewkiem po parę litrów nafty, której u Austriaków było więcej niż u Niemców.

Bezpośrednio po wojnie w zniszczonej Europie wzrosło zapotrzebowanie na materiały. Po krótkotrwałej koniunkturze nastąpił jednak w Zelowie kryzys. Zamiast ciężkiego i drogiego pluszu ludzie woleli kupować lekkie i tanie kretony, a te można już było produkować maszynowo. Stąd zmiana „profilu produkcji" zelowskich chałupników. No, ale ten okres jest dobrze Panu Doktorowi znany, więc nie będę zatrzymywał się na szczegółach, zwłaszcza, że intere-

suje Pana raczej narodowy niż socjalno-ekonomiczny aspekt całej sprawy.

Jeśli z tego co napisałem wynika, że w drugiej połowie XIX wieku Czesi nie byli wypierani z Zelowa, a przejściowe osłabienie ich pozycji w osadzie spowodowane było exodusem wołyńskim (noszącym cechy raczej ekspansji niż wygnania), to w odniesieniu do lat 1918—1939 gotów jestem przyznać, że zaistniała wówczas tendencja wypierania Czechów z Zelowa. Polskie marzenia tego rodzaju nie miały jednak zbyt realnych szans i wyraziły się przede wszystkim w „opracowaniu statystycznym". W codziennym życiu wójta Swobodę z okresu niemieckiej okupacji zastąpił po prostu Jersak, a następnie Włodzimierz Pospiszył. Ten ostatni miał wprawdzie sekretarza Polaka (Jakóba Petrykowskiego), ale na tableau z 1931 roku — którego reprodukcję Panu przesyłam, gdyż nie posiada jej Pan w swoich zbiorach — łatwo można policzyć: ośmiu Czechów, pięciu Polaków, dwu Niemców i dwu Żydów. Proporcje te ułożą się trochę inaczej, gdy od Zarządu Gminy oddzieli się pochodzących z wyboru członków Rady Gminnej, ale nawet i wówczas okaże się, że pozycja Czechów w Zelowie była twarda.

A pozycję tę umacniało powstanie niepodległej Czechosłowacji. Wprawdzie kilkadziesiąt rodzin wyemigrowało i osiedliło się w Třebutičkach pod Litomierzycami, w Vikýřovicach pod Šumperkiem, w Encovanach, Sulejovicach, w Siřejovicach, wprawdzie ks. Radechovsky musiał opuścić Zelów jako persona non grata, lecz z drugiej strony właśnie w okresie międzywojennym możliwe było — z poparciem ambasady czechosłowackiej w Warszawie — rozbudowanie księgozbioru czeskiego oraz wysyłanie dzieci zelowskich na wakacje do Czech. Rozwinął się wówczas na szeroką skalę kolportaż pism i kalendarzy czeskich (dziś jeszcze można znaleźć w Zelowie „Českobratrską Jednotę", „Pražske Noviny", „Mlady svět", „Pestrý týden", „Ružovy Palouček", Světlo", „Kostnicke Jiskry", „Mir" i inne). Zelów odwiedzali często publicyści i księża z Czech. Młodzież czeska skupiła się w Sdruženi mládeže, którego główną formą działania był słynny na całą okolicę chór. Parafia ewangelicko-reformowana („czeska") zbudowała sobie w rynku trzypiętrowy (najwyższy wówczas w osadzie) dom, który miał się stać ośrodkiem życia czeskiego, a komorne z wynajmu mieszkań na piętrach zwiększyć miało dochody zboru.

Piszę o tym nie dlatego, aby uspokoić swoje polskie sumienie, wiem bowiem również, że w latach 1922—1930 w Państwowym Ewangelickim Seminarium Nauczycielskim w Ostrzeszowie uczyli się młodzi zelowianie (Rudolf Niewieczerzał, Jarosław Fibich, Wilhelm Najman, Józef Tomesz, Karol Zaunar, Józef Swoboda, Karol Taraba, Józef Smetana, Karol Kupec, Mirosław Najman, Karol Ransz, Wilhelm Wondraczek, Karol Najman), a seminarium nauczycielskie w Cieszynie ukończyła Anna Kupec, Czenia Walta, Milena Pospiszył i Maria Engel — a mimo to żaden nauczyciel Czech nie mógł uczyć w Zelowie...

Na pewno dyskryminacją ze strony polskich władz szkolnych było odmawianie Czechom prawa do szkoły w czeskim języku nauczania, a już żenujące dla mnie jako Polaka są statystyczne próby polonizowania zelowskich Czechów.

Edward Maliszewski w broszurze *Stosunki narodowościowe w Rzeczypospolitej Polskiej* podaje liczby dla różnych narodowości w województwie łódzkim, ale nie wyodrębnia Czechów. Znaczy to, że muszą się oni zmieścić w rubryce „inni", w której podano zaledwie 1000 osób... Zygmunt Urbański w książce *Mniejszości narodowe w Polsce* uwzględnia Czechów jedynie na Wołyniu, a dopiero w rozdziale poświęconym wyznaniom religijnym wymienia zbór kalwiński w Zelowie i dodaje: „Zbory w Zelowie i Michałówce (na Wołyniu) skupiają po kilkaset osób ludności czeskiej". Bardziej precyzyjny jest Julian Suski w *Statystyce narodowościowej Rzeczypospolitej Polskiej opracowa-*

nej na podstawie wyników spisu ludności z dnia 30 IX 1921 roku. Podaje on dla powiatu łaskiego 148 633 mieszkańców, w tym 1,2 proc. Czechów. Po przeliczeniu otrzymujemy liczbę 1784 osób, wprawdzie w całym powiecie, ale i w takim ujęciu jest ona już większa od ogólnikowego „kilkuset”.

W oparciu o ten sam spis opublikowano w 1925 roku *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej* (tom II, województwo łódzkie). Wynika z niego, że w całej ówczesnej gminie Zelów było 1304 Czechów, 482 Niemców, 552 Żydów i 5270 Polaków. Tenże sam spis zalicza do wyznania mojżeszowego 1859 osób. Istniała wprawdzie wśród polskich Żydów tendencja do asymilacji, ale bardzo wątpię, aby aż 1307 zelowskich mieszkańców wyznania mojżeszowego posiadało wówczas polską świadomość narodową. Bohdan Wasiutyński w studium *Ludność żydowska w Polsce w wiekach XIX i XX* podając, że w 1921 roku na 5362 mieszkańców Zelowa było 1816 Żydów, jedynie 43 osoby wyznania mojżeszowego zalicza do Polaków. Taki odsetek — wskaźnik asymilacji Żydów wydaje mi się już bardziej prawdopodobny.

Tadeusz Czajkowski („osoba prywatna”) nie podaje źródła swej informacji, ale było ono chyba bardziej kompetentne od opublikowanych wyników spisu ludności. Według Czajkowskiego w 1926 roku miało być w Zelowie i okolicy 3628 Czechów (3170 w samym Zelowie, 157 w Ignacowie, 7 w Weronice, 6 w Nowej Woli i 288 w Pożdżenicach). Dodając Czechów z Faustynowa, Kucowa i paru innych wsi tegoż regionu otrzymamy liczbę ponad 4000 potomków „Braci Czeskich” z 1802 roku. Pomijając naturalnie tych, którzy wywędrowali do Łodzi, Żyrardowa czy na Wołyń, a bywali też zelowianie i w Królewcu i na Syberii i w Argentynie.

Ówczesne źródła czeskie wyżej szacują liczbę Czechów w Polsce. Na przykład Seifert w czasopiśmie „Naše zahraniči” w 1922 roku mówi o 5200 w samym Zelowie

i 300 w okolicznych wsiach (poza tym wymienia: „1500 Polaków i trochę Niemców”, przemilcza natomiast Żydów).

W Zelowie do dziś słowo „katolik” uznawane bywa z reguły za synonim „Polaka”. W *Skorowidzu* z 1925 roku nie wykazano tego rodzaju uprzedzeń, ale chyba posunięto się za daleko podając, że na 5270 „Polaków” było w Zelowie w 1921 roku tylko 3646 katolików. W Kucowie natomiast wymieniano 283 Polaków ewangelików reformowanych, ale ani jednego Czecha...

Nie wątpię, że zelowscy Czesi brali sobie wówczas do serca ten „statystyczny teatr cudów”. Dziś spójrzmy na niego jednak raczej z humorystycznego punktu widzenia. Oto anegdota, którą opowiadał mi z właściwą sobie jowialnością pastor łódzkiego zboru ewangelicko-reformowanego ks. Jarosław Niewieczerzał. Na parę lat przed wybuchem drugiej wojny światowej przyjechał on do Zelowa, do rodziny, jako warszawski student teologii. Przyzwyczajony do stołecznych zwyczajów poprosił o coś w żydowskim sklepiku po polsku. Żydówka była tam zaskoczona i niemal przerażona: „vy ne mluvite po česku?” — zapytała.

Bo w Zelowie na codzień wszyscy, zgodnie — Polacy, Czesi, Żydzi i Niemcy a także Rosjanin, były naczelnik poczty pan Sachadyniuk — „mówili po czesku”.

I dlatego wydaje mi się, że dziś najrozsądniejszą rzeczą byłoby jednak utworzenie w Zelowie czeskiego muzeum regionalnego. Rozmawialiśmy o tym, gdy byłem w Pradze. Myślę, że gdy dojdzie do realizacji tego pomysłu wspólnie, z pomocą zelowian mieszkajacych obecnie w Czechosłowacji ratować będziemy od zapomnienia to, co w dawnym Zelowie było inne i cenne.

Jeśli chodzi o moją książkę to przypuszczam, że już za parę tygodni będę mógł wysłać maszynopis do Wydawnictwa. Kiedy się rzecz ukaże — trudno przewidzieć — biorąc zwłaszcza pod uwagę trudną sytuację w poligrafii.

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku, dla Pani ukłony.

List czterdziesty pierwszy

Kochana Mamo,

wczoraj skończyłem pisać *V Zelovĕ pod Łodzią*. Prawdę mówiąc to nie jestem całkowicie zadowolony, ale kiedyś trzeba było przecież skończyć tę dłubaninę i zdecydować się na jakieś uogólnienia. Zdaję sobie sprawę z tego, że to co napisałem jest subiektywne, a może nawet niesprawiedliwe, spodziewam się więc, że recenzja, a potem redaktor, patrząc z boku (oby tylko nie z góry!) wskażą mi niektóre „błędy i wypaczenia". A potem — będzie jeszcze trudniejsza konfrontacja z czytelnikami. Część z nich zawierzy mi na słowo honoru, ale znający sprawy zelowskie inaczej zareagują na tę książkę. Inaczej, to znaczy zarazem: bardzo różnie. Nie tylko w sensie: pochwała lub przygana, ale też: inne rozłożenie acentów, inne wnioski z tych samych faktów.

Konfrontację z czytelnikami chciałbym rozpocząć już teraz, od Mamy. Wybrałem rozdział, który nie wymaga specjalnej wiedzy o Zelowie. Chodziłoby więc w tym przypadku nie tyle o sprawdzenie autentyzmu realiów, co o słuszność takiego a nie innego skomponowania zebranych materiałów.

Rozdział nosi tytuł:

Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek...

Szubienicę przywieziono do Zelowa wkrótce po bitwie stalingradzkiej, hitlerowcy zadecydowali bowiem, że w Warthegau, w każdej miejscowości zamieszkałej przez Żydów, powieszonych zostanie dziesięć osób wyznania mojżeszowego. Dla zaoszczędzenia drzewa postanowili również, że nie będzie się budowało wielu szubienic. Wystarczy jedna, dziesięcioosobowa, przewożona z jednej miejscowości do drugiej.

A więc po bitwie stalingradzkiej przyszła kolej na „deutsche Stadt Sellau"...

Gdy przywieziono z Bełchatowa szubienicę wszyscy wiedzieli już, że to Żydzi będą na niej wieszani. Nie wiedzieli jednak — którzy? Czy będzie to sklepikarz, u którego kupowałeś przed wojną cukier? Czy może tkacz z naprzeciwka? A może ktoś ci nieznany?

Nie wiemy jakimi kryteriami kierowała się wówczas Rada Żydowska w Zelowie wybierając na rozkaz hitlerowców dziesięciu spośród swoich rodaków skazanych na zamordowanie. Nie wiemy i nie dowiemy się chyba już nigdy...

Do trzech tysięcy Żydów, którzy tu przed wojną mieszkali doszły po 1939 roku dwa tysiące tych, którym zdawało się, że wśród Czechów będą bezpieczniejsi. Z tych pięciu tysięcy ocalało tylko kilkadziesiąt osób. A tylko dwóch mieszka obecnie w Zelowie. Nie pytałem ich, jakimi kryteriami kierowała się Rada Żydowska wybierając skazanych. I chyba nigdy się ich o to nie spytam.

Żydom w tym czasie nie wolno już było chodzić po zelowskich ulicach, ale gdy uwięziono ofiary przeznaczone na zamordowanie, żony ich poszły do niemieckich władz prosząc o litość. Odpowiedzieli im: „to nas nic nie obchodzi, wasza Rada wybrała, wasi ludzie będą wieszać. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to wasza żydowska sprawa!"

Po wyznaczeniu dziesięciu ofiar Rada Żydowska wybrała dziesięciu katów. Podobno rzucono wówczas losy.

Gdybyśmy spotkali gdzieś w NRF Ferdynanda Kratochwila, Ortsgruppenleitera zelowskiego NSDAP (urodzonego na Węgrzech, przybyłego tu z Westfalii — będzie miał dziś, jeśli nie umarł jeszcze w gronie rodziny i przyjaciół, ponad siedemdziesiąt lat), gdybyśmy spotkali jego zastępcę Gerharda Mertensa (zarazem kierownika szkoły i dowódcę Volkssturmu) lub kierownika Arbeitsamtu Juppa Fuchsa, lub wachmistrza Oskara Kube lub policjanta Johanna Neumanna, który urodził się jako zelowski Jan Nowak, gdybyśmy spotkali gdzieś w NRF Amtshauptmannów Hansa Bergera z Zelowa i Tramlera z Bełchatowa czy też

Polizeikommissara Rossa z Bełchatowa, gdybyśmy pokazali im zdjęcia z egzekucji w Zelowie, zapewne uśmiechnęliby się dobrodusznie — tak jak uśmiechają się do nas na tych zdjęciach — i powiedzieliby: „to przecież nie była nasza sprawa — to sami Żydzi swoich powiesili!"

Władze niemieckie jak zwykle w takich okolicznościach dbałe o „Ordnung" — porządek — zatroszczyły się już zawczasu o to, aby spędzeni na rynek mieszkańcy ustawieni byli w równych szeregach. Osobno — z tyłu szubienicy — Żydzi, osobno — po obu bokach — Czesi i Polacy. Naturalnie — wszyscy. W fabrykach o jedenastej zarządzono w tym celu przerwę w pracy. Dla nielicznych Niemców przeznaczona została swobodna przestrzeń przed szubienicą.

Gdy z więzienia przyprowadzono dwudziestu Żydów nikt na placu nie wiedział jeszcze, którzy z nich są katami, a którzy ofiarami. Szli razem. Dopiero pod szubienicą katom kazano stanąć w drugim rzędzie. W pierwszym, obok siedemnastoletniego chłopca znalazł się ojciec siedmiorga dzieci. Skazani mieli ręce związane z tyłu, kaci stali za nimi nieskrępowani. Ze spuszczonymi głowami.

Tylko jeden ze skazanych poruszał wargami. Patrząc w okna swego domu mówił coś do siebie. Może się modlił?

Potem skazani odwrócili się i długą chwilę rozmawiali z tymi, którzy mieli ich powiesić. Między dwoma skazanymi rozwinęła się żywa dyskusja, w końcu jeden z nich powiedział coś stojącym z lewej strony, drugi tym, co znajdowali się z prawej. Wszyscy skazani nadal byli całkowicie spokojni i odnosiło się wrażenie, że pocieszają tych, którzy musieli ich powiesić. Że dodają im otuchy.

Po godzinie czekania, punktualnie jednak i zgodnie z planem o dwunastej w południe, zajechały na zelowski rynek samochody z dostojnikami z Bełchatowa. Przyjezdni przywitali się z miejscowymi hitlerowcami wymieniając kordialnie uścisk dłoni i przyjacielskie uśmiechy. Fotograf zrobił im na pamiątkę zdjęcie na tle szubienicy. Jeden z gestapowców pozwolił wówczas przewodniczącemu Rady odczytać „wyrok". Podszedł następnie do szubienicy i zawołał: „Auf".

Ci, którzy mieli wieszać, chcieli pomóc tym, którzy mieli być wieszani, lecz wszyscy o własnych siłach weszli na pomost szubienicy. Gdy założono im już stryczki na szyję, skazani jednocześnie krzyknęli po hebrajsku: „Bóg z nami!"

— Eins, zwei, drei! — odpowiedział im pośpiesznie gestapowiec.

Ciała skazanych nie zawisły jednak. Żydzi, którzy mieli wieszać, za słabo pociągnęli za sznury mające wyrwać pomost spod nóg ofiar. Każdy z nich chciał przecież jak najmniej przyczynić się do śmierci...

Dopiero za drugim szarpnięciem egzekucja została wykonana.

Zgromadzonym pozwolono rozejść się do domów, względnie powrócić do pracy. Tylko Polacy i Czesi rozeszli się, Żydzi uciekli, hitlerowcy natomiast udali się spokojnie na bankiet. Zelowska Rada Żydowska musiała dostarczyć na ten cel odpowiednią ilość gęsi, kur i wódki, choć ucztujący świetnie zdawali sobie sprawę z tego, że w Rzeszy, a więc i w Warthegau, jedzenie można było dostać tylko na Speisekarten.

Wieczorem hitlerowcy zatrzymali jakąś przejeżdżającą furmankę, rozkazali zdjąć powieszonych z szubienicy i pochować ich w zbiorowym grobie na żydowskim cmentarzu.

Żydzi nie otrzymywali kartek żywnościowych, tylko pierwszym okresie okupacji mogli kupić w sklepach ten towar, który był w nadmiarze. Bardzo szybko jednak okazało się, że niczego nie ma w nadmiarze... Pięcioramienne gwiazdy kazano im nosić stosunkowo późno — dopiero wówczas, gdy jakiś Niemiec z Rzeszy popełnił fatalną omyłkę, zamierzając się na kobietę rozmawiającą z Czeszkami. Był pewny, że to Żydówka, lecz okazało się, że to właśnie miejscowa Niemka. „Ordnung muss sein"! Żydzi zaczęli od tej chwili nosić na piersiach i plecach żółte gwiazdy.

Hitlerowcy obdarowali Żydów samorządem. Zelowska Rada Żydowska uprawniona została do tego, aby codziennie dostarczać miejscowym dostojnikom bezpłatnej siły roboczej — do kuchni, do ogrodu, na pole...

Jesienią wyznaczeni niewolnicy wybierali błoto z rowów melioracyjnych. Piasek z pagórka pod kirkutem przenosili do odległego o ponad pół kilometra Nowego Rynku w kieszeniach marynarek.

Początkowo wolno im było chodzić po wszystkich ulicach w oznaczonych godzinach, potem ograniczano ich coraz bardziej, aż wreszcie mogli przemykać się tylko opłotkami z jednego domu do drugiego. Podobno zorganizowali sobie naukę dzieci w ten sposób, że nauczyciele chodzili od mieszkania do mieszkania ucząc czytania i pisania. W domu oznaczonym numerem trzecim, przy ulicy Kościuszki, u jednego z najbogatszych Żydów, miały być urządzane nabożeństwa. Do dziś na ścianie podwórza, tam gdzie kiedyś była weranda, delikatne kwiaty w wazonach stoją przy półkolistym napisie hebrajskim:

Zapraszam do stołu Abrahama, Izaaka, Jakuba, Józefa, Mojżesza, Arona, Dawida;
siedzi ze mną Abraham, z Tobą Izaak, Jakub, Józef, Mojżesz, Aron, Dawid;
siedzi ze mną Izaak, z Tobą Abraham, Jakub, Józef, Mojżesz, Aron, Dawid...

Tymi słowami rozpoczynali Żydzi obiad w „kuczki", czyli „święto Szałasów", związane z dorocznym zakończeniem zbiorów.

Napis na ścianie i kwiaty w wazonach przy napisie są — zdaniem obecnych właścicieli domu — niezniszczalne. Próbowano je zamalować — daremnie.

Hitlerowcy tego napisu nie zauważyli. Na pewno by go zniszczyli, tak, jak zniszczyli kirkut, wywożąc kamienie cmentarne do pobliskiej wsi i robiąc z nich chodnik uliczny. Nie wiadomo dlaczego w niższej, zadrzewionej części kirkuta zostawiono wówczas kilka kamiennych nagrobków. W górnej, ogołoconej z drzew, wiatr przenosi piasek z miejsca na miejsce, odsłaniając tu i ówdzie ludzkie kości.

Nie są to jednak kości tych, których pod koniec wojny skoncentrowano w fabryce i kościele. W kilka miesięcy po egzekucji wszyscy Żydzi zostali spędzeni do jednej z fabryk przekształconej na obóz oraz do kościoła katolickiego zamienionego na magazyn. W ten sposób skończył się okres względnej swobody Żydów w Zelowie. Zelowski obóz nie był obozem zagłady. Wywieziono z niego Żydów do łódzkiego getta, aby ich gdzie indziej zgładzić i spalić. Hitlerowcy z Sellau tolerowali u siebie tych untermenschów tak długo, aby mogli oni — nie otrzymując kartek żywnościowych — wyzbyć się wszystkiego, co miało jakąś wartość w ich mieście, a nie w „Litzmannstadt"...

— To już koniec — powiedział do pastora Niewieczerzała, do niedawna jeszcze studenta teologii, pewien zelowski Żyd. Podał mu na pożegnanie rękę i spokojnie, z godnością, poszedł w stronę miejsca ostatniej zbiórki do dawnej fabryki Żyda Jakuba Lewiego.

Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek.
W Hrubieszowie, Karczewie, Brodach, Falenicy
Późno byś szukał w oknach zapalonych świeczek
I śpiewu nasłuchiwał z drewnianej bóżnicy,
Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany,
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany,
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto.

(Elegia miasteczek żydowskich Antoniego Słonimskiego z tomu *Rozmowa z gwiazdą).*

Zasadniczo jestem z tego rozdziału zadowolony, ale nurtuje mnie jedna wątpliwość. Czy należało wyodrębnić z okresu okupacji hitlerowskiej sprawy Żydów? Teoretycznie rzecz biorąc — nie. Ale w konkretnym, zelowskim przypadku inne moje wiadomości na ten temat są — wydaje mi się — zbyt różnorodne. Konkretnie rzecz biorąc: w 1939

roku wojna była dla Zelowa przede wszystkim kanonadą dochodzącą od strony Szczercowa i Lubca, gdzie artyleria polska pod dowództwem pułkownika Łakińskiego 4 września złamała atak Niemców. W dwa dni potem Niemcy ponowili natarcie piechoty, tym razem wsparte czołgami. Odparte zostało ono przez 83 pułk pod dowództwem pułkownika dypl. Nadachowskiego. Nieco dalej na południe, w rejonie Szczerców-Żar oraz pod Teofilowem udało się Niemcom wedrzeć do polskich okopów, ale zostali wyrzuceni kontratakami. Wzięto jeńców z 18 niemieckiej dywizji pancernej.

W kilka godzin potem rozpoczął się odwrót, ponieważ groziło nam oskrzydlenie.

Na marginesie tych historycznych wydarzeń ciekawostka z rodzaju „a to ci przypadek"! Niedawno jechałem z dyr. Sewrukiem na premierę do Elbląga. Ponieważ pochodzi z Podlasia spytałem go, czy nie wie gdzie leży wioska Korzyno.

— Po co to panu?

— Urodził się tam profesor medycyny Nowicki pochowany na cmentarzu w Zelowie.

— W Zelowie pod Łodzią?

— Tak.

— Jak dziś pamiętam wczesny ranek we wrześniu 39 roku, kiedy to jako porucznik artylerii przejeżdżałem przez to miasteczko. Jest tam kościół z dość dziwną wieżą...

— Tak.

I porozmawialiśmy sobie, do samego Elbląga, o Zelowie.

No, ale wracając do okupacji — druga ciekawostka, tym razem z 1944 roku. Opowiedział mi ją pastor łódzki Niewieczerzał, wówczas pastor zelowski. Jesienią 1944 roku przyszło do niego wieczorem trzech mężczyzn. Jeden z nich przedstawił się jako... prezydent niepodległej Ukrainy. Prosił o przyjęcie do zelowskiego Domu Starców jego sędziwego ojca, najstarszego z przybyłych. Pastor obiecał przedstawić sprawę członkom Kolegium Kościelnego, jako że Dom Starców należał do zboru. Kolegium dało się łatwo

przekonać, że w takich chwilach nie warto upierać się przy literze prawa. Nie chcąc narazić się oddziałom SS-Galizien, które w ostatniej chwili mogły puścić Zelów z dymem, przyjęto starca do przytułku. W kilka tygodni po wyzwoleniu zmarł i został pochowany na „czeskim" cmentarzu. Grób jego znaczny jeden z nielicznych tu krzyży, jedyny o dwu ramionach.

Podczas okupacji powstała w Zelowie tajna organizacja AK, pod dowództwem „Mściwoja", ale do żadnych akcji bojowych czy sabotażowych nie doszło.

Miejscowi Niemcy przyjęli Volkslistę, ale tylko kilku z nich uciekło przed Armią Radziecką. Okupant faworyzował początkowo Czechów, licząc na to, że przyjmą oni obywatelstwo Czech i Moraw, ewentualnie Volkslistę. Jest w pabianickim archiwum spis podatników z czasów okupacji, na którym zaznaczono w kilku przypadkach przyjęcie Volkslisty. Czynili to zresztą i Czesi i Polacy. Nieco lepsze kartki żywnościowe i mniej brutalne traktowanie na codzień sprawiły jednak, że po wojnie niektórzy Polacy uznali za właściwe w czambuł potępiać wszystkich Czechów. A przecież w Radogoszczu uwięzieni zostali nie tylko katoliccy księża z Zelowa — Zygmunt Zych i Henryk Adamczyk, nie tylko Polacy Eugeniusz Kiełczewski, Stanisław Ornet, Franciszek Rybak, Ryszard Wojciechowski, Adolf Przepiórkowski, Stefan Wysocki, Michał Kapuściński, Henryk Wyrąbkiewicz, ale też i Czesi. Wśród spalonych żywcem przez uciekających hitlerowców byli też zelowianie: Fryderyk Matejka i Józef Walter, zaś po wojnie ofiarami reakcyjnej bandy padli dwaj Czesi z Kucowa (Teofil Buresz i Teofil Semeradt).

Do dziś jest to w Zelowie drażliwy temat. Wydaje mi się, że nie powinienem im w książce poświęcać zbyt dużo uwagi, bo kultywowaniem tego rodzaju uprzedzeń i urazów niczego sensownego się nie osiągnie.

Podobne dylematy rodzą się również w związku z działalnością niektórych zelowskich pastorów. Czy pisanie

o nich nie zostanie odczytane jako „urażanie uczuć religijnych"? Chociaż czasem nie o religię tym pastorom chodziło. Czesi uważają, że choć pastor Stefan Skierski zorganizował uroczystości setnej rocznicy kupienia Zelowa przez Czechów, to jednak dążył do ich polonizacji. Po jego przeniesieniu się do Żychlina kilka miesięcy administrował zborem ks. Kasper Tosio, do chwili przybycia ks. Bogumiła Radechovskiego z Nasisłavia na Morawach. Ten znów uznany został przez Polaków za czeskiego nacjonalistę. Wróciwszy do Czech zrealizował budowę Domu Emigrantów w Pradze i stał się gorącym rzecznikiem opuszczania przez zelowian Polski. Po wyjeździe ks. Radechovskiego przez dwa lata musiał znów dojeżdżać do Zelowa „polonizator" ks. Skierski. Gdy zorganizował wybory nowego kolegium na dwu kartkach zamiast nazwisk wyczytał hasło: „Pryč s diktaturou kleru!"...

Dotychczas bywały kłopoty z przepisami liturgicznymi — na przykład Radechovsky zastrzegł sobie, że chrztów będzie udzielał tylko podczas nabożeństw, w obecności zgromadzonego zboru. Warunek ten został przyjęty, potem jednak doszło do konfliktu, ponieważ dołączyła się jeszcze sprawa uczestniczenia w nabożeństwie chóru i orkiestry dętej...

W okresie międzywojennym do kłopotów wewnętrznych doszły kłopoty z ateistami. Już spis z 1921 roku zarejestrował dwóch bezwyznaniowców, w latach trzydziestych zaś kilkadziesiąt osób starało się o zezwolenie na zorganizowanie czegoś w rodzaju odrębnego „kościoła". Rzecz wyglądała humorystycznie, ale była wówczas problemem. I on i ona mogli być niewierzący, ale musieli wziąć ślub w jakimś kościele, bo inaczej ich związek był nieważny, nie uznawany przez prawo, z wszystkimi prawnymi konsekwencjami (np. spadkowymi). A dzieci z takiego związku choć „nieślubne" (a więc napiętnowane) i tak musiały być w jakimś kościele zarejestrowane, bo nie posiadając aktu urodzenia nie istniałyby dla prawa (i dla szkoły).

Chociaż więc było w Zelowie tak, że „co ulica, to inna świątynia", chociaż wierni różnych wyznań boczyli się na siebie, to jednak „pryč s diktaturou kleru" miało jakieś swoje umotywowanie.

Po Siekierskim miał Zelów znowu pastora czeskiego — ks. Wilhelma Fibicha, który otrzymał 128 głosów przeciwko 42. Po jubileuszu zbudowania zboru doszło jednak do zatargów między pastorem a zborem i ks. Fibich przeniósł się do Torunia na stanowisko kapelana wojskowego.

Po czterech latach pasterzowania ks. Ottona Aleksandra Piaseckiego (1930—1934) zelowianie chcą mieć znowu rodowitego Czecha, ks. Jana Smetanę, który po pierwszej wojnie światowej wyjechał jako dziecko razem z rodzicami do Czechosłowacji, a potem był tam pastorem w Vilemovie. Konsystorz jednak na tę kandydaturę nie zgodził się, a. na marginesie warto dodać, że gdy 14 czerwca 1946 roku prezydent Benesz przyjął na Hradczynie delegację zelowian wracających do ojczyzny, właśnie ks. Jan Smetana przemawiał na tej uroczystości i zapewnił prezydenta, że w XVIII wieku „nasi pradziadowie odchodzili z biblią w ręku. Ta biblia nas wzmacniała i pomogła nam zachować wiarę, miłość ojczyzny i nasz kochany język macierzysty. Z biblii uczyliśmy się czytać, myśleć po czesku i wierzyć w powrót do domu. Dziś wracamy znów z biblią w ręku".

W rzeczywistości nie wszyscy wracali z biblią, a i ci, co wracali z nią na pewno pamiętali też inne, mniej budujące szczegóły. Po odrzuceniu kandydatury ks. Smetany konsystorz mianował w Zelowie ponownie ks. Fibicha, a wtedy kolegium kościelne odmówiło wręczenia mu kluczy. Konsystorz warszawski odpowiedział rozwiązaniem kolegium, na co zbór wystosował prośbę o przyjęcie go do Jednoty Wileńskiej. Konsystorz wileński odmówił naturalnie, a ks. Fibich był pastorem krótko, gdyż już w 1938 roku z powodu nałogu pijaństwa został pozbawiony godności duchownego. Podobno przyczynił się do tego zelowski fabrykant Józef Jersak. Miał on rozmyślnie w sobotę wieczorem urzą-

dzić długotrwałą libację z udziałem pastora, aby móc go następnie zdyskredytować w oczach pobożnych parafian.

Józef Jersak, zwany Mantinem (tak miał się nazywać bandyta grasujący w XIX wieku w okolicach Zelowa) dorobił się fabryki i dużego majątku z niczego. Był protektorem „Strzelca", a mimo to dostał się do Berezy Kartuskiej, na krótko zresztą. Niemcy zabrali mu fabrykę, ale przyjęli na Volkslistę, więc w 1945 roku nie czekał na wyzwolenie...

Do najbardziej delikatnych spraw w Zelowie należy też sprawa ks. Garszyńskiego, Polaka i absolwenta uniwersytetu warszawskiego. Przybył on do Zelowa w 1895 roku, po siedmiu latach administrowania parafią przez dojeżdżających pastorów. Zastał wówczas wielu baptystów oraz pierwszych zwolenników Wolnego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego a także tolerowany już przez ks. Sikorę zwyczaj urządzania nabożeństw w domach prywatnych. Konsystorz praktyki te — wynikające niewątpliwie z braku stałej opieki duszpasterskiej — uznał za przejaw separatyzmu grożącego przejściem parafii na pozycje herrnhuckie. A właśnie w Nowosolnej pod Łodzią rozwijali wówczas żywą działalność Herrnhuci czyli Bracia Morawczykowie.

Przed ks. Garszyńskim stanęło więc zadanie zaprowadzenia porządku w parafii zelowskiej. Już w 1890 roku opracowano tam — po czesku! — projekt karności zborowej, do którego konsystorz miał parę zastrzeżeń. Twórcy projektu nie rozumieli — jego zdaniem — że „karność nie może być wyłącznie środkiem, ona musi być zarazem skutkiem". Konsystorzowi nie podobał się również punkt przewidujący, że dziecko nieślubne nie może być ochrzczone.

Nowy pastor w porozumieniu ze starszymi zboru postanowił, że każdy zelowski uwodziciel będzie musiał za pokutę stać odpowiednią ilość razy podczas nabożeństwa przed ołtarzem, na widoku wszystkich, jak pod pręgierzem. W 1898 roku przyszedł na świat Jan Kontecki, nieślubny syn służącej ks. Garszyńskiego. Uwodziciel — ku zgorszeniu

zboru — nie stanął wówczas przed ołtarzem jako pokutnik, ale mimo to w kilkanaście miesięcy potem został postawiony przed sądem. Z innego powodu 14 czerwca 1899 roku urzędowa komisja poleciła wypompować wodę z parafialnej studni i znalazła w niej płócienny worek, a w nim 4282 ruble i 50 kopiejek. Okazało się, że pastor był wspólnikiem włamywacza, który ograbił jakiś bank. Konsystorz naturalnie pozbawił skazanego godności duchownego, a parafia miała nowy kłopot. Znowu musiała rozejrzeć się za duszpasterzem...

Po drugiej z kolei administracji ks. Fryderyka Jelena i po rozwianiu się nadziei związanych z kandydaturami Czechów (ks. Hlavatego i ks. Košuta), po ostatecznym wycofaniu się ks. Władysława Semadeniego został pastorem znany już Mamie ks. Stefan Skierski. Na synodzie w 1901 roku tak scharakteryzowano w oficjalnym sprawozdaniu parafię w Zelowie:

Jest najliczniejsza ze wszystkich parafii naszych, liczy bowiem dusz 2950, rodzin zaś 590. Znaczna część parafian składa się z ludzi zadawalających się zewnętrznymi pozorami chrześcijaństwa, inni tylko z imienia chrześcijanami się zowią, nie troszcząc się bynajmniej o to, aby ich życie i postępowanie było w zgodzie z nauką chrześcijańską. Od tych dwóch kategorii odbija rażąco garstka tych, którzy czują potrzebę życia duchowego i nad rozwojem takowego pracują. [...] Zwróconą winna być uwaga na to, by bronić takich parafian przed propagandą wrogich nam sekciarzy, baptystów i tak zwanych wolnych, którzy wciąż w Zborze agitują, pragnąc przeciągnąć na swoją stronę tych wszystkich, którzy prawdziwie wierzącymi być pragną, a przeto lepszy element parafii stanowią. [...] Odbywające się i dawniej zgromadzenia, czyli nabożeństwa poza Kościołem, zostały usankcjonowane, a będąc protegowane przez Pastora, straciły swój charakter wrogi dla systemu naszego kościoła, przy czem Pasterz, bywając na takich zgromadzeniach, ma możność kierowania nimi i zapobiegania wszelkim fałszywym i chorobliwym objawom.

Jak więc Mama widzi, jest w tym Zelowie wielka rozmaitość spraw i jeszcze więcej ujęć czy interpretacji. No, ale kwestię wyboru mam już za sobą, książka napisana. Może mi teraz będzie łatwiej Was odwiedzić, ale niczego

konkretnego nie obiecuję, bo gdy obiecuję, to zawsze coś w ostatnim momencie staje na przeszkodzie. Wobec tego wolę wpadać bez wstępnej reklamy. Tymczasem serdecznie Wszystkich w obu domach całuję.

List czterdziesty drugi

Szanowny Panie,

bardzo serdecznie dziękuję za nadesłanie mi unikalnego zdjęcia kamienia Husa przy kościele zelowskim, wykonanego w dniu postawienia tego pomnika z polnych głazów w 1915 r. Zaproponuję naturalnie włączenie go do mojej książki. Jeśli okaże się technicznie zbyt słabe, wobec tego może będzie przyjęte moje, współczesne zdjęcie. A właściwie w grę wchodziłyby dwa — całości i mozaiki z kamyczków u podstawy pomnika tworzącej napis „pravda vitezi".

Pyta się Pan, czy podobnie jak za Pańskich czasów, znane są takie określenia jak „hraničky", „Stępna" „tamten koniec". Ze słowem „hraničky" (na określenie ulic równoległych do dwu głównych ulic Zelowa) nie spotkałem się już, natomiast w codziennym użyciu jest „Stępna", z tym tylko, że mało kto wie, iż początkowo mówiono „Wstępna", chodziło bowiem o starą karczmę zbudowaną celowo przy wjeździe do osady od strony Łasku. Ponieważ niegdyś autobusy PKS nie kursowały, a jedyna zelowska taksówka Moszka Siwka nie każdemu odpowiadała ze względu na wysoką taksę, więc ci, co na piechotę przychodzili z Łasku, chętnie wstępowali do karczmy Wstępnej, aby trochę odpocząć i „z fasonem" już wkroczyć w rodzinne progi... Zrozumiałe, że w tej sytuacji wylot ulicy Piotrkowskiej musiał otrzymać nazwę „tamten koniec". Każde miasteczko ma chyba takie swoje „specjalności", które najpierw są codziennością, potem stają się egzotyką i na koniec giną w ludzkiej pamięci, a właściwie w zapomnieniu.

Dziękuję również za informację na temat Franka, który w okresie międzywojennym pozował na „ludowego fabrykanta", ale ubezpieczył „wspólną" fabrykę tylko na swoje nazwisko. Nie znałem tej sprawy. A czy Pan wie jak urządzał się Jakób Lewi, któremu przepisy religijne zakazywały pracy w szabas, a ponadto musiał szanować niedzielę? Opowiadano mi, że w piątek wieczorem Lewi sprzedawał Jarkowi Patrakowi całą swoją fabrykę za pięćdziesiąt groszy, a w sobotę po zachodzie słońca odkupował ją za parę złotych. Patrak był porządnym chłopcem i zadowalał się tym łatwym zarobkiem, a do zysków z sobotniej produkcji nie rościł sobie pretensji.

Opowiadano mi również, jako o wydarzeniu w swoim czasie bardzo głośnym, o sprawie Achtera, Niemca, który zaraz po pierwszej wojnie światowej założył w Pożdżenicach własną „wytwórnię" banknotów.

Tak mówi o tym piosenka ułożona przez miejscowego „poetę":

U Achtera w Pożdżenicach marki wyrabiali,
a Bednarek i Guderski dwory kupowali.
Bednarek je robił, Guderski wymieniał,
a Czarnota sobie po szynku wywijał.
Pani Czarnotowa w łóżeczku się śmieje
i piweczko sobie do szklenicy leje.
Piweczko popija, kiełbaską zajada
i do męża sobie tak z daleka (do więzienia!) gada:
Ach mój mężu, mężu, dobrze by to było,
gdyby się do śmierci marki wyrabiało.

Jeśli zna Pan tego rodzaju anegdotki, wierszyki, powiedzonka, proszę mi je przesłać. Są to wprawdzie drobiazgi, marginesy, ale i one przydają się w pisaniu.

Jeszcze raz dziękuję za list i zdjęcia oraz za życzenia szybkiego wydania książki, łączę miłe pozdrowienia z Polski i wyrazy szacunku.

List czterdziesty trzeci

Drogi Tadku,

i śmiać mi się chce i płakać. Wyobraź sobie w jaki śmieszny sposób zmarnowałem kawałek, spory kawałek swego

życia. Pojechałem do Rusi, żeby tam dokończyć przepisywania książki o Zelowie a zarazem, aby pomalować na olejno wewnętrzne okna. Wczoraj w południe rozpaliłem pod kuchnią i wróciłem do malowania. Po chwili poczułem dym. A jak się zaczyna dymić, to w kuchni wszystko robi się czarne od sadzy, postawiłem więc dwukilową puszkę gdzie popadło, na stosie książek na stole i pobiegłem ratować obiad. Gdy wróciłem, farba pokryła już rozłożone na stole maszynopisy. Najbardziej zniszczony jest egzemplarz podstawowy, który przepisywałem „na czysto"...

Ocalały jedynie zdjęcia i wykaz źródeł włożone do teczki. Ocalały też notatki, które miałem na półce. Z notatek tych mógłbym wprawdzie napisać całą książkę na nowo, ale podpisałem właśnie dwie umowy wydawnicze, a poza tym kroi mi się dłuższy wyjazd za granicę. Całą noc nie spałem, brałem pod uwagę różne „za" i „przeciw". Doszedłem w końcu do wniosku, że *V Zelově pod Łodzią* trzeba spisać na straty. Przynajmniej chwilowo, czyli w najbliższych paru latach.

Piszę ten list strasznie roztrzęsiony, i śmiać mi się chce, i płakać, więc już kończę. Ściskam Twą dłoń.

List czterdziesty czwarty

Szanowny Panie Redaktorze,

tak się złożyło, że dopiero teraz przeczytałem Pański reportaż o Zelowie zamieszczony w 1960 roku we „Współczesności". Przeczytałem go z dużym — naturalnie — zainteresowaniem. Pokazał mi jeszcze jedno „wcielenie" Zelowa.

Znam to miasto od kilkunastu miesięcy. Znam je w różnych metamorfozach historycznych, na które złożyły się informacje dokumentów archiwalnych wymieszane z moją wyobraźnią — powiedzmy naukową. Pański reportaż pokazał mi je niby współcześnie, a jednak już jako przeszłość.

Nasze doznania są często zbieżne, ale zbieżność ta nie zawsze wynika z tych samych doświadczeń i nie zawsze wiedzie do tych samych wniosków. Na przykład pisze Pan:

Zelów nie jest zwykłym miastem. Do tego miasta często wracasz, znasz je na pamięć, jest bliskie twojemu sercu. Zelów różni się od setek identycznych miasteczek, które w swych reporterskich wędrówkach zwiedziłeś. Zelów to miasto szczególne, to prowincja doskonała, idealna.

Wynikałoby z tego, że Pana zdaniem Zelów dlatego nie jest zwykłym miastem, dlatego różni się od setek miast tego rodzaju, ponieważ jest pełnym uosobieniem prowincji. Mnie się natomiast wydaje, że pojęcie prowincji, pojęcie raczej negatywne, jest sumą wegetowania mizernych mieścin, przeciętnością. Tymczasem Zelów tkwiący niewątpliwie w głębokiej prowincji należy jednak do tych jej niezwykłych elementów, które domagają się rehabilitacji negatywnego raczej pojęcia prowincji.

O prowincji i prowincjonalizmie można naturalnie dyskutować nieskończenie. Zaskakuje mnie jednak to, że natychmiast po stwierdzeniu „to prowincja doskonała, idealna" pisze Pan:

Organa prokuratury i milicji doskonale znają to miasto. Do niedawna była to największa giełda czarnego rynku dla handlu przędzą bawełnianą. Zelów oprócz produkcji tkanin rokrocznie dostarcza do łódzkich więzień dziesiątki lokatorów. Wielu z nich do dziś jeszcze kontempluje tam w odosobnieniu i ciszy swoje wątpliwej wartości czyny. I wielu jeszcze będzie kontemplować. Niestety.

Charakter, oblicze, ton życiu miasteczka nadawał dotychczas spekulant, dorobkiewicz, pospolity złodziej i zramolały kołtun, szczelnie zamykający o zmroku okiennice swego sklepu.

Tkacze pracujący w zakładach niewiele mieli do powiedzenia. Ich rola kończyła się wraz z opuszczeniem budynku fabrycznego. Działalność partii robotniczej ograniczała się przede wszystkim do spraw związanych z wewnętrznym życiem zakładu.

I obecnie Zelów nie przestał być Eldoradem, jeszcze dziś można spotkać na tutejszych drogach porzucone skrzynie ze znakami zakładów włókienniczych Andrychowa, Dzierżoniowa, Łodzi, Gorzowa i Szczecina.

W tej okolicy z całej Polski skradzioną przędzę przerabia się na

purpurowe płachty. [...] Kradzież jest tu przestępstwem tylko prawnym, nigdy etycznym. [...] W Zelowie ludzie znają wartość bawełny i z każdej surowej paczki przędzy potrafią wyprodukować materiał. Oczywiście wprowadzenie ostrego reżimu ograniczyło sprzedaż bawełny, ale całkowicie jeszcze długo nie da się tego wyeliminować. I teraz zdarzają się małe kradzieże, aczkolwiek są one sporadyczne i nie mają w sobie znamion masowości. Jeszcze dwa lata temu rozkradano rocznie ponad 20 ton bawełny. Obecnie kradzież została częściowo zahamowana na skutek dużej rezerwy siły roboczej na tym terenie i nikomu się nie uśmiecha perspektywa postradania pracy na miejscu i ewentualność dojazdu do Łodzi.

Jest Pan „rodakiem zelowskim". Wprawdzie nie od 1803 roku, ale jednak wywodząc się z Zelowa na pewno zna Pan to miasteczko lepiej od mnie. Mimo to pozwolę sobie zakwestionować Pańskie czarnowidztwo, miejscami także Pański optymizm — np. w miejscu, gdy pisze Pan pochlebnie o 1960 roku („małe kradzieże") w przeciwieństwie do lat sprzed 1958 roku („rocznie ponad 20 ton bawełny").

Dalej — na pewno dojeżdżanie do pracy autobusem, zwłaszcza zimą, nie należy do rozkoszy, ale też chyba nie wszyscy zelowianie dojeżdżają obecnie do pracy w Łodzi dlatego, że zostali w ZZPB zwolnieni za kradzież. Widocznie te męczące dojazdy opłacają się tym, dla których Zelów dlatego jest miejscem zamieszkania, że w Łodzi trudno jest „dogadać się z kwaterunkiem". A w Zelowie zdecydowana większość domów to mała własność prywatna. Hotelu nie ma, ale przenocować można, jeśli nie w co drugim, to w co trzecim domu.

Takim samym niezbitym faktem, nie uwzględnionym przez Pana w reportażu (może kilka lat temu było pod tym względem inaczej?), jest sprawa dojazdów do pracy do samego... Zelowa. Właściwie trudno mówić o dojazdach, ponieważ mieszkańcy okolicznych wsi dojeżdżają rowerami tylko przy sprzyjającej pogodzie, przez większą zaś część roku dochodzą po prostu piechotą. A że wśród tych dochodzących znajdują się także kobiety, przed wieloma z nich staje problem zapewnienia dzieciom odpowiedniej

opieki. Liczba miejsc w obu zelowskich przedszkolach jest ograniczona, żłobek przyzakładowy także „nie jest z gumy", więc matki mają mnóstwo kłopotu z dzieciakami. Kierownictwo zakładu ma znów kłopoty z takim usprawnieniem produkcji, aby nie kolidowała ona z przepisami dotyczącymi warunków zdrowotnych. Chociażby — w jakich godzinach nocnych ma się odbywać kolejna zmiana pracy?

Gdy jedni martwią się o cudze zdrowie, inni troszczą się o własne. Ale mimo to piją. W jedynej restauracji zelowskiej. Naturalnie nie mleczko.

Porównując Pana reportaż z moimi obserwacjami muszę stwierdzić, że pod tym ostatnim względem Zelów się nie zmienił. Pańska publikacja w warszawskim dwutygodniku nie wstrząsnęła sumieniami pijaków, podziałała jednak na ojców młodego miasta. Nie mogąc interweniować w osobiste życie mieszkańców — picie wódki jest na ogół prywatną sprawą każdego z nas — postanowili zmienić rynek, o którym pisał Pan, że „świeci pustką kamienną i tylko pies z kulawą nogą liże niedbale koci łeb". Minęło zaledwie kilka lat, a dawny rynek pozbył się bruków, pozbył się targów przeniesionych w inne miejsce, jest dziś placem, a właściwie ładnym skwerem z zieloną płaszczyzną murawy i z młodymi jeszcze drzewkami. Poczekajmy jednak z dziesięć, dwadzieścia lat, a w centrum miasteczka pojawi się niemal las — z wielkim, przez pół roku kwiecistym klombem pośrodku. A tuż przy jednym z narożników dawnego rynku powstanie park, z muszlą koncertową i z miejscem zabaw dla dzieci, zwanym brodzikiem...

Zgodzi się Pan chyba ze mną, że rozpoczęta z takim zapałem zewnętrzna kosmetyka nie jest w przypadku Zelowa przesadnym wyrafinowaniem kokoty noszącej pod spodem brudną bieliznę. Przyklasnąwszy — mam nadzieję wspólnie — tej kosmetyce, będziemy niecierpliwie oczekiwać na nie tylko czystą, ale i ładną... „bieliznę".

Panu jednak zdaje się chodziło w 1960 roku nie tyle

o pustynię brukowo-rynkową, co o pustkę prowincjonalnego bytowania, o marazm myślowy, o brak nowych inicjatyw i o to, że zelowskie dzieci podjudzane przez starszych, obrzuciły kamieniami osoby nazywające się świadkami Jehowy. A bezpośrednim powodem stała się wówczas sprawa pogrzebu i zamknięcia obu bram cmentarnych — ewangelickiej i katolickiej — przed zmarłym członkiem tej sekty.

Wprawdzie dziś coraz trudniej rozeznać się w tym, czy Czech jest Czechem a katolik naprawdę katolikiem, po pierwsze dlatego, że coraz więcej jest małżeństw mieszanych, po drugie zaś ponieważ wierzenia religijne przestają być ważnymi elementami we współżyciu społecznym — mimo to jednak „kamienne argumenty" dzieci świadczą, że kamiena pustynia w Zelowie w 1960 roku istniała. Czy przestała istnieć? Czy zaprzestanie manifestacji to już wszystko?

Wydaje mi się, że w swoim reportażu zlekceważył Pan przydatność historii dla tworzenia przyszłości. A przydatność ta w wypadku Zelowa jest arcyspecyficzna. Zelów jest bowiem miejscowością, dla której po 1945 roku czas wyszedł z orbit.

Można by chyba zaryzykować porównanie Zelowa z wieloma miejscowościami na ziemiach zachodnich i północnych, gdzie miejsce Niemców zajęli — obok ludności miejscowego pochodzenia — osadnicy, bardzo często repatrianci. Z Zelowa również wyjechało gros Niemców, pozostały jednak jednostki, którym niemieckie pochodzenie nie przeszkadza dziś czuć się dobrze w Polsce. Z Zelowa wyjechała także większość Czechów. Na ich miejsce i na miejsce pomordowanych przez okupanta Żydów przybyli Polacy z okolicznych wsi. Ten napływ miał jednak swoje wiry. Nie wszyscy, którzy przenieśli się do Zelowa tuż po wojnie, pozostali w nim. I nie wszyscy się jeszcze „zaaklimatyzowali".

„Ruchawka demograficzna" spowodowała, że Zelów w

Pana młodych oczach — bądźmy ścisli: kilka lat temu — to przede wszystkim kradzieże, pies liżący kocie łby, kołtuneria, kamienie rzucane na ludzi o innych poglądach, „zaglądanie do kieliszka", prowincja idealna, doskonała.

Gdy pisał Pan swój reportaż, pozwolił Pan sobie na sformułowanie — nie wątpię, że dobrze wyważone: „Tkacze pracujący w zakładach niewiele mieli do powiedzenia. (...) Działalność partii robotniczej ograniczała się przede wszystkim do spraw związanych z wewnętrznym życiem zakładu".

Chociaż oba te zdania sformułował Pan w czasie przeszłym, to jednak na pewno z myślą o tym, jak powinno być w przyszłości. Nie, nie w przyszłości, kiedyś, ale już teraz, natychmiast.

Bywając w Zelowie w ostatnich miesiącach siedziałem głównie w archiwum, ale przecież nie od świtu do zmroku. I odnosiłem wrażenie, że „już się zaczęło". Dziwi mnie tylko to, że dla przyśpieszenia tego procesu nie sięga się tam umiejętnie do „starego Zelowa", do tego, co było w nim najcenniejsze. Do tradycji zapału, wytrwałości, poświęcenia dla Sprawy. Bardzo nie lubię patosu i pisania „wielkich" słów z dużej litery. Ale od każdej reguły bywają wyjątki.

W Zakładzie Historii Partii w Warszawie zdeponowane są wspomnienia jednego z tych, którzy w okresie międzywojennym stanęli — jak to się mówi — w pierwszym szeregu walki rewolucyjnej. Znalazłem w tych wspomnieniach taki epizod:

Było to bodajże w 1920 roku. Na podwórzu fabryki Lewiego zgromadzili się zelowscy chałupnicy, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, aby posłuchać, co im powie towarzysz z Łodzi. Argumentował za rozpoczęciem strajku w ten sposób: fabrykanci w wielkich miastach muszą zbudować hale fabryczne, wstawić pod dach maszyny. Fabrykanci w Zelowie nie kupują maszyn, nie stawiają murów. Wy sami kupiliście warsztaty, krosna, kołowrotki. Wasze domy są

ich fabrykami. Na własnym grzbiecie przenosicie najpierw surowiec, a potem — wyprodukowany towar.

Dla agitatora z fabrycznej Łodzi nie ulegało wątpliwości, że zelowscy chałupnicy powinni przystąpić do strajku i wesprzeć w ten sposób walkę robotników w wielkim mieście. Ale był to bodajże rok 1920. Po wojennym bezrobociu i nędzy pojawiła się znów w dużych ilościach przędza i choć liweranci płacili skąpo, to jednak łatwiej już można było wykarmić dzieciaki, zgodnie ze zwyczajem wykonujące „lżejsze" prace.

Towarzysz z Łodzi mówił prawdę o ich nędznym życiu, lecz gdy zaproponował głosowanie w sprawie przystąpienia do strajku zaległa skupiona cisza i nie podniosła się żadna ręka.

— Więc, towarzysze, kto jest za strajkiem? — ponowił pytanie delegat związkowy z Łodzi, a w jego głosie można było wyczuć zdziwienie, a nawet gorzkie rozczarowanie.

I oto podnosi się kilkadziesiąt rąk — tych najmniejszych chałupników, dzieci, które boją się kołowrotka, olbrzymiej machiny, podobnej dla nich do młyńskiego koła.

Dziecięcy akces do strajku robotników łódzkich przyjęty został śmiechem, towarzysz z Łodzi powiedział jednak wyśmianym: „Wy na pewno będziecie lepiej walczyć, wy na pewno doczekacie się lepszych czasów". I choć był duży, mówiąc te słowa miał w oczach łzy.

Naturalnie, rzecz nie ogranicza się do przypomnienia i utrwalenia w pamięci społecznej tego rodzaju epizodów rewolucyjnej walki z ustrojem kapitalistycznym, z ustrojem wyzysku człowieka przez człowieka, ale właśnie z takich epizodów składa się obraz Zelowa sprzed 1939 roku, obraz, który nie przestał być „ważny" choćby dlatego, że w wyniku zagłady Żydów, wyjazdów Czechów i Niemców zaistniała w Zelowie nowa struktura etniczna, demograficzna i socjalna. Temu nowemu miastu potrzebna jest tym bardziej świadomość nawiązywania do twórczych elementów tradycji miejscowej.

Może zauważył Pan w „Tygodniku Kulturalnym" mój artykuł postulujący utworzenie w Zelowie muzeum regionalnego. Myślę, że obok wyeksponowania specyfiki etnicznej głównym zadaniem tej placówki powinno być utrwalenie w świadomości społecznej zarówno specyfiki produkcyjnej jak i politycznej „starego Zelowa".

Intensywne przemiany, jakich świadkami jesteśmy, mają tę złą stronę, że giną w nich szybciej, niż w okresach stagnacji, pewne wartości uznawane bądź to za nieaktualne, bądź też wprost za niepotrzebne. Należałoby więc ratować to, co na uratowanie zasługuje. Ale z drugiej strony nie mniej ważne jest chyba namawianie socjologów do uchwycenia mechanizmu przemian, jakie pociąga za sobą budowanie gospodarki socjalistycznej. Na ziemiach zachodnich i północnych badania tego typu są już rozwinięte, natomiast na tak zwanych „starych ziemiach" sytuacja przedstawia się gorzej. Myślę, że zgodzi się Pan ze mną co do tego, że Zelów zasługuje na zwiad socjologiczny.

Dziennikarze mogliby w obu przypadkach — i muzealnym i socjologicznym — stanowić forpocztę dla naukowców, tymczasem w prasie głucho o Zelowie. Łódzka prasa uznaje jeszcze ten temat jako curiosum historyczne, przyczem kompiluje się na ogół bezkrytycznie parę publikacji nie zawsze precyzyjnych i raczej jednostronnych. W tej sytuacji Pański reportaż z 1960 roku jest dla mnie szczególnie wartościowy, a pewne akcenty polemiczne, na które sobie w tym liście pozwoliłem, absolutnie proszę nie traktować jako protest. Jeśli wolno mi przeciw czemuś protestować, to chyba tylko przeciwko porzuceniu przez Pana tematu Zelowa. Może się mylę, ale dość uważnie śledząc publikacje w polskich czasopismach społeczno-kulturalnych nie zauważyłem kontynuacji tego, co napisał Pan kilka lat temu we „Współczesności". Jeśli się mylę — bardzo proszę o korektę.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia.

List czterdziesty piąty

Vážená Pani Doktoře,

sprawy, które panią interesują, w tej liczbie również różnicę między „fabrykantem" a „liwerantem", wyjaśnił wyczerpująco Tadeusz Czajkowski w swej pracy *Chałupnictwo tkackie w Zelowie,* zamieszczonej w pracy zbiorowej *Drobny przemysł i chałupnictwo,* t. I, Warszawa 1931 (wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego). Na pewno warto zapoznać się z nią w całości, a jeśli książki tej nie ma w bibliotekach praskich, bez trudu sprowadzi Pani ją z naukowych bibliotek Łodzi czy Warszawy. Bez trudu, to nie znaczy dość szybko, więc na podstawie własnych notatek z tej książki odpowiadam na Pani pytania. Jeśli nawet moje informacje wystarczą Pani, radziłbym jednak zapoznać się z całą pracą Czajkowskiego.

Chałupnicy zelowscy uzależnieni byli od „fabrykantów" i „liwerantów". Pierwsi z nich nie byli jednak właścicielami fabryki, a jedynie nakładcami. Liczba ich ze 108 w latach 1922—1923 spadła latem 1925 roku do 42. Uzależniali wówczas od siebie 1131 warsztatów, podczas gdy działający w imieniu fabryk łódzkich liweranci, czyli poddostawcy, (liczba ich wahała się od trzech do ośmiu osób) „obsługiwali" tylko 154 warsztaty.

W gronie „fabrykantów"-nakładców w 1925 roku tylko dwóch dostarczało surowca więcej niż stu warsztatom chałupniczym, tylko czternastu uzależniało od siebie 20 do 100 warsztatów, natomiast aż dwudziestu siedmiu musiało zadowolić się zyskiem, jaki dawał im nakład w stosunku do kilku czy kilkunastu warsztatów.

Czajkowski nie pisze tego wyraźnie, ale przypuszcza, że właśnie przede wszystkim z grona „fabrykantów"-nakładców pochodzili właściciele nielicznych fabryczek zatrudniających nie chałupników, ale robotników. W 1939 roku było w Zelowie siedem takich fabryczek, zatrudniających na ogół niewiele ponad stu robotników, a więc dających w sumie pracę około 700-800 osobom. Do największych należały fabryczki Jakuba Lewiego (istniejąca od 1909 roku), Wilhelma Szpringla i Karola Pospiszyła (od 1911 roku), Rajchertów w Herbertowie (od 1932 roku) i Józefa Jersaka (od 1928 roku). I ci bardziej ustabilizowani przemysłowcy (nazwijmy ich tak dla odróżnienia od zelowskich „fabrykantów"-nakładców) i ci, co albo wegetowali, albo wcześniej już zbankrutowali, znajdowali się na marginesie życia gospodarczego w Zelowie. A ponieważ w gronie „fabrykantów" niemal co roku następowały przetasowania, więc sytuacja opisana przez Czajkowskiego musiała w latach kryzysu ulec dużym zmianom — jeszcze na gorsze...

Wśród tkaczy uzależnionych od głównych „macherów", jakimi byli fabrykanci i liweranci, istniało już w latach względnego dobrobytu po pierwszej wojnie światowej duże rozwarstwienie związane z różnymi cyklami produkcji chałupniczej. „Minęły już bezpowrotnie czasy — stwierdził Tadeusz Czajkowski — kiedy jeden człowiek otrzymawszy paczkę bawełny, sam ją zwijał, snuł, tkał, a nawet farbował".

W okresie międzywojennym zwijaniem bawełny zajmowały się głównie kobiety, ale czynność tę wykonywali również tkacze, rzemieślnicy, kupcy, małorolni chłopi, małe dzieci (zwłaszcza żydowskie) po kilka godzin dziennie spędzając przy kołowrotku.

Bywało w Zelowie do 1200 zwijaczek, a niskie wynagrodzenie sprawiało, że z reguły praktykowały one „macówkę" czyli po prostu przywłaszczanie sobie części surowca. Naturalnie trzeba było czasem dużej pomysłowości, aby kradzież nie wyszła na jaw. A jeszcze większa siła charakteru była konieczna, aby przyzwyczajenie do „macówki" nie stało się „drugą naturą"...

Zgodnie z tokiem produkcji po zwijaniu potrzebne było snowanie, wymagające wprost matematycznej dokładności. Snowaczy było w Zelowie zaledwie około pięćdziesięciu

i należeli oni do najlepiej sytuowanej warstwy wśród wyzyskiwanych chałupników. Po snowaczach pracę dostawali tkacze. Kobiety stanowiły wśród nich zaledwie kilka procent — chałupnicze tkanie było zawodem typowo męskim. Wg danych Kasy Chorych w 1926 roku było w Zelowie 820 tkaczy i tkaczek, natomiast wg związku klasowego — 1669 (w samym Zelowie 474, pracujących na 635 warsztatach). Tylko 5 procent tkaczy miało od 16 do 20 lat, tylko 10 procent — ponad 50 lat. Połowa tkaczy miała od 30 do 50 lat.

Droga do zawodu tkacza prowadziła przez czeladnictwo i naukę. Terminowanie trwało na ogół rok — u obcego. W Zelowie jednak zawód tkacza przechodził w większości przypadków z ojca na syna.

Oprócz zwijaczek, snowaczy i tkaczy byli w Zelowie jeszcze ludzie trudniący się bieleniem i farbowaniem, apreturą i transportem, czółenkarstwem i nicielnictwem. Czółenka — z gruszy lub grabu — wyrabiali w Zelowie Andersz, Horak, Matys, Wendling, sprowadzając do nich okucia z Łodzi. Umieli oni również zrobić kołowrotki, warsztaty, grządki, snowadła. Jako fachowcy wysokiej klasy mieli się na ogół dobrze, podobnie jak przewoźnicy, którzy zarabiali tygodniowo do 300 złotych (miesięczna pensja nauczyciela wiejskiego wynosiła wówczas sto kilkadziesiąt złotych). Zarobki bielarzy, farbiarzy, rajgerów wahały się w granicach od 40 do 120 złotych miesięcznie.

Wynagrodzenie podstawowej warstwy ludzi pracy — tkaczy — było wynagrodzeniem akordowym i wahało się w różnych okresach w zależności od różnych czynników rządzących gospodarką kapitalistyczną. Czajkowski obliczył, że w lipcu 1926 roku tygodniowe zarobki tkaczy wahały się od kilkunastu do trzydziestu złotych. Proszę jednak pamiętać, że był to rok jeszcze koniunktury gospodarczej, że kryzys miał dopiero nadejść. Poza tym — przeciętne statystyczne są często złudnym miernikiem rzeczywistej sytuacji. Nie uwzględniają np. dobrej (lub złej) woli liweranta lub „fabrykanta". Nie uwzględniają również tzw. „truck systemu", który polegał na tym, że nakładca zamiast gotówki dawał tkaczowi czy też innemu uzależnionemu od niego pracownikowi... kwity do sklepów. System ten, zakazany przez ówczesne prawo, stosowany był w Zelowie nagminnie i bezkarnie. Świadczy to wymownie o stopniu uzależnienia tkaczy i innych chałupników od „fabrykantów" i liwerantów.

Do dziś dnia — stwierdził Józef Żółtaszek w 1928 roku w piśmie „Ekonomista" — oplata truck system chałupnictwo pajęczą nicią, wysysając te nieliczne soki, które pozostawia głód i nędza. Chęć doraźnego zysku, przed niczym się nie cofająca, pielęgnuje go jak swoją zdobycz, z której ciągnie korzyści, nie bacząc, że przyczynia się do zanikania chałupnictwa, z którego żyje. Truck system przyjął wyrafinowane formy. Sklepikarz, idący do nakładcy wymienić jego kwitki na gotówkę, otrzymuje weksel. Sklepikarz oczywiście odbija to sobie na chałupniku. Jest to rzeczywiście wyzysk przed niczym się nie cofający.

W ostatnich czasach (grudzień 1925) organizacje kupieckie zwróciły się do Ministerstwa Skarbu o przerzucenie podatku przemysłowego w formie świadectw przemysłowych i obrotowego z nakładcy na chałupnika. Natomiast nakładca wykupiłby tylko świadectwo na sprzedaż wyprodukowanych towarów, jednym słowem, aby nakładcę traktowano jako kupca, a nie przemysłowca. Nie potrzeba dodawać, że podatki są ciężarem dla nakładcy, ale niewątpliwie przy dzisiejszych zarobkach chałupnika zadośćuczynienie prośbie nakładców byłoby śmiertelnym ciosem dla większości chałupników.

Wydaje mi się, że jeśli będzie Pani sprowadzała *Drobny przemysł i chałupnictwo* z pracą Tadeusza Czajkowskiego, warto byłoby zamówić od razu XXVIII rocznik „Ekonomisty" z rozprawą Józefa Żółtaszka *Chałupniczy przemysł tkacki w okręgu łódzkim*. Obie publikacje świetnie się uzupełniają i dają znacznie pełniejszy obraz, niż ten, który Pani w tym liście naszkicowałem — zgodnie zresztą z ich opracowaniem tematu. Ale już ten szkic na pewno naprowadzi Panią na „jasny jak słońce" wniosek, że w Zelowie walka klasowa było poniekąd życiową koniecznością, nieuniknioną konsekwencją zachłannego egoizmu klasy po-

siadającej. Z tym tylko, że walka klasowa w Zelowie w wielu punktach różniła się od walki robotników fabrycznych z wielkimi przemysłowcami. Na pewno znacznie bardziej skomplikowana była w Zelowie sprawa organizacji strajków, jako samoobrony wyzyskiwanych.

W 1919 i 1920 roku zorganizowano tylko dwa strajki. Oba trwały krótko, po dwa dni i dały częściową realizację postulatów strajkujących. W następnym roku wystarczyły trzy dni strajku tkaczy, aby mogli dostać 30 procent podwyżki, natomiast snowacze dopiero po piętnastu dniach strajku dostali połowę tego, czego się domagali (to jest 30 procent podwyżki).

W 1922 roku miały miejsce w Zelowie trzy strajki trwające w sumie osiem dni, a zakończone częściowymi sukcesami. Właściciele fabryczek odpowiedzieli na nie dwoma lokautami. Natomiast w 1923 roku sześć strajków pochłonęło 101 dni roboczych, dając tylko w dwu wypadkach pełne zaspokojenie żądań pracowników.

W następnych latach wystąpiło osłabienie ruchu strajkowego trwające do czasów kryzysu gospodarczego, który objął nie tylko łódzki okręg przemysłowy i nie tylko Polskę. Ponieważ prace Żółtaszka i Czajkowskiego nie obejmują tego okresu, więc jedynie na podstawie rozmów z działaczami ruchu robotniczego ustaliłem, że strajkowano w Zelowie w latach 1928, 1933, 1934, 1936 i 1937. Dwa strajki u Rajcherta w Herbertowie (w 1934 i 1936 roku) połączone były z ostrą walką z łamistrajkami. Doszło wówczas do interwencji policji, a jeden z robotników, Karol Zalisz, został ciężko ranny. Ostatni strajk, z 1937 roku, był strajkiem okupacyjnym i po siedemnastu dniach zakończył się wygraną. Natomiast w 1933 roku właściciele zelowskich fabryczek urządzili wielki lokaut, w wyniku którego kilkaset rodzin znalazło się w ciężkiej sytuacji materialnej i musiało ubiegać się o pomoc Rady Gminnej.

Walka klasowa w Zelowie posiadała naturalnie formy zorganizowane. Zaraz po pierwszej wojnie światowej du-

że wpływy posiadała tu Polska Partia Socjalistyczna, potem jednak na czoło ruchu rewolucyjnego wysunął się Związek Klasowy Włókniarzy (pełna jego nazwa brzmiała: Związek Zawodowy Robotników i Robotnic Przemysłu Włóknistego, od roku 1928 natomiast: Włókienniczego; należał on do Związku Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce).

Związek Klasowy Włókniarzy w Zelowie kierowany był głównie przez członków zdelegalizowanej Komunistycznej Partii Polski oraz legalnej PPS-lewicy. Na czele zelowskiego ZKW stał przez kilkanaście lat Karol Janko mieszkający obecnie w Cvikovie, a długoletnim skarbnikiem był Bolesław Kamiński, obecnie emeryt, odznaczony za udział w walce rewolucyjnej i za ofiarną pracę społeczną po 1945 roku Krzyżem Polonia Restituta. On to scharakteryzował mi wachlarz organizacji politycznych w Zelowie w okresie międzywojennym.

Rekrutujący się głównie z Polaków urzędnicy trzymali z chadecją, natomiast nieliczni polscy sklepikarze — z endecją. Po przewrocie majowym powstał naturalnie Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, któremu przewodniczył legionista, rzeźnik Adolf Przepiórkowski.

W najsilniejszej początkowo partii politycznej w Zelowie, w Polskiej Partii Socjalistycznej, aktywistami byli zarówno Polacy jak i Czesi — brat Bolesława Kamińskiego, Władysław, Jan Kontecki, Józef Cejnar, Szóstak. Pierwsza komórka komunistyczna powstała wprawdzie już w 1922 roku, ale musiała zaprzestać działalności po skazaniu jej przywódcy, byłego SDKPiL-owca, Franciszka Kowalskiego na pięć lat więzienia. Potem, już w podziemiu, KPP składała się z 13 komórek a jej członkowie byli aktywistami Związku Klasowego i powstałej w 1927 roku PPS-lewicy. Ta ostatnia zaczęła odbierać wkrótce Polskiej Partii Socjalistycznej dotychczasowe jej przywództwo w akcjach politycznych. Wyrazem tego były między innymi wyniki wyborów czy też przebieg manifestacji pierwszomajowych.

W wyborach 1928 roku na listę PPS-lewicy w Zelowie padło nadspodziewanie dużo głosów — aż 540.

W tymże roku po raz pierwszy (i ostatni) doszło do podwójnego pochodu pierwszomajowego. Zwolennicy PPS-lewicy wyruszyli w nieco późniejszym terminie niż zwolennicy PPS, ale za to rozeszli się do domów w znacznie większym składzie, gdyż spod sztandarów PPS olbrzymia większość chałupników i robotników przeszła w trakcie manifestacji pod ich sztandary. W następnych latach organizowano już wspólne pochody.

Do tradycji zelowskich manifestacji pierwszomajowych należała zbiórka w lokalu Związku Klasowego, skąd maszerowano ulicami Sienkiewicza, Kościuszki, Waryńskiego, Żeromskiego i Kilińskiego na organizowany na rynku, przy pomniku Kościuszki, wiec. Pochód — jak opowiadał mi Bolesław Kamiński — składał się z kilkuset osób, więc komendant policji zawczasu prosił o posiłki z Widawy, Łasku i innych mniej „czerwonych" miejscowości na południe od Łodzi. Padała potem tradycyjna formuła „nie pozwalam", która nie odnosiła naturalnie żadnego skutku. Rozlegał się gwizdek tajniaka, z bram wyskakiwali granatowi policjanci z pałkami i tyralierą szli na manifestantów.

Na następną formułę „w imieniu prawa — stać!" zgromadzeni na rynku odpowiadali *Międzynarodówką*. Gdy nie pomagały pałki, policjanci nakładali na lufy karabinów bagnety i zmuszali manifestantów do odwrotu. Potem następowały aresztowania, rozprawa sądowa i... łagodne wyroki. Ot, za „naruszenie spokoju publicznego" — trzy dni aresztu.

Naturalnie ten tradycyjny schemat ulegał czasem modyfikacjom. Przede wszystkim władze starały się w różny sposób sparaliżować w zarodku same przygotowania do manifestacji. W tym celu w ostatnich dniach kwietnia przeprowadzano krótkie, zgodne z przepisami aresztowania tych, którzy — jak sądzono — przygotowywali święto klasy robotniczej. Mimo to stróże kapitalistycznego ustroju

mieli co roku sporo kłopotu ze zbieraniem ulotek, zdzieraniem afiszów i ściąganiem transparentów z hasłami rewolucyjnymi. Raz posterunkowy musiał wdrapać się na sam szczyt komina nieczynnej cegielni (należącej wówczas do Grzelczaka) przy ul. Żeromskiego, by ściągnąć z niego czerwony sztandar.

W 1930 roku głównym inspiratorem manifestacji pierwszomajowych stała się w Zelowie PPS-lewica. Polała się wówczas krew robotnicza. Na czele pochodu poszli towarzysze Błoch z Łodzi i niosący czerwony sztandar Jan Kontecki z Zelowa. Gdy na rozkaz „w imieniu prawa — stać!" odpowiedziano jeszcze potężniejszym śpiewem rewolucyjnej pieśni *Na barykady, ludu roboczy...* — dwaj policjanci wyrwali sztandar z rąk Konteckiego i zaczęli bagnetami ciąć go w kawałki. Manifestanci odpowiedzieli kamieniami, policja oddała pierwsze strzały w powietrze, następne w zgromadzony tłum, który dopiero wówczas poszedł z rozsypkę. Kilka osób było rannych, najpoważniej — Antoni Kamiński i Wilhelm Miller. Tym razem wyroki były wyższe, nie symboliczne. Po pół roku więzienia otrzymali ówczesny przewodniczący i sekretarz Związku Klasowego — Jan Matys i Teofil Miller.

W wyborach do sejmu w 1930 roku na różnych listach wystawionych przez tajną KPP znalazło się trzech zelowian — Karol Janko, Paweł Rajf i Karol Miller. Poza tym lewicowym kandydatem do senatu był Teofil Niemeczek, również z Zelowa. Żaden z nich nie został wówczas wybrany, a Pawłowi Rajfowi po jednym z przedwyborczych wieców policjant złamał (w więzieniu) żebro kolbą karabinu.

Planując generalną rozprawę z Centrolewem, jaką miał stać się proces brzeski, grawitując coraz bardziej w stronę faszyzmu klika piłsudczyków zaczęła zaprowadzać nowe porządki. Fakt, że w osadzie tkaczy chałupników aż czterech proletariuszy zostało umieszczonych na listach wyborczych, kazał „zaopiekować się" nią szczególnie bacznie.

Pierwszego lutego 1931 roku rozpoczął w Łodzi obrady drugi, i jak się wkrótce okazało ostatni, kongres PPS-lewicy. Następnego dnia wszyscy delegaci zostali aresztowani. Kongres rozwiązano, partię zdelegalizowano. Po kilku miesiącach śledztwa zatrzymano trzydziestu sześciu „wybranych", aby wytoczyć im proces. Głównym oskarżonym był Ludwik Gostkowski. Wśród współoskarżonych znalazł się zelowianin, dziewiętnastoletni wówczas Teofil Miller. Akt oskarżenia zarzucał mu, że „w czasie od dnia 2 lutego 1931 roku brał czynny udział w zrzeszeniu p. n. PPS-lewica, będącej przybudówką i ekspozyturą KPP z wiedzą, iż została ona zawiązana w celu dokonania zbrodni zamachu na ustalony w drodze praw zasadniczych ustrój państwowy Polski".

Teofil Miller był ponadto oskarżony o to, że jako członek KM PPS-lewicy w Zelowie i główny kierownik tejże organizacji na tamtejszym terenie (co zaświadczył komisarz miejscowej policji Bronisław Grodzki) „od 1929 roku był notowany w kartotekach policyjnych jako członek KPP, w maju 1930 roku zatrzymany pod zarzutem haseł antypaństwowych, uczestnik konferencji Sekcji Młodzieżowej PPS-lewicy w grudniu 1929 roku w Zgierzu z ramienia Sekcji w Zelowie".

Ogłoszony 30 listopada 1932 roku wyrok skazywał Teofila Millera na dwa lata więzienia i dziewięć lat utraty praw obywatelskich. Razem z nim w łódzkim więzieniu przy ul. Gdańskiej siedziało wówczas za działalność rewolucyjną w jednej celi ośmiu Polaków, czterech Żydów, dwóch Ukraińców, jeden Niemiec i czterech innych Czechów z Zelowa — Karol Miller, Fryderyk i Wilhelm Swobodowie, Jan Faflak. W innej celi uwięziony był w tym samym czasie Emil Słama z Żyrardowa, wówczas członek centralnych władz KPP, pochodzący również z zelowskich Czechów. Jego cela nazywana była w gwarze więziennej „Czechosłowacją"!

Aresztowania działaczy i rozwiązanie PPS-lewicy,

a w 1934 roku również Związku Klasowego osłabiły wprawdzie organizację rewolucjonistów zelowskich, mimo to jednak miejscowi tkacze na znak solidarności przyłączyli się do ogólnopolskiego strajku włókniarzy i nadal rozwijali ożywioną działalność propagandową w okolicznych wsiach.

Radykalizacja nastrojów na wsi spowodowała, że władze sanacyjne musiały aresztować w Czarnym Lesie grupę miejscowych działaczy, na czele których stali Witczak i Gotowicki. Nadal jednak chłopi pod zielonymi sztandarami brali udział w manifestacjach pierwszomajowych w Zelowie, a tkacze zelowscy zawozili czerwone sztandary na chłopskie zjazdy w Wygiełzowie czy Sędziejowicach. W 1938 roku w Wygiełzowie Antoni Buresz nauczył uczestników zjazdu śpiewu *Międzynarodówki*. Śpiew ustał dopiero z chwilą przybycia granatowej policji...

Do wspomnianych już przeze mnie rewolucjonistów zelowskich należy jeszcze dodać Emila Janko, Karola Niewieczerzała, Hermana Gruninga, Jana Zaunara, Jana Matysa, przede wszystkim jednak starego SDKPiL-owca Antoniego Sopora, zwanego przez towarzyszy „chodzącą encyklopedią". Ten sierota-samouk zgromadził sporą biblioteczkę, z której pozwalał korzystać wszystkim chętnym — pod jednym warunkiem: zwracając książkę musieli powiedzieć mu w paru słowach, co dała im jej lektura. Sopor nie założył rodziny i dzięki temu mógł łatwiej niż inni rewolucjoniści śpieszyć z pomocą materialną potrzebującym. Znany był poza tym z wielkiego oczytania w biblii, którą przy każdej okazji interpretował z pozycji ateistycznych. Bardzo interesująca postać!

Wśród rewolucjonistów żyrardowskich wyróżniał się aktywnością urodzony w Zelowie 28 marca 1884 roku Jan Pech. Był on uczestnikiem Rewolucji Październikowej na Ukrainie. Po powrocie nie zaprzestał działalności rewolucyjnej w Żyrardowie i w Warszawie. W 1939 uczestniczył w obronie cywilnej stolicy, był następnie współorganizatorem PPR i GL w Żyrardowie, gdzie zmarł w 1951 roku.

Nawet po rozwiązaniu przez Komintern Komunistycznej Partii Polski rewolucjoniści zelowscy stanowili dla sanacji „ciężki orzech do zgryzienia". Opanowali wkrótce jeden z dwu związków zawodowych, założonych po likwidacji Związku Klasowego, a także utworzoną przez PPS organizację młodzieżową Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych.

Na dwa lata przed wybuchem drugiej wojny światowej, w 1937 roku, również w Zelowie rozpisane zostały wybory samorządowe. W trzech okręgach osady komuniści mieli poważne wpływy, więc władze zdecydowały się na radykalny, lecz i drastyczny środek „zapobiegawczy", jakim było unieważnienie list wyborczych, na których znaleźli się podejrzani o komunizm. W odpowiedzi na to komuniści zelowscy postanowili agitować za bojkotem wyborów. Wyższe instancje były jednak innego zdania i w ostatniej chwili trzeba było przeprowadzić przygotowania do wyborów w dwu pozostałych, słabszych okręgach osady.

Wyniki wyborów — choć fragmentaryczne w tym wypadku — wszystkich zaskoczyły. Na lewicę w tych dwu słabszych okręgach padło aż 45 procent głosów. Gdyby nie unieważnienie list lewicy rewolucyjnej w trzech pozostałych okręgach, skład Rady Gminnej w Zelowie byłby dla władz sanacyjnych bardzo niemiły.

Zatrzymałem się nieco szerzej nad sprawami walki politycznej w okresie międzywojennym, bo nie znajdzie Pani tych szczegółów ani w pracach Żółtaszka czy Czajkowskiego, ani w dotychczasowych publikacjach o Zelowie. Przypuszczam, że dałoby się jeszcze rozbudować naszą wiedzę o tych sprawach, ale musiałby się ktoś zająć gromadzeniem wspomnień i nielicznych, ocalałych dokumentów. Było ich sporo w archiwum Rady Gminnej i posterunku policji w Zelowie, ale w 1939 roku Teofilowi Millerowi udało się je wynieść i zniszczyć, zanim nowe władze, złożone głównie z napływowych Niemców, zdążyły się tego rodzaju dokumentami zainteresować dla „wyłowienia" z nich kandydatów do uwięzienia i likwidacji. Dziś Miller żałuje, że zniszczył te zdradzieckie — wówczas — dokumenty. A z drugiej strony przypuszcza, że jednak dobrze uczynił, bo nie było wtedy szans na znalezienie absolutnie pewnego schowka. Jeśliby hitlerowcom udało się odnaleźć te dokumenty sanacyjne — a wystarczyłaby zdrada jednego człowieka — wielu rewolucjonistom zelowskim nie udałoby się przetrwać w ukryciu okresu okupacji.

Pozostaje więc w zasadzie to, co zatrzymała ludzka pamięć, nieco dokumentów tego typu, co zdjęcia czy korespondencja.

Wydaje mi się, że prócz socjologów także i badacze folkloru, tacy jak Pani, powinni zwrócić więcej uwagi na to, w jaki sposób na dawnych, wiejskich tradycjach Zelowa nawarstwiały się w XX wieku nowe elementy kulturowe, związane ze specyfiką społeczności chałupniczej żyjącej z okruchów spadających z wielkiego stołu, do którego można by porównać kapitalistyczny przemysł włókienniczy w okręgu łódzkim. I dlatego pozwoliłem sobie może obszerniej, niż o to Pani prosiła, odpowiedzieć na pytania zawarte w Pani liście.

Życząc dalszych sukcesów w pracy naukowej, łączę wyrazy głębokiego szacunku i pozdrowienia.

List czterdziesty szósty

Szanowny Panie,

zaskoczył mnie Pan wiadomością o artykule Józefa Jirečka w periodyku „Časopis muzea králostvi českeho" z 1881 roku. Wydawało mi się, że dotarłem do wszystkich publikacji mających choćby tylko coć niecoś wspólnego z Zelowem, a tu okazuje się, że jest jeszcze jedna pozycja, nie znana również prof. Jerzemu Ślizińskiemu, autorowi książki *Z działalności literackiej Braci Czeskich w Polsce (XVI—XVII w.)*. Z tego co Pan pisze w swoim liście wy-

nika, że Józef Gąsiorowski, który w 1879 roku mieszkał w Jelatmie w gubernii tambowskiej, był człowiekiem wykształconym, skoro Jireček nazywa go profesorem (zapewne gimnazjalnym). Tym dziwniejsze, że wyemigrował aż w głąb Rosji, skoro w Zelowie w owym czasie tak bardzo dawał się odczuwać brak inteligencji (ileż to było kłopotów z obsadzeniem stanowiska kantora!).

A czy wie Pan może coś więcej o innych zelowianach w głębi Rosji? W książkach Jana Šebesty, B. Proházki i innych znalazłem wzmianki o Czechach zelowskich zamieszkałych w okolicy Odessy i Samary. Ktoś znów — służąc w carskim wojsku — pływał po rzece Terek i po Amu Darii, był w Afganistanie, walczył na wzgórzach Mandżurii...

Myślę, że nie jedna wyprawa zelowskich Czechów w szeroki świat mogłaby się stać tematem ciekawego opowiadania, czy też nawet powieści. Ot choćby losy Semery, opisane skrótowo przez Šebestę:

Brat Semera (zapewne jakiś kucowski Semeradt — przyp. mój) bywał w szerokim świecie. Mieszkał niegdyś w Samarze, gdzie dostał się aż z Zelowa pod Łodzią. A z Samary wyjechał jako trzydziestoletni mężczyzna na wojnę rosyjsko-japońską i leżał na polach pod Mukdenem jako podwładny gen. Stösla i Kuropatkina. Rosjanie wówczas przegrali, ale przegrał też Semera, który od 1905 roku ma połamane zdrowie.

Šebesta odnalazł Semerę już po pierwszej wojnie światowej w chutorze Stawki, na polskim wówczas Wołyniu, osiem wiorst od Kowla:

Smutno jest wokół Stawek. Odniosłem wrażenie, że znajduję się na pustkowiach koło Uherca czy Zemplina. Równina jak okiem sięgnąć: gdzieś daleko nieznaczne wzniesienie, poza tym niebo i ziemia aż po horyzont. Gdzieniegdzie samotne chutory i kilka wiatraków z wielkimi skrzydłami. Pastwiska, piaski, kawałki pola ogrodzone drutem kolczastym, które pozostawiła wojna. Pamiątka po niej, wyrwa po granacie, jest jeszcze za zagrodą Semery. Nad tym wszystkim niemiłosiernie palące słońce i białe baranki na firmamencie.

Potomkowie Semery zapewne wrócili wraz z tysiącami

wołyńskich Czechów i może są Pana sąsiadami w Sulejovicach. Ale czy zostało choć wspomnienie o czeskich przybyszach z Zelowa w powiecie akmulińskim na Syberii, w Aleksandrowie i Elizawietowce, zwanych również Bohemką i Čubovką — na Krymie?

Zacząłem list od tego, że zaskoczył mnie Pan nadesłaną wiadomością, ale jeszcze bardziej byłem wzruszony Pańską gotowością pomocy w zbieraniu materiałów do książki o Zelowie. Niestety, książka ta nie ukaże się, ponieważ fatalny w skutkach przypadek zniszczył gotowe już maszynopisy. A życie tak mi się układa, że będę mógł wrócić do tego tematu nie prędzej niż za kilka lat. Jest mi bardzo przykro, że zrobię tym zawód wszystkim zelowianom, ale niestety....

Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego szacunku i serdeczne pozdrowienia.

List czterdziesty siódmy

Drogi Towarzyszu,

jest mi niezmiernie przykro, ale muszę sprawić Wam i wielu zelowianom, tak w Czechach, jak i w Polsce — nieprzyjemny zawód. Moja książka *V Zelové pod Łodzią* uległa całkowitemu zniszczeniu.

Może za parę lat — jeśli nie będę miał co robić (choć niedowiarek, wierzę jednak w cuda) — spróbuję jeszcze raz dotrzeć do niektórych źródeł z przeszłości Zelowa (bo obserwacje ze współczesności na pewno się zdezaktualizują, a nie staną się jeszcze historią) i opracuję je w formie artykułów, szkiców czy felietonów.

Piszecie w ostatnim liście, że Wasza córka bardzo chciałaby zobaczyć morze i jeśli będzie Was stać, to w przyszłym roku wybierzecie się do Gdańska. Jak wiecie, mam w Sopocie rodzinę. W razie potrzeby będziecie więc mogli zatrzymać się u mojej Mamy, a nie w hotelu. No i koniecz-

nie musicie wstąpić do nas, do Olsztyna. Wprawdzie jeziora mazurskie nie są tak efektowne jak Bałtyk, ale myślę, że i one spodobają się Waszej córce. No, a ja z przyjemnością uścisnę Waszą dłoń i pogadam o tym i o owym, najprawdopodobniej o Zelowie.

I jeszcze jedno — rozumiecie, że znalazłem się w niezręcznej, żeby nie rzec głupiej sytuacji w stosunku do tych, którym przedstawiłem się, jako piszący książkę o Zelowie. Książkę, która się nie ukaże. Bądźcie więc tacy dobrzy i odwołajcie alarm i w Cvikovie, i w Libercu, i w Pradze... Mówi się trudno, ale nic na to nie mogę poradzić.

Serdecznie Was i Waszą Rodzinę pozdrawiam.

List czterdziesy ósmy

Drogi Władku,

udał Ci się ten Twój „obrazek z przeszłości Zelowa". Widać, że uważnie przeczytałeś moje listy i z powodzeniem uzupełniłeś je swą twórczą wyobraźnią, znajomości psychiki ludzkiej itd. Jako krytyk i nałogowy recenzent nie mam się właściwie do czego przyczepić. Myślę, że bez trudu wydrukujesz to opowiadanie w jakimś piśmie, przedtem naturalnie może je nadać Polskie Radio, no, a w końcu będzie ozdobą kolejnego tomu Twoich opowiadań. Zanim się to jednak stanie pozwól, że wytknę Ci to i owo, popełnione przez Ciebie gaffy, bez Twojej w tym wszystkim winy. A że z pustego i Salomon nie naleje, więc i Ty nie wiedziałeś o tym, że na stole nie pracowało się i nie jadło, ponieważ leżały tam tylko biblie i kancjonały, oraz *Labirynt świata* Komeńskiego. Jedzenie kładziono na ławce obok stołu. Dziś naturalnie jest inaczej, ale to przecież „obrazek z przeszłości Zelowa".

A propos książek nabożnych. Będąc w Zelowie wstąpiłem — w towarzystwie pewnego Czecha w średnim wieku — do domu, gdzie miały być stare książki. Istotnie,

były. Ale był też starzec, który tylko dzięki temu, że nie wszedłem sam, pozwolił mi obejrzeć osiemnastowieczny rarytas, gdy zaś jak najgrzeczniej poprosiłem go o pozwolenie na sfotografowanie strony tytułowej, wyrwał mi książkę z rąk i zaczął gwarą zelowską coś mi „wyjaśniać". Po wyjściu z chałupy mój przewodnik wytłumaczył mi powód oburzenia dziadka. Oto dziadek był wrogiem fotografowania i rzeczy świętych i osób dostojnych, ponieważ zdjęcia można reprodukować w gazetach, a co się robi z gazetą po przeczytaniu? Zwłaszcza, jeśli w sklepie znów zabrakło papieru toaletowego?...

Dalej — zapomniałeś o tym, że Bracia Czescy to ewangelicy reformowani, a więc Wielki Piątek jest u nich bardziej ważny od Niedzieli Wielkanocnej. Zamiast świętego Mikołaja podarki przynosiło im „dítátko". A w ogóle z obyczajami wigilijnymi było w Zelowie całkiem nie po polsku. W wigilię spożywano mięso, a typowym pokarmem tego dnia była... kaszanka. Nie było natomiast dzielenia się opłatkiem. Ale były „makiełki". Zamiast pasterki — nabożeństwo o szóstej rano. Była jednak choinka.

Sylwestra obchodzono nie karnawałowymi tańcami, lecz pobożnym nabożeństwem, połączonym z deklamacją wierszy, naturalnie też ze śpiewem (zelowskie „pisné" to pieśni nabożne, natomiast „pisnička" lub „plácačka" to piosenka ludowa, świecka). O północy biły dzwony i odmawiano *Ojcze nasz*.

Zelowska „kolęda" nie miała nic wspólnego z kolędami, oznaczała bowiem wielkanocne chodzenie „po dyngusie". Wielkanoc zaczynała się w Wielki Piątek, a zarówno u Czechów śląskich jak i zelowskich było zwyczajem mycie się w tym dniu w bieżącej wodzie przed wschodem słońca. I to w zupełnym milczeniu. Nota bene zwyczaj to prawdopodobnie zapożyczony, stosowany był bowiem powszechnie we wsiach Polski środkowej jako niezawodny sposób na piękną i gładką cerę.

Wielkanocne kolędowanie „za jajkami" — naturalnie

chłopców, a nie dorosłych mężczyzn — połączone było zarówno ze śpiewaniem pieśni religijnych jak i pieśni, w których przymawiano się o dary. Tam jednak, gdzie nie było nadziei na większy podarunek zadowalano się lakonicznym: „Třetího dne vstal Kristus Pán rano v neděli, radujte se všecka lidská stvořeni".

Wielkanocne kolędowanie w Zelowie nazywano również z polska, „po dynguśe" a przymawianie się o jajka i refren powtarzany po każdej zwrotce jest prawie dosłownym tłumaczeniem polskiej pieśni ludowej:

Dyngus nastaje,
dajcie, babko, jajek,
a vy dědku, kełbase,
bo vám babka zestrase.
Przyszliśmy tu po dynguśe,
zazpiewamy o Jezuse,
o Jezuse, o Maryo,
dynguś, dajcie, hospodyňo.

Skoro już mowa o piosenkach — może zechcesz włączyć jeszcze do swego opowiadania taką piosenkę oczepinową:

Rozvesel se, srdce moje,
rozvesel se v duchu mém,
probudte se, vy myslove,
v zpěvu radostnem,
nebt Pán Búh dnešniho dne
korunuje žencha a nevěstu jeho...

Przy oczepinach zbierano nie tylko na czepeczek (zwany w Kucowie „kamonda" lub „kukaňe"), ale też na kolebkę, albo na... kucharkę.

Jeśli zaś chodzi o napoje wyskokowe, to zelowską specjalnością był spirytus zaprawiany sokiem lub... herbatą, przede wszystkim jednak sgřanka czyli spirytus z karmelem lub kakao, ewentualnie z czekoladą i masłem.

W swoim opowiadaniu używasz parokrotnie „dobrý den", ale w Zelowie było jeszcze inne pozdrowienie: „dař Pámbu", skrót od „dař Pán Bůh".

Nie jestem pewien, czy w końcu XIX wieku produkowano już w Zelowie płótno na wsypy. Używasz słowa

„inlet", ale rozróżniano trzy rodzaje tego płótna: purpur (osnowa i wątek czerwone), inlet (czerwona osnowa a biały wątek) oraz tik (biała osnowa, czerwony wątek). Len zdaje się bardziej był uprawiany w Kucowie niż w Zelowie. Podczas gdy w 1933 roku w Zelowie najstarsi ludzie nie pamiętali już jak się tę roślinę uprawia (na początku XIX wieku na pewno była tu rozpowszechniona), to w Kucowie, używano i jako włókna i jako ziarna, tłocząc olej na pączki i racuchy.

Wprowadzasz do opowiadania dwu Rosjan — naczelnika poczty i nauczyciela. Otóż istotnie Sachadyniuk był naczelnikiem zelowskiej poczty przed pierwszą wojną światową, ale przed nim był Ibykiel i to nazwisko jest chyba właściwsze. Natomiast jeśli chodzi o nauczycieli, to zmiany były częstsze i nie zawsze stanowisko to obsadzano Rosjanami. Na przykład od września 1890 roku był nauczycielem Stanisław Augustyński, zapewne Polak. W sumie nie jest to najważniejsze, w opowiadaniu masz prawo nie trzymać się kurczowo autentyczności, ale na marginesie niech mi wolno będzie trochę się pomądrzyć.

Podobnie z pożarami — nie cofam tego co napisałem w książce: były one w Zelowie stosunkowo rzadkie, ale właśnie w 1890 roku spłonęło kilkanaście domów w rynku, z kancelarią sądu gminnego, urzędem gminnym i apteką, a straty oszacowano na 12 tysięcy rubli. Z drugiej strony autentycznym ujęciem sprawy pożarów jest również rozpowszechnione niegdyś w Zelowie przeświadczenie, że gdy w okolicy szaleją wielkie burze ze straszliwymi piorunami, to na niebie nad osadą ukazuje się Baranek i chroni Braci Czeskich. Albo takie podanie: gdy zelowscy chłopcy po wycięciu paru dębczaków w pańskim lesie uciekali przed dziedzicem goniącym ich na koniu, uratowała ich jakaś niewidzialna siła, gdy pan chciał wjechać na wolną, zelowską ziemię.

A przepis na łatwe zdobycie pieniędzy mówił: trzeba wziąć nóż, który jeszcze niczego nie ciął i dwie gałązki,

na których nie siedział jeszcze żaden ptak. Końce obu gałązek zaostrzyć tym nożem i naciąć je z dwu stron. Gdy pod wpływem ściskania gałązki skierują się w jakąś stronę, trzeba tam właśnie iść i wymacać pieniądze specjalnym drutem .Potem wymówiwszy zaklęcie „Země vydej poklady sve" trzeba szybko pieniądze wykopać. Metoda ta na pewno była bardziej skomplikowana od gry w toto-lotka, ale podobno dawała lepsze rezultaty...

No, żarty żartami, ale wróćmy jeszcze do Twojego opowiadania. Wspominasz w nim o ziemi należącej do pastora. Otóż w Zelowie miała ona swoją nazwę: „kapuściska". Długo trwał spór parafii z gminą o jedną z karczem, zbudowaną zaraz na początku „czeskiego Zelowa" przy kościele, na ziemi kościelnej. Pod koniec XIX wieku karczma ta już nie istniała, ale ziemię, na której niegdyś stała, włączono do plebanii dopiero 5 marca 1900 roku.

I ostatnia uwaga. Bohumil Prochazka, kaznodzieja i redaktor z Ceskiego Brodu, który w 1900 roku organizował w Zelowie gminę Wolnego Kościoła Reformowanego (a był pierwszym Czechem-patriotą, który przeniósł się z Czech do Polski, aby pracować nad zbliżeniem „exulantów" do kraju ich przodków), który też razem z bratem Karolem założył w Łodzi czeską księgarnię i wydawnictwo (zniszczone przez pierwszą wojnę światową), otóż ten wydawca „Ceskoruskych Listu" z okazji jubileuszu Zelowa w 1903 roku dał w kalendarzu „Mir" taką charakterystykę zelowskiego Czecha:

Jest smutny, trochę zadufany, nieufny wobec wszelkich nowinek, podejrzliwy, niestały i mało przedsiębiorczy, a niekiedy i niepewny. Mało ma silnej woli, co dzień podejmuje inną decyzję.

Nie znając opinii Prochazki dałeś zelovákom sporo przypisanych im przez niego cech. I chyba słusznie się stało, żeś nie utrafił całkowicie w jego zdanie, bo było ono prawdopodobnie zbyt pesymistyczne. Przede wszystkim nie chce mi się wierzyć w to „mało przedsiębiorczy". No, ale może Prochazka był za bardzo przedsiębiorczy?

Jeśli podrzucam Ci charakterystykę Prochazki to tylko dlatego, że Twoje opowiadanie rozgrywa się pod koniec XIX wieku i istnieje możliwość konfrontacji. Historia „czeskiego Zelowa" jest stosunkowo krótka — wszystkiego 143 lata, bo po drugiej wojnie światowej liczba Czechów w Zelowie stopniała do dziesięciu procent i miasteczko stało się niemalże „typowo polskie". 143 lata to w perspektywie historycznej niedługo — sprawa pięciu, sześciu pokoleń — ale, gdy przyjrzeć się bliżej, odkryjesz całą gamę sytuacji, wydarzeń, postaw, pragnień i realizacji. „Czesi w samym środku Polski" — to brzmi egzotycznie i zaskakuje, bo przecież jeszcze do niedawna geograficznym stykiem polsko-czeskim był jedynie Cieszyn. I „sprawa Zaolzia". Dziś na pierwszy plan wysunęła się raczej wspólnota, turystyczna „droga przyjaźni polsko-czechosłowackiej", przede wszystkim pod Śnieżką, a także obie strefy turystyczne, z których jednak tylko sudecka jest naprawdę czeska, bo tatrzańska to słowacka. Więc „Czesi w samym środku Polski" muszą zaskakiwać. Lecz nie o zaskakiwanie chyba w tym przypadku powinno chodzić.

No, ale dosyć tego „zelowskiego filozofowania". Jeszcze raz gratuluję udanego opowiadania i serdecznie ściskam Twą dłoń.

List czterdziesty dziewiąty

Mój Drogi,

wybacz, ale jednak: „nie"! To byłoby ponad moje siły. Nie mam natomiast nic przeciwko temu, abyś publikował w łódzkiej prasie moje listy do Ciebie, w których pisałem o Zelowie. Więcej — przesyłam Ci w załączeniu spis osób, z którymi korespondowałem w sprawie Zelowa (wraz z adresami i z plenipotencjami). Myślę, że Ci je udostępnią, ewentualnie z odpowiednimi skrótami w miejscach „prywatnych". Kto wie — może uda Ci się ściągnąć tyle listów, iż złożą się one na książkę, ale mnie już do tego nie mie-

szaj, nie jestem bowiem tak wierny zelowskiemu tematowi jak ów pies, o którym lubił opowiadać — widocznie wzorem swoich przodków — Józef Twardy z Faustynowa.

W 1803 roku osadnicy jadący do kupionego właśnie Zelowa postanowili zostawić w Taborze sukę ze szczeniętami. Suka przegryzła postronek i pobiegła za gospodarzami, potem jednak zawróciła do szczeniąt, aby je zabrać z sobą. Było to ponad jej siły — zdechła. Dzieci osadników urządziły jej „ludzki" pogrzeb, w którym wzięli udział także i dorośli, opłakując śmierć wiernego psa.

Ja na takie wspomnienie na pewno sobie nie zasłużę. Tobie jednak, jako pomysłodawcy i temu, który chce ratować co się da (zbierając moje listy o Zelowie) przesyłam w podzięce legendę o zelowskim tkaczu, którą usłyszałem w Cvikovie, a która Tobie, jako poecie, powinna przypaść do gustu. Oto ona:

Zelowski tkacz pewnego dnia poczuł, że zbliża się jego ostatnia chwila. Wraz z ostatnim uderzeniem serca ostatni stukot wydało też i jego krosno. Gdy tajemnicza siła zaczęła go podnosić ku niebu, chwycił się tkacz krosna rękami, nogami i zębami. Jak to zelowski tkacz.

— Toż byłbym złym, podłym człowiekiem, gdybym swego najbardziej szczerego wspólnika, co mnie przez całe życie nie opuścił, miał teraz zostawić samiutkiego na ziemi. Aż do ostatniej chwili stukotałeś dla mnie, mieszkanie mi pięknie ozdabiałeś, powietrze pyłem bawełnianym wypełniałeś i we śnie nawet mnie nie opuszczałeś, a ja miałbym ciebie tak niewdzięcznie porzucić? Zostań najszczęśliwszym warsztatem tkackim i chodź ze mną do nieba — powiedział.

Już po chwili dobijali się do bramy niebios. Święty Piotr otworzył, krzywo na nich spojrzał i szybko zatrzasnął bramę.

Znów zaczęli się dobijać, ale nikt się już nie odezwał. Pracowity tkacz powiada więc:

— No, to sobie trochę popracujemy. Żeby się nam nie nudziło. Całe życie się nie leniłem, więc i teraz nie będę.

Siadł za warsztatem. Czółenko uderzało o skrzynkę, podnóżki waliły swymi łopatkami o podłogę bez odrobiny litości. Umocowane za podnóżkami deseczki skrzypiały, kłaki bawełny fruwały dokoła, przybijaczki dzwoniły, a tkacz na cały głos śpiewać zaczął starą tkacką piosenkę:

Ja jsem tkalcousky syn,
na vojnu jít musím,
podnuski a člunek
a z šlichtou hrnek
zanechat musím.

(Tkackim synem jestem,
na wojnę iść muszę,
podnóżki i czółenko
i garnek z krochmalem
pozostawić muszę).

Anioły co zeszły się za bramą zaczęły piszczeć ze strachu. Myślały bowiem, że to diabli atakują niebo, tak się darł. Piotr uspokoił aniołki i kazał im zająć się swoimi sprawami, lecz gdy bawełna wszystkimi szparami zaczęła sypać się do nieba wyszedł i zrugał tkacza:

— Cóż ty, tkacki synu, myślisz sobie? Zdaje ci się, że niebo jest dla twoich śmieci? — W tym miejscu zakrztusił się kłakami bawełny, które mu się do szeroko otwartych ust pchały.

— Wynosić mi się stąd zaraz, bo was wprost do piekła po schodach spuszczę! — krzyknął gniewnie.

— Ależ Piotrze — tłumaczył tkacz — przecież ze mnie dobry człowiek. Całe życie więcej troszczyłem się o innych niż o siebie samego, a ty byś chciał moją czystą duszę z nieba wyrzucić?

— Wcale nie jestem taki znów pewny, czy masz czystą duszę. Przez całe życie ten twój warsztat kurzył na ciebie, całe ciało ci zabrudził, więc i na duszę pewno dużo bawełny naniósł. Gdybyś zresztą był sam, może by dało się coś

zrobić, ale z tym twoim gratem to mowy nie ma. Kto ci kazał do nieba takie rupiecie dźwigać?

— Robię jak każe „ojczenasz" — tłumaczył mu tkacz. — Albóż to mało razy odmawiałem „jako w niebie, tak i na ziemi". Więc i teraz

Verštat tam, verštat tu,
do neba si ho vnesu!

Rozgniewany Piotr znów zatrzasnął bramę i więcej się już nie pokazał. Poszli wobec tego tkacz i jego warsztat do piekła. Gdy diabły poczuły zbliżającą się duszę, łapczywie wyskoczyły jej naprzeciw. Skoro jednak zobaczyły dziwne, pobłyskujące przenikliwie rusztowanie, przyczepiło się bowiem do niego trochę niebiańskiej jasności, gdy zobaczyły, że każda nić osnowy świeci jak gwiezdny promień, przestraszyły się i zginęły w płomieniach. Tylko stróż piekieł z wielkiego poczucia obowiązku został, przez szparę w drzwiach wystawił rogi i oburzony wrzasnął:

— Czego tu chcesz? Z czym do nas leziesz?

— Z tym, co mi przez całe życie było najbliższe, a czego w niebie nie chcą.

— A u nas, myślisz, że mamy dosyć miejsca? — rozdarł się diabeł. — Gdzie my znajdziemy taki wielki kocioł, żeby was w nim zdezynfekować? Co tam jeszcze masz? Przez ten blask niebieski nie mogę się dobrze przyjrzeć, a muszę zdać dokładny raport Lucyferowi.

— Nic takiego, trochę takich sobie drobiazgów — odpowiedział nieśmiało tkacz.

— Co?! Jeszcze trochę? — zaryczał diabeł jakby go coś ugodziło. — Nie ruszaj się ani na krok! Ty zaczniesz, a za tobą pójdą inni. Każdy sobie naznosi różnych gruchotów, a my będziemy musieli potem obciążone dusze wyciągać z kotła, a może jeszcze sadzać za warsztatem. Takie męki i taka ciasnota możliwe są tylko w tym waszym Zelowie. My tu w piekle będziemy się jednak przed nimi do ostatka bronić. Zwiewaj stąd, gdzie chcesz, ty tkacka duszo...

Ale, ale, poczekaj! Żebyś nie mówił, że odprawiliśmy cię z kwitkiem...

I posypały się na tkacza rozżarzone węgle, siedmiokrotnie gorętsze niż na ziemi.

Osnowa się porwała, z wału odmotała i rozwinięta w długi warkocz sypnęła milionami iskier — światłem zarazem niebiańskim i piekielnym. W ten sposób nieszczęsny zelowski tkacz i jego warsztat, zamienieni w kometę, znaleźli się gdzieś między gwiazdami.

Tyle słów legendy na zakończenie naszej korespondencji z powodu Zelowa.

Vale!

P. S.

Ponieważ nie samymi legendami żyje człowiek, więc przesyłam Ci — również na pamiątkę — dwa załączniki: zestaw bibliograficzny i album ze zdjęciami.

Pierwszy załącznik

Źródła nie drukowane.

Archiwum Państwowe m. Łodzi i województwa łódzkiego
Rząd Gubernialny Piotrkowski
Archiwum Powiatowe w Pabianicach
Archiwum Sądu Powiatowego w Łasku.
Archiwum Zakładu Historii Partii w Warszawie, „Vzpominky na Polsko" Teofila Millera.
Archiwum zboru ewangelicko-reformowanego w Zelowie

Księga pamiątkowa przygotowana z okazji jubileuszu 150-lecia istnienia zboru ewangelicko-reformowanego w Zelowie (rękopis zawierający opis przebiegu uroczystości, szkice historyczne Zdzisława Trandy i Czesława Dedecjusza, okolicznościowe zdjęcia).

Notatnik do Dziejów Zboru Ew. Ref. w Zelowie, część

I—III (rękopis sporządzony przez Jarosława Niewieczerzała a zawierający odpis dokumentów zelowskiego archiwum kościelnego, między innymi tych dokumentów, które zaginęły w 1945 roku).

Rękopis pracy Teofila Millera z Cvikova na temat przeszłości Zelowa (osiem brulionów o łącznej paginacji 817 stron).

Tabella Statystyczna Departamentu Kaliskiego, opracowana przez prefekta Garczyńskiego, rękopis w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Krakowie.



Ważniejsze źródła drukowane:

A u e r h a n J a n, *Česke osady na Volyni, na Krymu a na Kavkaze,* Praha 1920.

A u e r h a n J a n, *Čechové v Králostvi Polskem,* „Pokrokova Revue" nr 3, Praha 1909.

A u e r h a n J a n, *Osady ceskych emigrantu v Prusku,* Polsku a Rusku, Praha 1920.

A u e r h a n J a n, *Umoznete navrat potomkum nabozenskych emigrantu!,* „Naše zahraniči", r. IV, Praha 1919.

B a d z i a k K a r o l, *Zanim powstanie oś przemysłowa,* „Współczesność", nr 10, Warszawa 1960.

B a r s z c z e w s k a A l i n a, *Województwo kaliskie i mazowieckie w powstaniu listopadowym 1830—1831,* Łódź 1965.

B i e d a T a d e u s z, D o m a ń s k i J ó z e f, *Z historii ceskych kolonii v okoli Strelina,* „Slezsky sbornik, Acta Silesiaca", r. 62 (22), Opawa 1964.

B i e l i ń s k i J ó z e f, *Królewski uniwersytet warszawski (1816—1831),* Warszawa 1907.

B ö c k h R i c h a r d, *Der Deutschen Volkszahl und Sprachgebiet in den europäischen Staaten,* Berlin 1869.

B u r e š M i l o s l a v, *Marie a my všichni* (powieść), Praha 1953.

C a l l i e r (Edward), *Bitwy i potyczki stoczone przez wojsko polskie w roku 1831,* Poznań 1887.

C h l e b o w s k i B r o n i s ł a w, *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich,* Warszawa 1895.

C h o j n a c k i W ł a d y s ł a w, *Sprawa Warmii i Mazur w korespondencji Wojciecha Kętrzyńskiego,* Ossolineum, Wrocław 1952.

C i c h o w s k a Z o f i a, *Kolonie czeskie na Wołyniu,* Warszawa 1928.

C z a j k o w s k i T a d e u s z, *Chałupnictwo tkackie w Zelowie,* „Drobny przemysł i chałupnictwo", t. I, Warszawa 1931.

C z y ń s k i E d w a r d, *Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej,* Warszawa 1909.

D i n t e r H e n r y k S t a n i s ł a w, *Dzieje wielkiej kariery (Łódź 1332—1860),* Łódź 1965.

F o l p r e c h t J o s e f, *Unsere Landsleute in der Fremde (Naši krajané v cizině),* Praha 1940.

F o l p r e c h t J o s e f, *Českoslovaci polšti,* Praha 1943.

G ą s i o r o w s k i J ó z e f, *Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych,* T. IV, Poznań 1855.

G i r s z t o w t P., *Dr Emilian Klemens Nowicki,* „Tygodnik Ilustrowany", nr 291, Warszawa 1865.

H e r o l d o v á I v a, *Etnická a etnografická problematika českých narodnostnich menšin (se zvlaštinim zaměřením na wystěchovatelstvi do Pruskeho Slezka v 1. polovině 18 st.)* „Česky Lid", Praha 1965.

H e r o l d o v á I v a, *K akkulturačnimu procesu nejstarši české menšiny,* „Česky Lid", Praha 1965.

H i r s c h A u g u s t, *Biographisches Lexikon der hervorragenden Aerzte aller Zeiten und Völker,* T. IV, Wiedeń i Lipsk 1886.

Holsche A. V. von, *Geographie und Statistik von West-Süd-und Neu-Ostpreussen*, Berlin 1804.

Huhn Eugen, *Topographisch-statistisches-historisches [...] Lexikon von Deutschland*, Hildburghausen 1848—1849.

Hulka Pavel, *Touha po vlasti* (wiersz), „Mir" — Kalendar pro cesky lid", R. V., Praha 1903.

Hulka-Laskowski Paweł, *Mój Żyrardów. Z dziejów polskiego miasta i z życia pisarza*, Warszawa 1934.

Jelen (Fryderyk), *Opis historyczny zboru filialnego Ewangelicko-Reformowanego w Kucowie*, Warszawa 1899.

Jelinek V(ladislav), *Dějiny zelovského sboru u Lodže v Polsku*, „Křest'anske Listy a Husův Lid", nr 5, Chicago 1959.

Jelinek Vladislav, *Dějiny českých baptistů v Zelové*, „Pravda a Slavna Naděje (Truth and Glorious Hope"), nr 7—8, Chicago 1957—1958.

Jelinek Vladislav, *Po stopách Českých Bratři v Zelově*, Praha 1947.

Konarski Szymon, *Szlachta kalwińska w Polsce*, Warszawa 1936.

Konopka Stanisław, *Emilian Klemens Nowicki i jego dzieło o złamaniu kości*, „Polski Tygodnik Lekarski", nr 51—52, Warszawa 1949.

Kormanowa Żanna, *Strajk żyrardowski (23—28. IV.1883) w dokumentach władz carskich*, „Z pola walki", nr 3, Warszawa 1958.

Kośmiński Stanisław, *Słownik lekarzów polskich*, Warszawa 1883.

Krug Leopold, *Neues topographisch-statistisch-geographisches Wörterbuch des preussischen Staates*, Halle 1821—1823.

Kubin Josef St., *České emigrantské osady v Pruském Ślezku. Čechové štrálšti*, Praha 1931.

Łojewska Mirosława, *W miasteczku zmieniających się tkaczy*, „Wieś", nr 17, Łódź 1953.

Maliszewski Edward, *Stosunki narodowościowe w Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa 1923.

Mičan Vlad(imir), *Česka emigrace v Polsku a na Volyni*, Brno 1924.

Mičan Vladimir, *Za zaři kalicha v cizině*, Brno 1937.

Mičanovi Vladimira Véra, *Česka naboženska emigrace v Prusku*, w „Naše zahraniči", R.IV, Praha 1923.

Missalowa Gryzelda, *Studia nad powstaniem łódzkiego ośrodka przemysłowego 1815—1870*, Łódź 1964.

(Mozes Jan) *Zbór ewangelicko-reformowany zelowski*, „Zwiastun Ewangeliczny", nr 22, Warszawa 1866.

Navrat exulantů. Kázání kterým sloužil při uvítání vrátivšich se exulantů ve starém chrámu u Martina ve Zdi v Praze dne 16 června 1946 dr. Josef Krenek, syncdni senior, Praha 1946 — zawiera również przemówienie J. K. Smetany i E. Beneša, 4 zdjęcia ze zjazdu.

Od našich bratři v Polsku, w „Kostnické jiskry", Praha 1955.

Oxiński Józef, *Wspomnienia z powstania polskiego 1863—1864*, Warszawa 1965.

Pestkowski Stanisław, *Wspomnienia rewolucjonisty*, Łódź 1961.

Písně k jubilejní slavnosti 100-leté památky svěceni ev.-ref. chrámu Páně w Zelově (powiat Lask) dne 6. záři roku 1925, Łódź 1925.

Początki rozwoju kapitalistycznego miasta Łodzi (1820—1864), opr. A. Rynkowska, Warszawa 1960.

Připomináme a varujeme, „Život" nr 6, Warszawa 1965.

Prohazka B(ohumil), *Češti vystěhovalci*, „Mir. Kalendar pro cesky lid", Praha 1903.

Prudky František, *Našteva českých exulantskych reform. Osad na Rusi*, Praha 1909.

Rómmel Juliusz, *Armia „Łódź” w kampanii wrześniowej. Ze wspomnień dowódcy armii*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” nr 3, Warszawa 1958.

Scholl Jakób, *Historia Żydów w Polsce, na Litwie i Rusi*, Lwów 1934.

Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej opracowany na podstawie wyników pierwszego spisu ludności z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych, T. II, Warszawa 1925.

Staszewski K., *Rok 1863 na terenie powiatu łaskiego*, „Gazeta Pabianicka” 1927.

Straszewicz Ludwik, *Atlas województwa łódzkiego*, Warszawa 1965.

Strzelecki Wacław, *Chałupnictwo tkackie w Królestwie Kongresowym w latach 1816—1850*, w: „Drobny przemysł i chałupnictwo”, T. I, Warszawa 1931.

150-lecie zboru Ewangelicko-Reformowanego w Zelowie, „Strażnica Ewangeliczna” nr 17, Warszawa 1953.

Suski Julian, *Statystyka narodowościowa Rzeczypospolitej Polskiej opracowana na podstawie wyników spisu ludności z dnia 30.IX. 1921 roku*. Warszawa, bez daty.

Śliziński Jerzy, *Śladami Braci Czeskich na Śląsku i w Małopolsce*, „Przegląd Historyczny”, t. XLVIII.

Śliziński Jerzy, *Z działalności literackiej Braci Czeskich w Polsce (XVI—XVII w.)*, Wrocław-Warszawa 1959.

Šebesta Jan Vl., *Polonia restituta*, „Kalendář Českobratrský”, Praha 1931.

Šedý Rudolf, *Česke osady na Ukrajině a Krymu*, „Naše zahraniči”, R.IV., Praha 1923.

Tabella Miast, Wsi, Osad Królestwa Polskiego z wyrażeniem ich położenia i ludności alfabetycznie ułożona w Biórze Komissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, Warszawa 1827.

Topographisch-Statistisch Geographisches Wörterbuch (...) in den preussischen Staaten, Halle 1796.

Tranda Zdzisław, *Boże Narodzenie i zakończenie roku w Zelowie*, „Jednota”, nr 12 Warszawa 1961.

Tranda Zdzisław, *Zarys dziejów zboru ewangelicko-reformowanego w Zelowie*, „Strażnica Ewangeliczna”, nr 5, Warszawa 1954.

Urbański Zygmunt, *Mniejszości narodowe w Polsce*, Warszawa 1932.

Verdmon Jacques Leonard de, *Krótka monografia wszystkich miast, miasteczek i osad w Królestwie Polskim*, Warszawa 1902.

Wasiutyński Bohdan, *Ludność żydowska w Polsce w wiekach XIX i XX*, Studium historyczne, Warszawa 1930.

Wakar Włodzimierz, Rozwój terytorialny narodowości polskiej, Warszawa 1917.

W świecie pieśni i bajki, „Studia Folklorystyczne” (red. R. Górski, J. Krzyżanowski.

Zawilski Apoloniusz, *Bełchatów i jego historyczne awanse*, Łódź 1967.

Ze Zelova v Ruskem Polsku (ze zboru ceskeho), „Hlasy ze Siona”, nr 23, Praha 1867.

Zieliński Stanisław, *Spis chronologiczny i alfabetyczny bitew i potyczek 1863—1864*, Rapperswill 1913.

Żółtaszek Józef, *Chałupniczy przemysł tkacki w okręgu łódzkim*, Ekonomista t. I, Warszawa 1928.

Życie społeczno-gospodarcze Łodzi i województwa łódzkiego, Łódź 1964.

Żychliński Teodor, *Złota księga szlachty polskiej*, Poznań 1887.

Źródła do historii klasy robotniczej okręgu łódzkiego, opr. Gryzelda Missalowa, Warszawa 1957.

SPIS LISTÓW

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE
ŁÓDŹ 1971
Wydanie pierwsze. Nakład 1000+200 egz. Ark wyd. 13,9. Ark. druk. 16+1,5 ark. wkładek (14,3) Papier druk sat. kl. IV, 70 g, 82 X 104 z Fabryki Papieru w Kluczach. Oddano do składania 18.09.1970 r. Podpisano do druku we wrześniu 1971 r. Druk ukończono w październiku 1971 r. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Kielce, ul. Sienna nr 2. Zam. nr 2619/70 S-8.
Cena zł 20.—